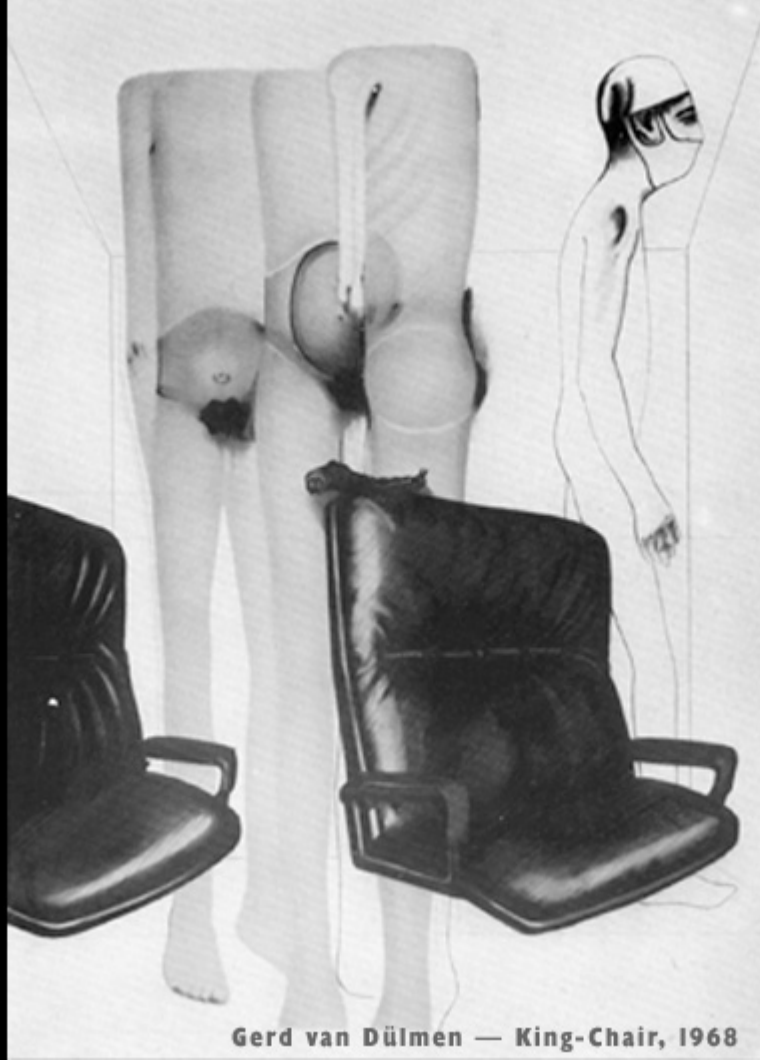


Mysikrólik i sarna



Gerd van Dülmen — King-Chair, 1968

wydawnictwo

e media

Krystian Piwowski

Krystian Piwowarski

Mysikrólik i sarna

wydawnictwo
emedia

– Za kwadrans trzecia, mamy pół godziny – Jaś błyskawicznie zdjął spodnie i koszulę. W błękitnych bokserkach w różowe esy-floresy podszedł do kanapy i zabrał się do zdejmowania pudeł z ubraniami. Nagle Małgosia przestała słyszeć jego posapywanie.

– To nie ma sensu. Lepiej zrobmy to tu – Jaś wyciągnął ramię.

– Gdzie?

– Na podłodze.

– Na podłodze są kartony z twoimi poradnikami.

– Przesunę je. Cholera! – Jaś zerknął na zegarek. – Zaraz będą.

– Odłóżmy to na wieczór.

– Wieczorem będę skonany. Wiesz, na co się zanosi. Posłuchaj – przysunął się do Małgosi. Złapał wargami ciepłe, pachnące ucho dziewczyny i z zamkniętymi ustami, niewyraźnie, wymamrotał:

– Jestem napalony, to nam nie zabierze dużo czasu, chodzi o to, żeby się szybko dogadać. No? – Rozejrzał się po pustych ścianach. Drgnął. – Albo nie! Staniesz przy ścianie, w rozkroku, rozumiesz? Położysz dłonie nad głową, wiesz, jak na amerykańskich filmach, jak gliniarze złapią jakiegoś faceta i go obmacują, czy nie ma spluwy...

– Nie – przerwała mu Małgosia.

– Nie? – Jaś cofnął nieznacznie brodę.

– Nie.

– A jak chcesz?

– Normalnie.

– Klasycznie?

– Tak.

– W porządku. Okej. Nie ma sprawy

Pociągnął ją na środek pokoju. Przesunął karton z poradnikami ubezpieczeniowca robiąc miejsce. Przyjrzał się swojemu dziełu.

– Gotowe!

Małgosia westchnęła cicho. Zrobiła krok. Wołała mieć to już za sobą. Powstrzymał ją.

– Albo nie! – przesunął karton z powrotem. – Tak będzie lepiej.

– Dlaczego?

– Położysz się na nim brzuchem i wypniesz pupcię – w półmroku poruszył silnymi ramionami. Mówili szeptem, ponieważ byli w pokoju, w którym nie powinno ich być. Tak zdecydowali rodzice Jasia. W przyszłości będzie to pokój dziecięcy. Z południową wystawą. Z widokiem na uroczy, zadbane ogródek, w którym ich dziecko będzie mogło się bezpiecznie bawić i wzrastać otoczone miłością. Ogródek z plastikową huśtawką, plastikowym basenikiem, plastikową piaskownicą, plastikową karuzelą, plastikową sarenką pod plastikowym grzybem. Teraz, przez szczelnie zasłonięte okna wpadało do środka rozproszone światło w kolorze butelkowej zieleni. W jednym z kątów stało łóżeczko na biegunach z wymalowanymi siedmioma krasnoludkami o czerstwych, rumianych twarzach.

Przede wszystkim trzeba będzie zmienić zasłony w oknach na jaśniejsze. Wesołe, dziecięce zasłony. To sprawa Małgosi. Przyszłej czulej, kochającej matki. Izabela dyskretnie usunęła się w cień. Zasy-

pywała Małgosię pytaniami i natychmiast na nie odpowiadała z wyrozumiałym uśmiechem kobiety dojrzałej i odrobinę rozczarowanej.

Małgosia wolałaby się kochać w hotelu. Nawet w samochodzie, tylko nie w tym pokoju.

– Mam tyle spraw na głowie – pomyślała z przestachem.

– Hej! Rusz się! Prawie trzecia! – Jaś stał już bez bokserek. – Popatrz, co się z nim dzieje! – szepnął z zachwytem. – Ostatecznie jeśli nie chcesz z kartonem, to zrobimy to klasycznie.

– Wolę klasycznie.

– Nie ma sprawy, kochanie. Uwielbiam kochać się z tobą w każdej pozycji – zapewnił Jaś żarliwie. Jego słowa zabrzmiały jak wyznanie wiary. Małgosia jakoś naturalnie pomyślała o świętokradztwie, które za chwilę popełni w tym pokoju. Jakoś nie umiała nabrać dystansu do spojrzeń Gapcia, Śpieszka, Śmieszka i całej reszty tłustych krasnali, łypiących na nią figlarnie ze ścianek łóżeczka na biegunach. W końcu oni, pracując od świtu do zmroku w lesie, nie mieli najmniejszego pojęcia o tym, jak ważny jest w życiu ludzi seks. I jaka się z nim wiąże odpowiedzialność. Żyli w harmonii z przyrodą, mieli skromne marzenia. Albo w ogóle ich nie mieli. Póki nie zjawiała się w ich życiu atrakcyjna Królewna Śnieżka z tą minką skrzywdzonej sieroty.

– Twoi rodzice nie będą zadowoleni.

– Nie mów mi teraz o moich rodzicach, do licha! Jeszcze chwila, a nic z tego nie będzie. Jestem dzisiaj w kapitalnej formie!

Małgosia zdjęła majtki i położyła się na dywanie. Od razu poczuła świerzbiecie na plecach i pośladkach. Na pewno spoci się i świerzbiecie stanie się nieznośne. Jaś najpierw przygniół narzeczoną, a potem, pomrukując gardłowo, wtargnął w nią gwałtownie. Był twardy i ciężki.

Małgosię trochę bolało, ale w sumie była mu nawet wdzięczna za to, że się tak szybko ze wszystkim uporał.

– Jest cudownie! Oo! Bosko! Jest cudownie? Chcę, żeby ci było cudownie, tak jak mnie jest cudownie! Oooo! Jest słodko! Jest ci słodko?

– Jest słodko.

– Powiedz, że jest cudownie.

– Jest cudownie.

– Och! Zaraz będę miała! Też będziesz miała?

– Nie.

Za drzwiami rozległ się natarczywy dźwięk telefonu. Małgosia zacisnęła palce na szerokich ramionach Jasia. Usłyszeli kroki i głośny okrzyk Izabeli:

– Jaś! Telefon! To na pewno Zdobniak!

– Cholera! – Jaś zdusił przekleństwo. Opadł bezwładnie na ciało Małgosi. – Niech to szlag trafi! Przekłety telefon. Nienawidzę telefonów! Wymyślając telefony, ludzie sami założyli sobie pętlę na szyję!

Telefon nadal dzwonił.

– Cholerni frajerzy! – wykrzykiwał Jaś szeptem w ucho Małgosi. – A to wszystko dla cholernej forsy!

– Walter, nie widziałeś Jasia?

– Nie mam pojęcia, gdzie on jest. Za pięć minut przyjedzie ktoś z „Weselnego Jadła” ustalić menu. Jaś i jego kobieta powinni być przy tym, do cholery! Nie ja będę żarł te wszystkie sałatki smakujące jak trawa!

– A ja ostrzegam, żebyś nas nie kompromitował swoimi gustami jaskiniowca! – warknęła Izabela.

– Prawie miałem! Prawie miałem! Niech to szlag! – jęknął Jaś.

Telefon przestał dzwonić. Walter Skoczek przestał go przekrzykiwać. Izabela wróciła do kuchni. W hallu zapadła cisza. Jaś zsunął się z Małgosi.

– Przepraszam, kochanie – szepnął. Zerknął na zegarek. – Kwadrans po trzeciej. Chyba będziemy musieli jakoś wyjść. Nienawidzę telefonów! – wykrzyknął zduszonym głosem. – Ludzie są niewolnikami telefonów!

Małgosia wstała i ubrała się szybko. Strach przed rodzicami Jasia z wolna mijał. Ledwo wymknęli się cichaczem z dziecięcego pokoju, kiedy rozległo się stukanie do drzwi i przetworzona elektronicznie melodia „Usta milczą, dusza śpiewa” z „Wesołej wdówki” Lehara. Izabela wystawiła głowę z kuchni.

– Gdzieście się podziewali? Małgosia, jesteś mi potrzebna. Załatwcie szybko tych z „Weselnego Jadła” i zadzwońcie do Zdobniaka. Telefonował.

Jaś otworzył. W progu stało dwóch uśmiechniętych mężczyzn w szarych garniturach, białych koszulach i czerwonych krawatach. Jeden był wysoki i tęgi, jego towarzysz zaś niski i bardzo chudy. Sprawiał wrażenie, jakby cierpiał na chorobę wrzodową. Albo na woreczek żółciowy. Ewentualnie coś z wątrobą. Miał na twarzy nikły wyraz ssącego cierpienia. Natomiast ten wysoki i tęgi sprawiał wrażenie, jakby nigdy w życiu na nic nie chorował. Obaj nienaganni. Wyższy wskazał na siebie i kolegę:

– Badura, specjalista od potraw i Suchy, specjalista od trunków. Z „Weselnego Jadła – przedstawił obu. – Byliśmy umówieni – przypomniał na wszelki wypadek. Zerknął na zegarek tak dys-

kretnie, że ani Jaś ani Małgosia nie daliby głowy, że to zrobił. Ale z kolei nie daliby głowy, że tego nie zrobił. Czuło się klasę i profesjonalizm.

– Doskonale! – Jaś szeroko otworzył drzwi wpuszczając obu do środka. Wszyscy przeszli do bawialni. Usiedli przy niskim stoliku z wygiętymi nóżkami, wygodnym, jeśli akurat siedziało się równie nisko na podłodze.

– Zatem potrawy – Badura zwarł grube palce mocnych, dobrze utrzymanych dłoni zastanawiając się chwilę. – Czy macie państwo jakieś specjalne życzenia? Co do dań głównych lub przystawek?

– A co teraz mamy w modzie? – zapytał Jaś.

– Doskonale postawiona kwestia – uśmiechnął się Badura. – Nasz wróg to cholesterol, zatem niska kaloryczność. Ponadto błonnik, błonnik i jeszcze raz błonnik. Podążajmy za wskazaniami nauki...

– Cała masa zasadniczych problemów – wtrącił Suchy i skrzywił się.

– Ale nie są to problemy, których nie dałoby się rozwiązać – uspokoił Badura. – Właśnie od tego jesteśmy.

– A coś z mięsem? – zapytała Małgosia.

– Jakich mięs? – Badura i Suchy zatopili nieruchomy wzrok w Małgosi.

– No... nie wiem... choćby kotlety schabowe?

Badura i Suchy spojrzeli po sobie. Ich spojrzenia wyrażały ponury tragizm i zarazem wstydlive rozbawienie. Położyli palce na ustach. Chrząknęli.

– Zapomnijmy o kotletach, jeśli nie chcemy, żeby świat zapomniał o nas – Badura przestał się uśmiechać.

– Tradycyjna polska kuchnia...

– A jak się schabowe kotlety... – Badura przerwał Małgosi, w jego głosie słycać było pogardliwe nutki, których nie starał się już ukryć – mają choćby do fond d'artichant mausselin czy paupietes de chou rouge? A mówimy o prostych potrawach. Dopiero przed nami wyższe piętra świątyni sztuki kulinarnej.

Zapadła ciężka cisza. Małgosia pochyliła głowę. Jaś objął ją ramieniem i przytulił.

– Niepotrzebnie spierasz się z panami, kochanie. To specjaliści. Polegamy na panów wyrobieniu – zwrócił się do przedstawicieli firmy „Weselne Jadło”.

– Doskonały wybór – pochwalił go Badura.

– Więcej zaufania do nauki, młoda damo – dodał Suchy. Przełknął ślinę. Stercząca grdyka przesunęła się pod skórą, jakby Suchy właśnie połykał ostry kamień średniej wielkości – My proponujemy rozwiązania stosowane w najelegantszych lokalach Europy. Proszę mi wierzyć, tam się nie jada kotletów schabowych.

Badura z płaskiej aktówki obciągniętej czerwonym atlasem, z ozdobną aplikacją stylizowaną na Art Nouveau, wydobyl kawałek eleganckiej tektury o złoconych rogach.

– Oto karta, jaka proponujemy gościom na tego rodzaju przyjęcia – zakomunikował.

– Jakiego rodzaju? – Jaś spojrzał na Małgosię.

– Przyjęcia weselne. Czyżby chodziło o inne? – Badura zerknął na Suchego.

– Nie. Dlaczego? W porządku – zgodził się Jaś. Odebrał kartę z rąk Badury i wsadził w nią nos udając, że czyta. Zapadła cisza. Podał kartę Małgosi. Ona również udawała, że czyta.

– Zdajemy się na panów – powiedziała. W hallu zadzwonił telefon. Jaś spojrzał na zegarek. Wstał.

– To z pewnością Zdobniak. Przepraszam panów. Kochanie, załatw wszystko z panami i nie zapomnij o panu Suchym. Mam wrażenie, że nie znaleźlibyśmy lepszego znawcy trunków.

Wyszedł z bawialni.

– O, tak! – Suchy znowu łąpczywie przełknął, po czym cienkimi, owłosionymi palcami przypominającymi Małgosi chwytliwe odnóża pająka ptasznika otworzył własną aktówkę. – Mam tu kartę lekkich napojów w sam raz na...

Dziewczyna uśmiechnęła się blado.

– Polegam na pana znajomości... okropnie boli mnie głowa. – Dotknęła skroni palcami. Wstała. Badura i Suchy również.

– Doskonale – rzekł Badura. – Z pewnością będzie pani zadowolona. Dołożymy wszelkich starań. Jednakże... – nachylił się lekko w stronę Małgosi – niezbędna jest pewna współpraca. Choćby w niewielkim stopniu.

– Tak. Rozumiem. Przepraszam.

– Będziemy pojutrze o świcie.

To zabrzmiało jak groźba. Mimo to Małgosi uśmiechnęła się. Odprowadziła ich. Jasia nie było przy telefonie. Zjawił się natychmiast, jak tylko za specjalistami z „Weselnego Jadła” zamknęły się drzwi.

– Co za faceci – Jaś zachichotał. – Kto ich właściwie wytrzasnął?

– Twoja matka.

– Jesteś zmęczona? Moja maleńka. Posłuchaj – zerknął ponad jej głowę w głąb hallu – zakradniemy się do dziecięcego pokoju. Hm? I zrobimy coś bardzo, bardzo milusiego? Mamy niecałą godzinę.

- A dlaczego nie mielibyśmy się kochać w twoim łóżku na górze?
- Nie podnieca cię atmosfera występku? Zakazany owoc i tak dalej? Chodź! – Pociągnął Małgosię za rękę.
- Wybieracie się gdzieś? – U góry schodów pojawiła się Izabela, matka Jasia. – Będziesz mi potrzebna, kochanie. Jak ci z „Weselnego Jadła”? Mam nadzieję, że będziecie zadowoleni. To znana firma obsługująca ekskluzywne przyjęcia, jestem pewna, że zadbają o wszystko...
- Za pół godziny, mam. Dobrze?
- Nie ma mowy.
- Jezuniu, mam! Za dwa dni będziemy z Małgosią małżeństwem! – Jaś rozłożył ręce.
- Koniec gadania. Małgosiu, kochanie, wejdź do mnie. Mam problem z upięciem góry tego cholernego kostiumu. Wiesz, zaczynam żałować, że zamówiłam to coś w „Kolorowych Szmatach”. To naprawdę szmatki, jeśli o to chodzi. Dziwię się, że oni jeszcze egzystują. Ten ich główny krawiec, Umlau, to potwór. Jasiu, możesz dokończyć wypisywanie zaproszeń. I zadzwoń w końcu do Zdobniaka. Biedny chłopiec na pewno przeżywa szok aklimatyzacyjny.
- Już z nim rozmawiałem. Nie przeżywa żadnego szoku. Ten facet nigdy niczego nie przeżywa...
- W hallu pojawił się Walter, ojciec Jasia. W rękę trzymał „Poradnik Giełdźiarza”. Spojrzał na Małgosię zaczepnie.
- Co myślisz o ostatnich notowaniach sektora spożywczego?
- Nie przeszkadzaj nam – zwróciła się do niego Izabela.
- Chcę zainwestować w kurczaki – obwieścił Walter.

- Nie wytykaj jej ciągle pochodzenia, tato! – Jaś dotknął ramienia Małgosi.
- Po co ślicznej dziewczynie jakaś głupia giełda? – zapytała Izabela. Zwróciła się do Małgosi – potrzebuję twojej kobiecej rady...
- Jeśli ma być żoną mojego syna i matką jego dzieci...
- Śpieszmy się na spotkanie ze Zdobniakiem – przerwał ojcu Jaś.
- Chcesz, żeby twoja matka wyglądała jak stara baba? – zapytała Izabela ze złością i niedowierzaniem.
- Małgosi nie interesuje twój kostium – odparł Jaś.
- A kogo obchodzą jakieś parszywe szmaty! – wtrącił Walter.
- Izabela spojrzała na męża zimno.
- Policzymy się później – syknęła.
- Przypominam – powiedział Jaś – że mam się widzieć z moim krawcem. Chyba, że jest wam wszystko jedno, w czym pan młody będzie brał ślub. He? A na szóstą zamówiłem stół w „Madrygale”...
- Cały zarząd „Polskiej Blachy” poszedł w fałszowanie ksiąg – odezwał się nagle Walter zrezygnowanym głosem. Uniósł gazetę giełdową. – Złodzieje. Mój makler namawia mnie, żebym inwestował w przemysł gumowy. Podobno prezerwatywy są w modzie. Nie wiem. Może. Tyle się teraz mówi o seksie... ale ja postanowiłem iść w sektor spożywczy. Ogłosili w „Świecie Drobiu” standing „Polskiego Koguta”...
- Osobiście nie mam zaufania do drobiarzy – przerwał Jaś ojcu. – Faszują kury ich własnymi odchodami i jakimiś hormonami...

- Mają dużą progresję eksportu, w tym trzy kontrakty białoruskie.
- Rób jak chcesz – Jaś ujął Małgosię za ramię i pociągnął w stronę drzwi.
- Małgosia!

Małgosia zatrzymała się. Spojrzała na Izabelę.

– Czy pomożesz mi z tym kostiumem? – zapytała Izabela wolno, bardzo wyraźnie artykułując głoski.

– Jedziemy do Kutka, a potem na kolację! – zakomenderował Jaś. – Wątpię, żeby Małgosię interesował ten twój ciasny, źle uszyty, cholerny kostium z „Kolorowych Szmatek”.

Izabela zacisnęła wąskie wargi.

– Sądzisz, że mój kostium nie zainteresuje jej?

– Tak uważam. Ona nie jest z tych, co godzinami przewracają szmatki w szafie.

– Nie? Poczekaj, aż będzie w moim wieku! Aż straci młodość, urodę i zdrowie po latach prowadzenia domu dwóm takim, jak wy! – Izabela powiodła gorejącym wzrokiem po mężu i synu.

– Chodź! – Jaś popchnął Małgosię.

– Małgosia! – krzyknęła Izabela. – Czy ciebie interesuje mój kostium?

Małgosia milczała wystraszona

– Jestem pewna, że cię interesuje!

– Niespecjalnie – odparła dziewczyna nie podnosząc głowy.

– Wiedziałem – rzekł Walter. Uśmiechnął się ze złośliwym tryumfem.

– Ach, tak? – Izabela odsunęła się od poręczy. – Rozumiem.

Z góry powiało chłodem. Małgosi było wszystko jedno. Chciała jak najszybciej wyjść z tego domu.

– Rozumiem – powtórzyła matka Jasia. I rzeczywiście, wyglądała, jakby nagle, tu, na schodach własnego domu pojęła, skąd się bierze wszelkie zło tego świata.

Jaś i Małgosia szybko wyszli. Małgosia z ulgą, choć z drugiej strony z dręczącym poczuciem winy. To cecha jej charakteru. Jest zodiakalną Wagą. Stara się wszystkich zrozumieć. Często kosztem własnych interesów. Wsiadli do samochodu i odjechali.

– Jak ją znam, będzie tak stała do północy, kiwała głową i powtarzała to swoje pełne goryczy: „Rozumiem.” Nie przejmuj się tak moimi starymi.

Małgosia zamknęła oczy. Położyła głowę na oparciu.

– Właściwie są na swój sposób mili – dodał Jaś po dłuższym namyśle.

– Wobec tego ja nie znam tego sposobu.

Jaś zaśmiał się.

– Jesteś świetna – powiedział, nie wiadomo co mając na myśli. Przed butikiem Mariana Kutka zakończył roztrząsać problem rodziców słowami:

– Jestem pewien, że się w końcu polubicie. Mają swoje dziwactwa, ale któż ich, na Boga Ojca, nie ma?

Wybór ubrania, cylindra, rękawiczek i laski zajął Jasiowi pół godziny. Przymierzył kilka marynarek zanim zdecydował się na rudobrazową w popielate prążki i poprzeczną, różową nitkę oraz popielate spodnie, do tego mysi cylinder i rękawiczki w gołęmb kolorze, biała koszula i rubinowy krawat z perłą.

– Będziesz najpiękniejszym panem młodym, jakiego zdarzyło mi się ubierać! – wykrzyknął Kutek. Zwrócił się do Małgosi:

– Piękny chłop z niego.

Jaś roześmiał się. Pociągnął nosem z głębokim zadowoleniem. Obracał się na wszystkie strony oglądając swoje wspaniałe odbicie. Lustro nie kłamało. Był piękny.

– Piękny chłop z niego – powtórzył Kutek.

Jaś wybrał czerwoną różę z wazonu i włożył do butonierki.

– No? Jak teraz, Marian?

– Piękny chłop z ciebie, daję słowo.

Jaś pociągnął krawca za amarantowy szal z jedwabiu.

– Jestem gotów w to uwierzyć, Marian.

– Uwierz.

– Doprawdy? – Jaś okręcił sobie koniec szala wokół palca.

– Mógłbyś mnie tym uszczęśliwić.

Jaś roześmiał się. Wypuścił szal z palców.

– Nic z tego.

– Facet z jego aparycją i wzięciem nie powinien wiązać się z kobietami – zwrócił się Kutek do Małgosi. Zniknął za kotarą ciągnąc za sobą koniec karminowego sari z tiulu. Po chwili wrócił z małą paczuszką przewiazaną tasiemką w czerwone grochy.

– Dla ciebie, Jaśku. W prezencie ślubnym od niebiańskich serafinów zasmuconych twoją decyzją.

– Co to?

– Moje adieu odchodzącemu chłoptasiowi.

– Odchodzącemu?

– Donikąd.

Jaś wybuchnął śmiechem. Obejrzał pudełko:

– Co w nim jest?

– Otworzysz w domu.

– Niech zgadnę. Niemieckie prezerwatywy? – Jaś znowu się śmiał. Puścił oko do Małgosi. Marian Kutek położył ręce na piersi. Milczał. Był nagi i muskularny. Miał na sobie mieszek z jagnięcej skórki podtrzymywany na biodrach przepaską z paciorków granatu. Z szyi zwisał mu ryngraf z jakimś zawitym motywem roślinnym doskonale komponującym się z obfitym i równie zawitym owłosieniem klatki piersiowej.

Jaś oddał paczkę Kutkowi.

– Moje good bye twojemu adieu – rzekł.

– Może zdecydujesz się innym razem – rzucił Kutek od niechcienia. – Marian czeka i stroi instrument, by ci zagrać miłosną pieśń.

– A jak ty? – zagadnął Jaś ignorując poetyckie deklaracje krawca.

– Co? – Małgosia zmusiał się do uwagi.

– Podobam ci się w tym ubraniu?

– Tak.

– Wobec tego przyślij mi je do domu, Marian.

– Przywiozę, kiedy będziesz sam, faunie.

– Już nigdy nie będę sam – odparł Jaś.

Kutek zwrócił mętne oczy na Małgosię. Odpowiedziała mu milczeniem.

- I tak nic nie wskórasz, choćbyś założył swoją najpiękniejszą kieckę. Jestem normalnym chłopem, jeśli chodzi o te rzeczy.
- Nikt nie jest normalny, mój mały. Nikt.
- Żartujesz.
- Ona jest piękna.
- Kto?
- Twoja dziewczyna. Jest prześliczna.
- Wiem o tym – odparł Jaś z dumą i przechwałką.
- Nie wiesz, jeśli pozwalasz, żeby była taka smutna.

W drodze do „Madrygału” Jaś nabijał się z Kutka, ale nie zmusił Małgosi do przyznania, że Marian jest cholernie seksowny.

- On mnie naprawdę podniecił. A ciebie?
- Nie mam ochoty o nim rozmawiać.
- Ciekawe, czy normalny facet, na przykład taki jak ja, mógłby zostać pedziem? – zastanowił się Jaś na głos.
- Mógłby.
- Tak sądzisz? To nie było miłe, moja droga. Kupiłem ten przytyk – Jaś wycelował w nią palcem.
- Mamy mieszkać z twoimi rodzicami?
- A co?

– Wolałabym osobno.

– Nie bój się. Ja ich ustawię. Dół ich, ale góra nasza. Albo na odwrót.

Spojrzał na Małgosię łakomie. Nagle skręcił w jakąś bramę i wjechał na podwórko. Rozejrzał się, podjechał pod ścianę kamienicy. Znowu się rozejrzał.

– Jestem nabuzowany – szepnął.

Małgosia przyglądała mu się uważnie.

– Zdejm majteczki, kotku.

– Tutaj?

– Tutaj.

– Przecież tu są ludzie...

– Nie ma nikogo. Zobacz, że jest pusto.

– Nie lubię się kochać w samochodzie. Jeśli nie muszę.

– Ale teraz musimy.

Jaś opuścił oparcie fotela. Zaczął się mocować z paskiem od spodni. Opuścił błękitne bokserki w różowe esy-floresy. Małgosia zauważyła, że penis Jasia sięga kierownicy. Jest wielki, nabrzmiały, twardy, gorący. Powściągnęła pragnienie wzięcia go do ręki. Odwróciła głowę.

– Nie tu, Jasiu.

– Pragniesz mnie?

– Tak. Ale nie tu.

Jaś wsunął rękę między nogi Małgosi. Mocniej ścisnęła uda. Pokręciła głową.

– Obejmij go.

– Nie.

– Przecież pojutrze będziemy małżeństwem, do cholery! – wykrzyknął Jaś cicho. – Co ci szkodzi objąć go?

– Nie traktuj mnie w taki lekceważący sposób.

– Nigdy ci nie lekceważę! – zaprotestował Jaś.

– Wciąż rozmawiacie o mnie, a nikt nie rozmawia ze mną.

– Co? Zawsze lubiłem się kochać w samochodzie. Ty nie?

Jaś opadł na jej kolana, obiema rękami usiłował zedrzyć z dziewczyny majtki. Małgosia wsparła się stopami o podłogę samochodu, a karkiem o oparcie. Po minucie Jaś dał za wygraną. Opadł na kolana Małgosi złany potem.

– Przecież nie kazałem ci wziąć go do buzi – jęknął. – Jak możesz mówić, że traktuję cię lekceważąco? Kocham cię, jesteś moją dziewczyną, a nawet gdybyś miała wziąć go do buzi, to przecież takie rzeczy zdarzają się między mężczyzną a kobietą. Nie proponowałem ci jakichś... chciałem tylko, żebyś objęła go palcami i popieściła. Nic więcej! Tylko tyle!

Małgosia otworzyła drzwi samochodu i wysiadła.

– Poniżyłaś mnie! – krzyknął Jaś. – Podeptałaś we mnie mężczyznę!

Ubierał się pośpiesznie. Uruchomił silnik i ruszył za nią.

– Kobieta nie może łamać dumy mężczyzny! Zwłaszcza, jeśli wychodzi za niego za mąż! To się może rzucić cieniem na nasze małżeństwo i na dzieci!

Małgosia zatrzymała się. Wsiadła do samochodu.

– Masz świetną dupkę – spróbował Jaś jeszcze raz.

– Która godzina?

Jaś spojrział na zegarek.

– O, do licha! Jesteśmy spóźnieni!

Wyjechali z bramy. Jaś przyśpieszył.

– Nie pomalujesz się? – spytał zerkając na Małgosię z boku.

– Nie chce mi się. I tak jestem brudna i wygnieciona.

– Nie powiem, żeby to był dobry pomysł.

– Być może. Ale żaden inny nie przychodzi mi do głowy.

– Wstąpimy gdzieś, żebyś mogła się doprowadzić do porządku.

– Powiedziałam, że mam to w nosie.

– Chcesz mnie ukarać?

– Po prostu nie mam ochoty doprowadzać się do porządku.

– Nie poznaję cię – Jaś uniósł brwi. – Co cię ugryzło?

– Twój ojciec nie znosi mnie. Z Izabelą też się chyba nie dogadam.

– Zdaje ci się. W gruncie rzeczy są ogromnie poczciwi.

– Jacy?

– Przekonasz się, gdy poznasz ich lepiej. Moja matka i ty na pewno zostaniecie przyjaciółkami.

Przed „Madrygałem” stało kilka samochodów. Wśród nich czerwone, sportowe BMW.

– Zdobniak już jest. Cieszę się, że się spotkacie. To fajny facet. Ale uważaj, – puścił oko do Małgosi – on jest cholernym podrywaczem.

– Dziwkarz?

– To nie to. On nie jest tanim facetem. Szanuje się. Po prostu ma godność. Nie łapie się za byle co. Przyjechał w zeszłym tygodniu na urlop. Pracuje w Afryce, na pewno będzie miał coś ciekawego do opowiedzenia. Jest facetem o szerokich horyzontach.

– Dziwkarz-intelektualista z godnością.

– Jesteś złośliwa. Uprzedzasz się bez powodu. Zdobniak jest moim kumplem ze studiów. Znamy się jak dwa łyse konie. Chciałbym, żebyś pokazała mu się od jak najlepszej strony.

– Możesz być pewien – odparła Małgosia z dziwną nutką w głosie.

Przez moment Jaś zastanawiał się, co miała na myśli, ale szybko dał spokój. Rzadko kiedy udawało mu się prawidłowo odgadnąć myśli Małgosi.

Zdobniak i jego dziewczyna zaśmiewali się do łez. Towarzyszka Zdobniaka była czarnowłosa dwudziestką w czerni. W każdym ruchu, geście i wszystkimi szczegółami swojej garderoby wyrażała twardą, ostrą progresywność, nie zauważywszy momentu, w którym straciła to, co Jaś tak lubił w Małgosi – miękką, nieco staromodną kobiecość. Zdobniak zwrócił rozbawiony wzrok na Małgosię. Połknął haczyk natychmiast, udławił się nim, poczuł go na samym dnie, w dole, w jądrach. Przerwał gestem dłoni śmiech swojej dziewczyny, która akurat snuła jakąś opowieść:

– ... no i rozumiesz, on jej wsadza...

– Zamknij się.

Dwudziestka odgięła się w tył i zapaliła papierosa dłońmi o czarnych paznokciach. Obrzuciła Małgosię zimnym spojrzeniem. Zdobniak niemal nie zauważając Jasia wstał.

– Zdobniak! Koniu boży! Gdzieś się podziewał taki szmat czasu?! – Jaś rozwarł ramiona. Zdobniak w roztargnieniu poklepał Jasia po plecach.

– Skąd wystraszałeś tę dupę? – spytał szeptem. Jaś wiedział, że Zdobniaka zatkało. To było oczywiste, że go zatka. Po to się z nim umówił.

– To moja żona. Za dwa dni – wyjaśnił. – Małgosiu? To Inżynier Robert Zdobniak. Zdobniak? To Małgosia, moja narzeczona. Na razie – dodał zupełnie niepotrzebnie.

Oboje podali sobie ręce. Dłoń Zdobniaka była wilgotna i zimna. Czuł za to, że jego wargi są dla odmiany suche, a język, narząd zazwyczaj giętki i chwytny, którym potrafił w towarzystwie kobiet wyczyniać niezłe sztuczki, sztywny jak kołek.

– Tamta to Zocha – Zdobniak kiwnął głową za siebie.

Dwudziestka ciągnęła papierosa rozgrzewając się niczym alchemiczna retorta. Zdobniak nie mógł oderwać wzroku od Małgosi.

– Twoja narzeczona jest piękna – rzekł chrapliwie. Zupełnie odechciało mu się śmiać. Dosłownie pięć minut temu opowiadał swojej dziewczynie, jaką to Jaś, ten niewydarzony frajer, przyprowadzi grubaskę w okularach i jak się będą z niej wszyscy razem nabijać.

– Napijemy się? – zaproponował Jaś klasnąwszy w dłonie.

– Każda kobieta ma tajemnice – rzekł Zdobniak niejasno, kiedy usiedli. Jemu samemu to, co powiedział, wydało się niejasne. Właściwie nie wiedział, co ma na myśli.

– Nie Małgosia – zapewnił go Jaś. – Prawda, kochanie? – przytulił ją ramieniem. Małgosia uśmiechnęła się. Zdobniak również. Nawet Zocha się uśmiechnęła. Choć narzeczona Jasia dostrzegła w jej uśmiechu niewielki ból. Wszyscy się uśmiechali.

– Małgosia to porządna dziewczyna – ciągnął Jaś. – A ty lubisz te zepsute.

– Nie, chłopie. Ja lubię porządne dziewczyny. Lubię je psuć. One też to lubią. Wszystkie. Nie ma to jak porządna dziewczyna. Człowiek się naharuje, namiele jęzorem, ale ma satysfakcję.

Jaś wybuchnął śmiechem. W tej chwili żal mu było Zdobniaka. Był dumny z Małgosi i jej miłości. Tak. To, co odczuwał, to była duma.

– Nie jestem powietrzem, Zdobniak – odezwała się Zocha.

– Nie jesteś – odparł Zdobniak nie patrząc na nią. Wciąż wlepił wzrok w Małgosię.

Kelner przyszedł po paru minutach. Zdobniak zapytał Małgosię, czego by się napiła. Odparła, że niczego. Rozglądała się po sali. Dostrzegła niklowaną rurę do tańca. Lśniła w złoto-purpurowym przytłumionym świetle niczym zimny, pojedynczy płomień wielkiego, ukrytego przed jej oczami ognia. Złego ognia. Czuła to. Zdobniak, uważający się za człowieka, któremu bliska jest wysoka kultura, zamówił dla siebie i Jasia butelkę „Chopina”, a dla Małgosi, i ewentualnie Zochy, szampana.

– Zostajesz, czy wychodzisz? – zapytał Zochy. Nie odpowiedziała. Zdobniak wzruszył ramieniem. Jaś namawiał Zdobniaka, żeby powspominali stare, dobre czasy.

– Po co? – spytał Zdobniak. Nie odrywał wzroku od Małgosi.

Zocha zgasiała kolejnego papierosa.

– Idę, Zdobniak. Mam tego dosyć.

– Cześć.

– Mam zadzwonić?

– Jak chcesz.

– Nie jestem dziwką, żebyś mnie tak traktował.

– W porządku, nie jesteś.

– Parszywy kutas z ciebie.

– Jasne – Zdobniak ponownie wzruszył ramieniem. Zocha wyszła.

– Mieliśmy iść na rozbieraną imprezę do faceta, którego poznałem w Lusace – rzucił Zdobniak z pogardą, patrząc w oczy Małgosi – i ona mówi, że nie jest dziwką. Każdej się zdaje, że ma klasę i facet powinien stracić dla niej głowę. Takich jak ona jest dziesięć na metrze kwadratowym chodnika. Ale takich jak ty niewiele.

Zdobniak miał minę, jakby zamierzał zwymiotować. Jaś uśmiechnął się zadowolony.

– Takich, które rozpinają ci rozporek, zanim dokończysz pierwszego drinka jest na pięćki – Zdobniak machnął ręką zrezygnowany. Poczul łyżę w kącikach oczu. Kelner przyniósł trunki. Jaś otworzył szampana i nalał Małgosi. Zdobniak otworzył „Chopina”, nalał sobie i Jasiowi. Obaj wypili. Małgosia umoczyła wargi.

– Pamiętasz Jolkę Guzik? – zagadnął Jaś.

– Pamiętam. A co?

– Była cholernie wścibska...

– Jaka?

– Wścibska.

– Chyba cipska?

Jaś zaśmiał się. Poklepał Zdobniaka po plecach.

– Jak ja kocham twoje żarty, Zdobniak! Tęskniłem do nich, bracie! Stare, dobre czasy...

– Nie było chłopaka na roku, któremu nie zajrzałyby do spodni – poinformował Zdobniak zasłuchaną Małgosię. – Ona ma klasę – Zdobniak pokazał na narzeczoną Jasia. – Nie powiedziała jeszcze ani jednego słowa. Znam się na tym. Kobieta, która ma klasę nie musi mi tego udowadniać. Zocha musi, a ty nie, Małgocha.

– Małgosia – poprawiła Małgosia.

– Jasne. Małgosia. Sorry – zgodził się Zdobniak.

– Małgosia ma klasę – zgodził się Jaś z ochotą. Nalał sobie wódki i wypił. – Stare, dobre czasy...

– Dlaczego ona nic nie mówi? – spytał Zdobniak nie zwracając uwagi na Jasia wspominającego stare, dobre czasy. – Twoja klasa mnie przygniotła, dziewczyno. Już dawno powinnaś dać mi numer swojego telefonu. Jeśli krępujesz się Skoczka, to wyślij go gdzieś na chwilę.

– Nic z tego, bracie. Nic z tego – wtrącił Jaś.

– Co robiłeś w Afryce? – zapytała Małgosia.

– Jak go znam, robił wszystko, żeby nie złapać aida od czarnych dziwek! – krzyknął Jaś gnąc się ze śmiechu.

– Podobno masz szerokie horyzonty – ciągnęła Małgosia.

– Kto tak mówi? – zapytał Zdobniak.

– Takie szerokie, jak rozkraczona dziewczyna! Od jednej nogi do drugiej! – Jaś niemal umierał ze śmiechu. Świetnie się bawił. Nie miał powodów do zmartwień. Znowu sobie nalał i wypił.

– Śmieszny facet – Zdobniak pokazał na Jasia. – Długo z nim nie wytrzymasz.

– Nie masz racji, bracie. Mówiłeś, że jest różnica między Zochą a Małgosią. Zgadza się. Między nami też jest różnica. Ty jesteś ptakiem, a ja stworzę Małgosi warunki. Nie będzie musiała pracować, zajmie się domem, dziećmi i tak dalej.

– Ty chcesz mieć z nim dzieci? Spytałaś, czy on ma je czym zrobić? To był jedyny facet, w którego spodniach Jolka Guzik nic nie znalazła. A ona umiała szukać. Miała nosa do tych rzeczy.

– Przeholowałaś, Zdobniak – Jaś wyprostował się. – Miałem Jolkę.

– Co ty powiesz? Różnaś Jolkę Guzik?

– Jasne. I mogę ci powiedzieć, jaki był jej popisowy numer, jeśli chciałbyś mnie sprawdzić.

– No?

– Latawiec na uwięzi.

– Faktycznie. To był jej numer. Dobry Boże! – Zdobniak rozrzewnił się. – To już tyle lat.

– Stare, dobre czasy.

– Stare dobre czasy – powtórzył Zdobniak jak echo. – Dobry Boże! – westchnął. – Gdzie jesteście, niegdysiejsze śniegi?

– Jolka pracuje w telewizji. Ma własny tokszoł. Pytała o ciebie.

– O mnie? – Zdobniak uniósł gęste, czarne brwi o nieco diabolicznym wyglądzie.

– Tak. Ona robi spotkania z ciekawymi ludźmi. Powiedziałem jej, że walczysz z głodem na czarnym łądzie...

– Patrz, jak się wybiła, no? – zdumiał się Zdobniak. – Przecież to była kompletna idiotka?

– W końcu zajrzała w ten właściwy rozporek! – Jaś roześmiał się ubawiony. Im dłużej patrzył na Zdobniaka topniejącego niczym bałwan w słońcu, tym lepiej się bawił.

– Świat się zmienia. Byliśmy kiedyś z Jasiem blisko – wyjaśnił Zdobniak Małgosi. – Potem rozjechaliśmy się. Od lat pracuję dla FAO. W Afryce. Biedne, chude czarnuchy i bogate, tłuste czarnuchy i tak dalej. – Zdobniak zakręcił dłonią młynka. – Tych chudych więcej, ale bogaci stawiają nam dobre obiady, wiecie jak to jest. Człowiek może i chciałby zrobić coś dobrego, ale... jakoś nie ma okazji – Zdobniak zamilkł. – Kogo to w końcu obchodzi?

– W porządku – Jaś poklepał Zdobniaka po plecach. – W Afryce nie jest lekko, każdy to wie, ale teraz masz urlop, zjechaliśmy się i będzie klawo.

– Mało brakowało, a wylaliby mnie z tego całego FAO.

– Chyba nie dlatego, że wszyscy czarni się w końcu ponajadali, co? – zażartował Jaś.

– Przeleciałem żonę ministra komunikacji. Po jednym z tych proszonych obiadów. Facet chciał mi obciąć wacka nożykiem do owoców. Ledwo zwałem do naszej ambasady... Ej, a może razem wybierzemy się na to rozbierane przyjętko? Co?

Rozbrzmiała muzyka i na scenę weszła tancerka go-go.

– Nielichy towar tu mają – ocenił Zdobniak. Nie miał nic złego na myśli. Zwykła techniczna uwaga. Małgosia wstała.

– Idę do toalety – oznajmiła. Odeszła. Obaj oderwali wzrok od tancerki i spojrzeli na kształtną pupę Małgosi przesuwającą się w rytmie salsy albo rumbi pod krótką sukienką.

– Ma klasę – powtórzył po raz któryś Zdobniak. – Jak Boga Kocham.

– Ma, koleś. Nie da się ukryć. Ona jest taka zwyczajna. Normalna. Kapujesz? Jest kobietą. Nie odbija jej, nie chce być za wszelką cenę chłopem. To wielka rzadkość w dzisiejszych czasach.

– Skąd ją wytrzasnąłeś?

– Z wiochy.
– Pieprzysz.
– Właściwie z małej osady w Bieszczadach. Jest skromna i nie ma tych babskich ambicji, żeby robić karierę, jak choćby Jolka Guzik.
– Jest cholernie seksowna. Jest seksowna aż do bólu. Czuję się... czuję się, jakbym miał próżnię w brzuchu.
– Ona jest piękna jak Wenus Boticellego. Poznałem ją w zeszłym roku na wakacjach. Przypadkiem. Jest łagodna, skromna, ciepła, wyrozumiała, opiekuńcza...
– Jaka jest w łóżku? – przerwał mu Zdobniak niecierpliwie. – Jaka jest, kiedy masz ją nagą przed sobą?! – krzyknął. – Nie pieprz mi tu o cechach charakteru!
– O, koleś – Jaś zachichotał, długo kręcił głową szukając słów zdolnych wyrazić boski nastrój Jasia w chwili, kiedy Małgosia zdejmowała majtki. – Ona jest jak anioł, tak słodka, tak świeża i soczysta jak... jak owoc granatu, który rozcinasz na pełnym słońcu, bo chcesz pić, bo jesteś wysuszony na wiór i pożądasz suchymi wargami wilgotnej czerwieni.
Zdobniaka przeszedł dreszcz. Obaj poczuli nagle, wzbierające pożądanie. Jaś dodatkowo czuł, jak z pleców wyrastają mu skrzydła. Jeszcze chwila, a napisałby jakiś wiersz z rymami o miłości. Przyglądali się tancerce go-go bez specjalnych emocji. Owszem, niezła: dupcia, nogi, zderzaki i tak dalej na swoim miejscu, ale nie wykraczała poza standard. Dziewczyna, która ją zmieniała również.

Po kwadransie zaczęli się niecierpliwić. Sącząc „Chopina” wymienili mnóstwo rzeczowych uwag na temat tańczących dziewcząt, wyczerпали zadadnienie, a Małgosi nadal nie było. Trydzieści

minut po jej wyjściu Jaś ruszył do damskiej toalety. Nie miał pojęcia, co kobieta może robić pół godziny w toalecie. One zawsze wymyślają jakieś dziwne zajęcia i zawsze są niegotowe.

– Baby zawsze mają te swoje problemy z puderniczką albo miesiączką – rzekł do swojego przyjaciela Zdobniaka. – Zawsze nie w porę.

Zniknął w toalecie. Zdobniak zastanawiał się, jak namówić Małgosię na to rozbierane przyjęcie. Nic nie wymyślił. To go wkurzyło, nie znosił poczucia bezradności w stosunku do kobiet. Jaś wrócił z głupią miną rozkładając ręce. Przeszedł obok Zdobniaka ciągnącego z cyniczną rezygnacją resztę „Chopina”. Wyszedł na zewnątrz. Wróciwszy powiedział:

– Nie ma jej.

– Zadzwoń gdzieś.

– Dzwoniłem do domu. Nie ma jej tam.

Zdobniak pokiwał głową, powiedział:

– One nazywają to męskim szowinizmem.

Jaś był wściekły.

– Uznała, że obaj jesteśmy do luzu – ciągnął Zdobniak.

Jaś powiedział, że na pewno nie miała na myśli jego.

– Ty też, chłopie. Ja, ty, wszyscy faceci. Mówiłeś, że je ci z ręki.

– To twoja wina! – Jaś wycelował palcem w Zdobniaka. – Ciągłe nawijałeś o seksie! Ona nie jest z tych, jak ta twoja Zocha! Nie należy do twojej paczki, a ty ją zraziłeś swoją gadką!

– Bzdury! Wszystkie są takie same! Zdaje im się, że jak zadrą kieckę, od razu mogą stroić fochy!

– Gówno prawda! Zraziłeś ją gadaniem o seksie! Po jaką cholere mówileś o tym rozbieranym przyjęciu?! Wyobrażasz sobie, że ona by poszła na taką imprezę? Puknij się w głowę!

– Tak się zgadało...

– Pojutrze mamy wziąć ślub. W kościele. Z muzyką organową. Biały welon, powóz, dzwony, i tak dalej. Tradycyjnie. Ona nie jest, wiesz, taka nowoczesna...

– Przecież ona zwiąła.

– Ona mnie kocha.

– Ale zwiąła.

– Przez ciebie, Zdobniak. Zraziłeś ją swoją głupią gadką o żonie ministra komunikacji.

– Czy napisała coś na lustrze?

– Co? – Jaś nie rozumiał, pogrążony w rozpacz.

– One mają taki zwyczaj, że smarują coś szminką na lustrze. Czy napisała coś takiego?

– Na przykład co?

Zdobniaka zajął do kieliszka. Wzruszył ramieniem.

– Nie mam pojęcia. „Wybacz mi, Jasiu” albo „Muszę odejść, kochany”, „Nie szukaj mnie”, „Ty skurwysynie, załazłeś mi za skórę” i tak dalej. Znam ją jeszcze mniej, niż ty. Może wlecze się za nią jakaś przeszłość? Jakiś facet, który ma do niej prawa? Bo ja wiem?

– Za Małgosią? Coś ty! Nie widziałeś dziury, w której mieszkała, zanim ją poznałem. Jak z Konopnickiej. Zresztą pójde sprawdzić.

Jaś zniknął w toalecie. Na wszelki wypadek zajął również do części dla mężczyzn. Lustra były czyste. Wszystkie pokazywały zadowoloną twarz Jasia.

- Nie ma – poinformował Zdobniaka. – Byłem pewien, że za Małgosią nic się nie wlecze.
- Luster jest dużo. W wielu miejscach.
- Nie przesadzaj, Zdobniak. Mówiłem ci, że Małgosia to całkiem inna dziewczyna niż twoje oswojone dziwki.
- Kobiety są mistyczkami. Wszystkie mają źle poukładane w głowach. Takie się już rodzą. Nawet trudno je o to winić.
- Nie Małgosia. Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie przykładał do niej swojej krzywej miarki?
- Wszystkie – upierał się Zdobniak. – Wnerwiła mnie ta twoja narzeczona, Skoczek.
- To nie powód, żeby utrzymywać, że Małgosia jest nie tego. Ona ma nawet za dużo rozsądku. Czasem jak coś powie, to człowiek zupełnie głupieje.
- Co ty nazywasz rozsądkiem, naiwniaku! One są cwane, po prostu cwane i kręcą takimi prostodusznymi naiwniakami jak ty. Siedzimy tu pół nocy i ona nie odezwała się ani jednym tanim słowem. Czy to nie czyste cwaniactwo? Milczała i kombinowała. Wreszcie wymyśliła, żeby wystawić nas do wiatru, a ty bajdurzysz, że dziewucha jest inne niż wszystkie. Każda puści cię w trąbę, jeśli jej na to pozwolisz i choć na chwilę ustanieś w wychwalaniu jej uperfumowanej piczki! Wiem coś o tym!
- Jaś siedział ze zwieszoną głową. Strasznie mu się w niej mieszało. Zdobniak ziewnął.
- Zmywamy się, Jasiek – pstryknął palcami i rzucił na stolik pieniądze.
- Gdzie?
- Mogę cię zabrać do Rycha. To ci dobrze zrobi. W końcu to twój kawalerski wieczór.
- A Małgosia?

– Jeśli naprawdę cię kocha, to rano będziesz ją miał w domu.

– Kocha mnie, słowo daję.

– Dobra, frajerze. Chodź.

Wyszli z lokalu chwiejąc się lekko. Zdobniak wsadził Jasia do swojego samochodu.

– Nie zadzwonisz po Zoche? – zapytał Jaś.

– Po kiego? Tam będzie tyle dziewczyn, że nie zdążysz się uczciwie przyłożyć do roboty, a już inna będzie ci włązić na plecy.

Pojechali do przedwojennej, mansardowej willi ukrytej dyskretnie w starym, zadbanym ogrodzie. Na stopniach ozdobionych granitowymi kulami Jaś zatrzymał się. Ogarnęły go wątpliwości.

– Nie boisz się, że możemy coś złapać?

– Mają tu dobre gumki. Nic nam nie grozi.

Na ulicy zatrzymała się taksówka. Zdobniak dostrzegł głowę Małgosi za szybą. Poklepał Jasia po plecach. Nie zdjął ręki z jego ramienia, na wypadek, gdyby Jaś, nieświadom obecności Małgosi, chciał się odwrócić.

– Uszy do góry – powiedział.

– Mówiła, że mnie kocha.

– To taka gadka. Zocha też mówi, że mnie kocha. Stała nawijka z ich repertuaru. Nie zaszedłbym dalego, gdybym chciał tego słuchać, bracie

Nacisnął guzik. Ciężkie kute drzwi otwarły się. Zdobniak wepchnął Jasia do środka. Drzwi zamknęły się. Małgosia opuściła głowę.

W hallu ozdobionym wielkim transparentem z napisem „Ocalmy nasze tyłki”, na empirowym szezlongu siedziały gołe kwestarki ze skarbonkami.

– Zbieramy na walkę z zarazą stulecia – poinformowały.

– Kupiłem sobie nieśmiertelność – zażartował Zdobniak wrzucając do puszkę pieniądze. Jaś zachichotał nerwowo. Nie wiedział, czy jego kumpel żartuje, czy ma na myśli coś, o czym Jaś powinien wiedzieć. Na wszelki wypadek obracał oczami na wszystkie strony. Oddali ubrania gołej szatniarce. Ze stosu prezerwatyw leżącego na greckim trójnogu, pilnowanym przez gołą kapłankę Westy wybrali po jednym opakowaniu. Z drugiego trójnogu po skręcie.

– Stroje wizytowe – zauważył Zdobniak. Zapalili.

– Gumowy koleżka – skonstatował Jaś. Nie miał tęgiej miny. Na wszelki wypadek dobrał jeszcze jedno opakowanie.

– Nigdy się nie przyzwyczaję – stwierdził Zdobniak. – Że też się doczekałem takich wrednych czasów!

– Dlaczego? – Jaś rozdziawił usta.

– Piją pod pachami.

Zaśmiewając się skinęli kwestarkom, szatniarce i kapłance i przez marmurową kolumnadę przeszli na otwarte patio tętniące hiphopową muzyką. Widok tyłu nagich mężczyzn odzianych jedynie w kolorowe prezerwatywy rozbawił Jasia do łez.

– Śmiesz mnie gadanie, że dwudziesty pierwszy wiek będzie wiekiem informacji. To będzie wiek gumy – Zdobniak zakreślił ramieniem koło. – Popatrz na nich!

– Cha! Cha! Cha! – Jaś trzął się z nerwowego śmiechu. Jego własny penis w czerwonej prezerwatywie z czarnymi wypustkami i jakimś takim dziwnym grzebykiem, czy też niby-wąsikiem a’la Hitler, też go śmieszył. Wszędzie zwieszały się kolorowe banery z logo producenta i z napisami w rodzaju: „W naszej prezerwatywie i w sto koni nie dogoni”, „Seks nie musi być udreką”, „Unieśmy cało tyłki z hekatombą”, „Twoje jutro spoczywa na gumowej opoście”, „Guma materiałem przyszłości”, „Inwestując w „Polską Gumę” inwestujesz w szczęście swoich dzieci”.

– Zdumiewające! – Jaś czytał napisy z otwartymi ustami.

– Tak, bracie. Przemysł gumowy to potęga – rzekł Zdobniak. – Powinniście wejść w ten biznes.

– Kto?

– Wy. Ubezpieczeniowcy.

– Jak to?

– Jakaś specjalna polisa wysokiego ryzyka – Zdobniak pokazał na mężczyzn w prezerwatywach. – To wasi potencjalni klienci – dodał z goryczą.

– Nie boisz się? – spytał Jaś.

– Wszyscy się trochę boją, ale życie w ustawicznym strachu i biadolenie jest niegodne człowieka. Po prostu trzeba wierzyć.

– W co?

– W co chcesz. Chodzi o to, żeby generalnie w coś wierzyć.

– No tak – przyznał Jaś. Odwrócił się, żeby powtórzyć Małgosi słowa Zdobniaka tak bogate w humanistyczne treści. Nie znalazł jej. Zamiast Małgosi jakaś goła blondynka zapytała Jasia:

– Anal, oral, piss?

- Full serwis – odparł za nich obu Zdobniak.
- Wobec tego przysługuje panom roczny, pięcioprocentowy rabat udzielony przez producenta – poinformowała blondynka. – Przy wyjściu proszę zwrócić się o odpowiednie zaświadczenie.
- Niech guma będzie z nami! – szepnął Jaś z duszą na ramieniu.

Robert Zdobniak przywiózł Jasia do domu spitego jak bela, w byle jak zapiętych spodniach, rozchełstanej koszuli, błękitnych bokserkach w różowe esy-floresy założonych na drugą stronę i prezerwatywie z wąsikiem a'la Hitler zrolowanej na czubku obolałego penisa. Wywłókł go z samochodu, posadził na chodniku i zadzwonił do furtki.

Drzwi domu o bogatej i skomplikowanej architekturze otworzyła Izabela. Kiedy rozpoznała syna, zawołała Waltera, który z bardzo skupionym wyrazem twarzy studiował w swoim gabinecie artykuły gazetowe z zakreślonymi tytułami: „Susza na Białorusi”, „Trzyprocentowy wzrost akcyzy na importowane pasze” i „Polsko-ukraińskie rozmowy na temat gazu”. Niechętnie oderwał się od lektury i podszedł do drzwi.

– Przywiozłem Jasia, panie Skoczek – poinformował Zdobniak poruszając z trudem drewnianą szczęką i opuchniętymi ustami.

– Widzę. I co dalej?

– Pewnie chciałby się przespać.

– On już śpi. Niech wejdzie.

Zdobniak wtaszczył Jasia przez furtkę i wniósł na schody. Ułożył u stóp małżeństwa Skoczków.

– Można wiedzieć, gdzieście się tak urządzili? – zapytała Izabela.

- W klubie, proszę pani.
- Co to takiego? Jakiś burdel?
- Klub młodych biznesmenów.
- Wnieś go, chłopcze – rzekł Walter.

Zdobniak zarzucił sobie Jasia na plecy i z pomocą Waltera wniósł wielkie, śmierdzące alkoholem i damskimi perfumami ciało do bawialni i rzucił na kanapę. Izabela nie pozwoliła zanieść Jasia do pokoju na górze.

- Jest tam Małgosia. Śpi. Dałam jej proszki. Może powiesz obwiesiu, coście z nią zrobili?
 - Po prostu wyszła z lokalu i zniknęła. Jaś był bardzo zrozpaczony, pani Skoczek. Pomyślałem, że dobrze mu robi, jeśli się trochę rozerwie... No i wypiliśmy trochę...
 - Czy wiesz, że Małgosia ma być jego żoną?
 - Zapewniam, że tylko popiliśmy. Taki wieczór kawalerski.
- Walter Skoczek uśmiechnął się z nagłym rozrzewnieniem.
- Co to takiego, Zdobniak? – zagadnął.
 - Jest z pana zbyt twardy facet, żeby nie wiedzieć.
 - Miły drań – zachichotał Walter. – Wstąpisz na chwilkę? Mam niezłą brandy.
 - Umieć docenić pana uprzejmość, panie Skoczek, ale naprawdę nie mogę. Może innym razem?
 - Na ślubie Jasia?
 - Stoi, panie Skoczek.
 - Uważam, że źle robi wiążąc się z tą kobietą.
 - Tak już bywa, panie Skoczek. Ale Jaś to twardy chłopak, wrodził się w pana. Da sobie radę.

– Tak uważasz?

– To chłopak z jajami. Ani on, ani pan nie musicie tego udowodniać.

Skoczek-senior zamruczał pod nosem.

– Faceci z jajami muszą się trzymać razem – ciągnął Zdobniak jakoś tak automatycznie. Sam nie wiedział, po co to mówi. Jakby chciał sobie dodać otuchy. – Już ja nie dam mu zginąć – zapewnił.

– Chcesz mi dać coś do zrozumienia? – ojciec Jasia pochylił się. Izabela ani myślała odejść.

– Broń Boże. Mówię, jak jest. Jaś ma jaja, ja mam jaja i pan też je ma. To wszystko.

– Ty też uważasz, że robi błąd?

– Miłość jest ślepa, panie Skoczek. Nie umiałem przemówić mu do rozumu.

– Mógłby jeszcze użyć życia.

– Akurat! – wtrąciła Izabela. – Małżeństwo, to najlepsze, co go mogło spotkać. On potrzebuje dyscypliny.

– Jemu będzie potrzebny wierny druh, a nie jakaś cholerna dyscyplina! – Walter Skoczek spojrział na Zdobniaka.

– Też tak uważam. Pan i Jaś możecie na mnie liczyć – odparł Zdobniak.

Izabela westchnęła. Zdobniak zostawił Waltera Skoczka pogrążonego w głębokiej zadumie i odjechał ledwo widząc na oczy, skrajnie wyczerpany i zniechęcony, w podłym nastroju, którego nie mogło wytłumaczyć nawet tak straszliwe zmęczenie, właściwie wycieńczenie po nocnej harówce na sponsorowanym balu dobroczynnym, z którego dochód miał być przeznaczony na wsparcie bezrobotnych tramwajarzy. Umysł Zdobniaka zaprzętały myśli o Małgosi, która jutro zostanie żoną faceta zupełnie na to nie zasługującego. Natomiast facet pełen zalet, czaru, wyobraźni ero-

tycznej, inteligentny, dowcipny, światowy, prawdziwa ozdoba każdego towarzystwa będzie družbą.

Małgosia i Izabela w ciągu dnia wysłały zaproszenia, rozplanowały miejsca dla gości przy weselnym stole, zadzwoniły do „Weselnego Jadła” akceptując zaproponowane przez specjalistów menu, odwiedziły dom mody „Śluby, Pogrzeby i Inne Okazje” oraz wybrały strój dla Małgosi. Zachwycający i stosunkowo niedrogi. Jeszcze raz zaaranżowały pomieszczenia, w których przyjdzie żyć młodemu Skoczkom. Z wyłączeniem sypialni.

– Sypialnia to twój problem, kochanie. Nie pozwalaj mu na wiele, jeśli nie zasłużył sobie. Tak traktowałam Waltera i miałam spokój. A jeśli czasem wyskoczy sobie w bok, cóż, podobno mężczyźni nie mogą się bez tego obyć. To ma jakiś związek z testosteronem.

– Komu?

– Co komu?

– Komu mam nie pozwalać na wiele?

– Swojemu mężowi, oczywiście. Jesteś roztargniona. Boję się o ciebie, Jaś to trudny chłopak.

Jaś spał do wieczora. Obudził się i przypiął liną do kranu w kuchni.

– Słowo daję, ona wygląda jak Kopciuszek nad miską maku i pszenicy. Przecież to można kupić. Po diabła ma się tak męczyć?

Małgosia i Izabela przygotowywały wybuchające torebki z confetti.

– Poślaniec od Kutka przyniósł twoje ubranie – odparła matka chłodno. – Wisi w przedpokoju.

Jaś poszedł po nie. W kieszeni natknął się na podarunek od krawca – paczuszkę przewiązaną tasiemką w duże czerwone grochy. Jaś przyznał, że Małgosia ma sporo taktu, mogła przecież przeszukać kieszenie. Dziewięć kobiet na dziesięć tak właśnie by zrobiło. I na dodatek zaczęło knuć jakąś intrygę. Z ubraniem wrócił do siebie. W paczuszce były szwedzkie prezerwatywy i fragment „Ars amandi” Owidiusza w staropolskim przekładzie.

– W gruncie rzeczy pедераści nie mają w sobie żadnej tajemnicy istnienia, choć kreują się na przemądrzałych intelektualistów i estetów – mrucał Jaś do siebie, z zawodem szczypiąc jeden z kondomów. – Niczym nie potrafią człowieka zadziwić. Tylko jedno im w głowie. Nie mógłbym żyć z pedałem pod jednym dachem, nawet jeśli miałby to być artysta.

Dobłą godzinę mył się i ubierał. Wylał do kubka flakon wody po goleniu „Pasja Występku” i zagryzając wargi włożył do środka wyszorowany penis. Na wszelki wypadek. Zaciskając szczęki, łzawiącymi oczyma przyglądał się skróconej perspektywie penisa zanurzonego w seledynowej cieczy. Wytrzymał kilkanaście długich jak wieczność sekund jęcząc i podskakując. Miał wrażenie, że włożył dyndusa do gorącej frytury. Strumień zimnej wody podział jak kojący balsam, ale i tak musiał długo dmuchać na płonące genitalia, przebierać nogami, kołysać się i syczeć.

– Jeśli byliście tam, cwaniaki, to już po was – powiedział zaciskając szczęki. Miał na myśli mikroorganizmy chorobotwórcze chowające się w fałdach napletka.

– Już po was – powtórzył dodając sobie otuchy. Otarł łyzy. Na koniec natarł żołądz kremem bakteriobójczym marki „Gładkie Tłoki”. To mu poprawiło nastrój i krążenie. Płynem bakteriobójczym „Klinika Doktora Czysatego” przepłukał jamę ustną. Był gotów.

Kiedy tego wieczoru wszedł do kuchni po raz drugi, matka i Małgosia właśnie kończyły robienie wybuchających torebek. Pocałował narzeczoną w policzek.

– W porządku? – zapytał. Delikatnie zacisnął wydezynfekowane zęby na koniuszku ucha narzeczonej. Małgosia kiwnęła głową.

– Wiesz, to taki męski klub w stylu tych zamkniętych dla kobiet ekskluzywnych klubów. Kawalerski wieczór, męska przygoda z kieliszkiem dobrego koniaku. Poważni faceci, biznesmeni, dziennikarze, ludzie sztuki...

– Rozumiem, Jasiu – odparła Małgosia.

– Dlaczego wyszłaś z „Madrygału”?

– Źle się poczułam. Nie chciałam wam psuć spotkania. Tyle lat się nie widzieliście, mieliście tyle tematów do obgadania...

– Ona jest dla ciebie za dobra – wtrąciła Izabela. – Nie umiesz tego docenić.

– Doceniam to.

– Tymczasem musiałyśmy odwalić za ciebie twoją robotę. Nie miałyśmy czasu porządnie zająć się strojami.

– Nikt wam nie kazał robić tych cholernych torebek. Chyba można coś takiego kupić. Po co w ogóle to confetti? To jakaś nowa moda?

– Owszem. Ale także kwestia pewnych zasad! Ani ty, ani twój ojciec nigdy nie będziecie w stanie tego pojąć! Przeszkadza wam wasz męski egoizm! A poza tym to symbol obfitości! Żeby zapewnić sobie szczęście! Ale coś mi się zdaje, że Małgosi nawet eksplozja atomowa nie zapewni z tobą szczęścia! Jeśli chcesz wiedzieć, to nie wierzę, że piłeś całą noc ze Zdobniakiem!

– A co robiliśmy twoim zdaniem?

– Zabawialiście się z dziwkami w jakimś burdelu! Tak, jak to robił twój ojciec, twój dziadek i ojciec twojego dziadka! Wszystko dziwkarze z poznańskiego! Przepraszam, moja droga, ale musiałam to powiedzieć. Musisz wiedzieć, do jakiej rodziny wchodzisz.

Małgosia pochyliła głowę.

– To kłamstwo! Piliśmy z Zdobniakiem i wspominaliśmy dawne czasy!

– Dawne, czy nie, wasze czasy zawsze wypełnione były zadawaniem się z dziwkami! Jak świat światem! Jeśli nie zdradzasz jej czynem, to zdradzasz słowami i myślami! Tak już jest! Biedne dziecko! – Izabela pogłaskała Małgosię po policzku. – Nie martw się, już my się za niego weźmiemy.

– Może coś się tam i przypomniało, mnie czy Zdobniakowi, ale kocham Małgosię i nie zamierzam, jak się wyraziłaś, zdradzać jej czynem i słowem.

– Podobno ty, twój ojciec i Zdobniak należycie do klubu posiadaczy jaj. Ciekawe, do czego są mężczyźni potrzebne jaja, jeśli nie do wymachiwania nimi na lewo i prawo? Powiadam, że ona jest za dobra dla ciebie, łobuzie.

– To się jeszcze okaże! – Jaś obrażony wyszedł z kuchni. Chętnie trzasnąłby drzwiami, gdyby kuchnia je miała. Zamiast drzwi był mały tympanonik wspierający się na dwóch jońskich kolumnach, dzieło dekoratorów wewnątrz powstałe z inspiracji niespożytej Izabeli. Kobiety milczały, więc Jaś przestał podsłuchiwać i demonstracyjnie wszedł na górę waląc butami w schody. Najpierw postanowił porozmawiać ze swoją narzeczoną i poruszyć zasadnicze problemy, potem doszedł do wniosku, że Małgosia mogłaby podejrzewać Jasia o wyrzuty sumienia lub coś podobnego, a wiadomo, że

ma się wyrzuty, kiedy się zgrzeszy czynem, a nie tylko myślą. Zatem poruszy zasadnicze zagadnienia później, po ślubie. Ważne, że dokonał w duszy rachunku sumienia. Te drobne nieporozumienia są bez znaczenia. Zresztą Małgosia okazała wiele zrozumienia i skromności.

– Jak to bywa w balecie, jeden drugiego gniecie – stwierdził filozoficznie.

– Jaś? – w drzwiach pojawił się ojciec.

– Tak, tato?

– Mam tu coś w sam raz dla nas – Walter uniósł rękę z butelką brandy i dwoma kieliszkami. Wyglądał na osamotnionego. Od jakichś trzydziestu lat.

– Jutro będziesz żonaty, cholera – powiedział to takim tonem, jakby Jaś miał jutro umrzeć na szafocie. Miał też taką minę. – Powinniśmy porozmawiać.

– Czujesz się rozbity po tej wiadomości o krachu „Polskiej Blachy”? Dużo straciłeś?

– Pluję na takie rewelacje! – Walter splunął na dywan. Rozmazał ślinę końcem zdeptanego kapcia. – Wiedziałem, że sektor stalowy to złodzieje na złodziejach i do tego powiązani z mafią węglową, więc kupowałem akcje z asekuracją. Chodzi mi o coś innego – Walter nachylił się. – Przyszedłem udzielić ci kilku rad. Jeśli zechcesz je przyjąć, rzecz jasna.

– Naturalnie, tato.

– Wiesz, jak to jest. Faceci powinni trzymać się razem. W dzisiejszych czasach kobiety za często zapominają, gdzie jest ich miejsce. Dawniej tak nie było. Pamiętam, jak mój ojciec a twój dziadek opowiadał o dobrych, surowych czasach. Dawniej same pilnowały swojego miejsca.

– Masz rację, tato.

– Ja nie miałem kłopotów z twoją matką, bo od razu pokazałem, gdzie jest jej miejsce – Walter rozcapierzył palce. – W kuchni, przy dzieciach no i w łóżku. Kapujesz? – Puścił zażawione oko do syna. Obaj roześmiali się. Wypili po jednym.

– Jak zaczynała gderać, kazałem się jej zamknąć.

– Komu?

– Twojej matce.

– Małgosia nie jest z takich.

– Chyba Bóg nie ulepił jej z innej gliny? Baby to baby, zawsze potrafią się odegrać na mężczyźnie – Walter nachylił się do ucha Jasia. – Twoja matka nie dopuszczała mnie do siebie. Wiesz, w nocy. Mówiła, że ma okres. To ich stała zagrywka.

– Małgosia nigdy się nie wymawia, tato.

– Zacznie to robić. Kobieta może łąć, że ma jakąś chorobę i nie ma sposobu, żeby jej udowodnić, że kłamie. A jak ci się wreszcie uda, to i tak może ci wmówić, że przez ciebie zaszła w ciążę. Każesz jej zrobić z tym porządek, to ci powie, żeś morderca nienarodzonego dziecka. Założmy, że chcesz mieć to dziecko, pal diabli, jak już się przytrafiło to niech będzie, ale ona ma na ciebie jeszcze jednego haka! – Walter uniósł brwi.

– Jakiego, tato?

– Zawsze może ci powiedzieć, że to nie jest twój chłopak!

Jaś milczał. Z wolna uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Nie chcesz powiedzieć, że mnie masz na myśli?! – wykrzyknął.

– Ja tylko mówię, jakie są baby – Walter nalał sobie i synowi. Wypili.

– Ona ci to powiedziała?

– Kto? Matka?

– Że nie jesteś moim ojcem?

Walter milczał. Napił się jeszcze raz. Nalał synowi.

– Na miłość boską, tato!

Walter poderwał się z łóżka, na którym siedzieli, chwycił jedynaka za ramię i przyciągnął. Twarz wykrzywił mu grymas wściekłości i tryumfu.

– Co to, to nie! Mówiła dużo rzeczy. Gęba jej się nie zamykała! Baby zawsze dużo mówią! Pieprzą bez ładu i składu, co im ślina na język przyniesie! Ale co to, to nie! Prowadziłem kalendarz! Nie dopuszczała mnie do siebie, jak ciężarna klacz ogiera! Zapisywałem sobie, kiedy mnie dopuszczała i ile razy! Ona mnie karała! – wyznał wbijając oczy w Jasia.

– Za co?

– Za zuchwałość! Tak mówiła.

– Byłeś zuchwały? Co to znaczy, u licha?

– Nie zgadzałem się z nią! Sprzeciwiałem się! Chciała mi rozkazywać od rana do wieczora! Ustawiała mnie po kątach! Nie mogłem na to pozwolić i buntowałem się. Ciebie też ustawia, to widać.

– Dobry Boże! – Jaś był zdumiony i wstrząśniety. – Miałeś straszne życie!

– Na palcach tej ręki! – Walter przysunął rozcapierzoną dłoń do oczu Jasia – mogę policzyć, ile razy dopuściła mnie do siebie! Przed ślubem dużo obiecywała, bo chciała złapać frajera! A miała powód, żeby złapać! Cholerny powód!

– Och, tato! Nie mów tak!

– Frajera! – Walter uderzył pięścią w kolano. – Jestem naiwniakiem! Nie słuchałem ojca! Dobrze mi radził! Teraz mam za swoje! Trudno, dla galernika nie ma ratunku! Ale chciałbym, żebyś ty, synu, nie dał się wpuścić w maliny! Kobiety to bestie! Przerobią faceta na żarcie dla psów! Facetom się tylko wydaje, że jest inaczej! Musisz teraz pójść do tej tam i powiedzieć z podniesionym czołem: „Tak, szlajałem się całą noc z dziwkami i nie wstydzę się tego! I będę się kurwił ile razy przyjdzie mi ochota! Wybij sobie ze łba, że możesz mnie z tego powodu nie dopuszczać do swojego tyłka!” Chyba nie zabraknie ci charakteru i odwagi, żeby jej wygarnąć? – w głosie Waltera brzmiała nadzieja i chytryść. Wyglądał na trwale poniżonego moralnie i fizycznie. Jaś był przerażony, nigdy nie widział ojca w takim stanie. Poza tym ojcowskie wskazówki wprawiły go w popłoch. Milczał spocony. Walter poklepał Jasia po zgarbionych plecach.

– Tylko sięść i płakać, synu. Albo się nie żenić.

– Naprawdę zdradzałeś matkę?

– Trochę. Od czasu do czasu. Ale jakie to miało znaczenie?

Walter zszedł na dół.

– W imię młodzieńczego idealizmu dajemy się wodzić za nos! – wrzasnął z dołu. Schował się do swojego gabinetu między kuchnią, a schowkiem na odkurzacz i froterkę.

Jaś siedział osowiały na łóżku.

– Musiał sporo przegrać na giełdzie – rzekł do siebie. – Kielich goryczy przelał się.

Przypomniał sobie Zochę, dziewczynę Zdobniaka. Na tym tle Małgosia wydała mu się istotą niezmierną, niemal niebiańską, cudownym zjawiskiem, którym Bóg z siebie tylko znanych powodów obdarzył właśnie jego, Jana Skoczka, niezwykle skromnego faceta.

– Niczym sobie nie zasłużyłem – wyznał w pokorze. Na wszelki wypadek, gdyby Bóg zmienił zdanie, postanowił ujrzeć narzeczoną i powiedzieć jej, jak bardzo ją kocha.

Małgosia stała w hallu przed dużym lustrem, w śnieżnobiałej sukni ślubnej, w welonie i z bukietem bławatków w dłoni. Suknia miała mnóstwo falbanek, tasiemek, błyszczących guziczków i cekinów z masy perłowej. Dzoewczyna wyglądała w niej jak anioł w wannie wypełnionej pianą do kąpieli.

– Jesteś zachwycająca – szepnął Jaś. Od razu wezbrało w nim pożądanie. Izabela z wachlarzem szpilek w ustach chodziła na kolanach wokół przyszłej synowej.

– Co wy wyprawiacie? – spytał Jaś.

– Te dranie ze „Ślubów i Pogrzebów” – wyjaśniła matka.

– Co?

Izabela pokazała na górę.

– Nie przeszkadzaj.

W hallu pojawił się ojciec. Uśmiechał się chytrze i mrugał do Jasia.

– Już cię ustawiają.

Matka Jasia zrobiła groźną minę. Walter nie spuścił wzroku. Nie tym razem.

– Nadeszła godzina prawdy, Izabelo! W dniu, w którym mój jedyny syn idzie pod topór, wszystko musi zostać powiedziane! – krzyknął ojciec. Izabela posłała Małgosi spojrzenie pełne ubolewania.

– Tacy oni są – powiedziała wolnym kątem ust.

– My jesteśmy twardzi, ale wy robicie z nas szmaty! – krzyczał Walter. Był już dobrze wstawiony, w całym domu pachniało brandy. – Przepuszczacie nas przez wasze maszynki do mielenia charakterów i z mężczyzn robią się śmieci, które lądują w koszu!

Izabela wzruszyła ramieniem. Jaś spojrzał na Małgosię. Zza welonu widać było jedynie zamglony zarys twarzy i Jaś powziął podejrzenie, że jego przyszłej żonie odpowiada ta panińska kryjówka.

– Dalej, mój synu! Mój dzielny synu! Mój potomku! Powiedz im, co robiłeś przez całą noc! – zagrział ojciec wymachując pustą butelką.

– Byłem ze Zdobniakiem w klubie dyskusyjnym!

– Powiedz prawdę tym kobietom!

– T o j e s t prawda, tato!

Ojciec posłał synowi miazdzące spojrzenie, w którym był bezmiar pogardy i litości. Izabela wyjęła szpilki z ust.

– Myślę, że zamiast wygadywać bzdury, powinniście się wziąć za przygotowanie salonu na przyjęcie gości. Kanapę, fotele i telewizor przesunie pod ścianę, tylko nie tam, gdzie są okna, bo zaczną mi butami wchodzić na obicia i wychodzić oknem do ogrodu. Zrolujcie dywan i do schowka. Rozsuńcie stół. Zrozumiano? No to jazda, brać się do roboty! To są te męskie zajęcia, których tak wam brakuje!

– Świetny pomysł – Jaś zszedł ze schodów. Wolał przestawiać meble niż narażać się na niebezpieczne, prowokacyjne pytania ojca. Widać było, że Walter ma ochotę ciągnąć rozmowę.

– W nagrodę golniemy sobie po jednym u ciebie w gabinecie – Jaś mrugnął do ojca. Walter pojął co nieco, bo zamknął usta, otwarte po to, żeby powiedzieć coś o trzydziestu srebrnikach, mi-sce soczewicy i synu marnotrawnym. Zamiast tego powiedział:

– Małżeństwo to inwestowanie w niepewną spółkę!

Obaj zniknęli w bawialni.

– Mężczynom zdaje się, że mają większe prawa od nas. A niby dlaczego? Kobiety i mężczyźni są dziećmi Boga i na równi mogą się cieszyć życiem, moja droga.

Małgosia rozplakała się. Izabela wstała z kolan i odchyliła welon. Ujrzała buzię Małgosi mokrą od łez, szeroko otwarte oczy i drżące wargi.

– Czy jest ci źle, dziecinko? - zapytała.

Małgosia nie opowiedziała. Odwróciła się i wbiegła na górę. Zamknęła się w pokoju, który do-tychczas był kawalerskim pokojem Jasia, a od jutra miał być ich małżeńską sypialnią. Do czasu, póki na świat nie przyjdą ich dzieci.

– Małgosiu, kochanie? – Izabela zapukała do drzwi. Małgosia płakała. Płakała nawet wówczas, kiedy pod jej drzwiami zgromadziła się cała rodzian Skoczków, nie wyłączając Waltera, mó-wiącego coś o gniewie bożym, palcu bożym i bożym młocie. Umilkła nad ranem, gdy Jaś, ostatni ze Skoczków dał za wygraną. O świcie Jaś poczuł się jak łachman. Może zawiódł go instynkt i dlatego poszedł z Zdobniakiem na tę cholerną balangę, ale sumienie miał w porządku. Mógł być z niego dumny. Mógł, jednak nie wiedział, jak się do tego zabrać, więc czuł się jak łachman.

Uroczystość ślubna rozpoczęła się o godzinie jedenastej. Cała kawalkada samochodów ruszyła sprzed domu pana młodego do kościoła. Rodzice Jasia oraz Jaś i Małgosia byli porządnie zmęczeni

wydarzeniami poprzedniego dnia i nocy, ale spokojni. Po prostu nie kłócili się. Pogoda była piękna, świeciło słońce i wiał lekki, ożywczy wietrzyk. Walter Skoczek rzucał Małgosi pogardliwe spojrzenia, jakie rezerwował dla zwykłej dziwki.

Jasia z samego rana ogarnęło niejasne przeczucie, że w ciągu dnia wydarzy się coś straszego, czego nie ma w skrupulatnie ułożonym harmonogramie uroczystości.

– Mam wyrzuty sumienia – mówił do siebie mając przed oczyma opuchłą od płaczu, niewinną twarz skrzywdzonej Małgosi. – Jeszcze nie zostałem jej mężem, a już sumienie mnie gryzie jako jej męża.

Nie mógł znieść miny ojca, nie mógł też znieść zadowolonej miny Zdobniaka, któremu widok zapłakanej buzi Małgosi sprawiał widoczną przyjemność. Walter Skoczek sprawiał natomiast wrażenie, jakby ciągle był na gazie, to czerwieniał, to bladł na przemian i powstrzymywał się, żeby nie zacząć przeklinać na głos. Za to spojrzenia Izabeli były krótkie i ostre, jak smagnięcia batem, a Walter czuł je na swoim grzbiecie.

Przed kościołem czekali już goście z wybuchającymi torebkami confetti, ryżem i bilonem. Zdobniak w ostatniej chwili wymówił się od pełnienia funkcji drużby. Nie umiałby spokojnie patrzeć, jak Małgosia staje się żoną Jasia z jego pomocą. Czułby się jak facet z zasadami, który wysła swoją dziewczynę na ulicę, bo zabrakło mu na flaszkę piwa. Szeptał Walterowi pełne dezaprobaty opinie na temat Małgosi i tego związku. Jaś nie będzie szczęśliwy z taką dziewczyną. Ona go przykuje łańcuchami. W ogóle Jaś za wcześniej się żeni, niech najpierw poużywa życia ile wlezie, a dopiero potem, koło pięćdziesiątki, szuka żony młodej i ładnej. Prawdę mówiąc, po co

w ogóle się żenić? Dwu- trzyletnie konkubinaty są najlepszym rozwiązaniem. Walter, ponury i blady, niemal wyłamując palce pochłaniał słowa Zdobniaka powtarzając dramatycznie:

– Święte słowa, chłopcze. Tylko co z tego?

– Jesteśmy w kościele. Może zdarzy się jakiś cud.

– Już za późno.

– Idzie jak wół na rzeź – skomentował Zdobniak chwiejny krok Jasia i jego głupawy, nienaturalny, wymuszony uśmiezek. – Jak ślepiec – dodał.

Otóż to. Jaś nie miał pojęcia jak, mijając rozradowanych gości zajmujących z cichym szmerem rozmów ławy, znalazł się przed ołtarzem u boku Małgosi. Był oszołomiony, rozgorączkowany, lecz pełen dobrych chęci. Jak po paru kielichach. Starał się powstrzymać rozlatane oczy. Wlepił je w koronkowe zakończenie komży zwisającej luźno z kapłana, który za chwilę połączy jego i Małgosię dozgonnym węzłem małżeńskim. Zaczął go poganiać w myślach.

– Wszystko w porządku? – szepnął nachylając się bokiem ku Małgosi. Dziewczyna milczała. Wystraszone serce Jasia wezbrało nagłym wzruszeniem. Małgosa objawiła się mu nagle jako niewinny, biały gołąbek. Jak cichy, skrzywdzony gołąbek. Zrobiło mu się tak przykro, że poczuł pieczenie i łzy w oczach. To on ją skrzywdził, nikt inny. Ale za namową Zdobniaka. Zdobniak nie ma sumienia, to jasne.

– Wszystko ci wyjaśnię – zbliżył drżące usta do ucha Małgosi. – Jak tylko wrócimy do domu. To robota Zdobniaka, fałszywego przyjaciela.

Zabrzmiała krótka przygrywka na elektrycznej fisharmonii w wykonaniu organisty. Tłum wystrojonych gości przestał szemrać. Jaś wyprostował się i oblizał wargi.

– Jestem gotów – wychrypiał cicho, dając kapłanowi znaki oczami. Odchrząknął. Duchowny spojrział na niego znad grubych okularów w złotej oprawce wysyłających niepokojąco surowe, złote błyski. Potem spojrział na smutną twarz Małgosi.

– To dobrze, mój synu – odparł bez uśmiechu. Bo niby czemu miał się śmiać widząc smutną pannę młodą? Jaś jęczał w duchu jak potępieniec.

– Wszyscy powinniśmy być gotowi – dorzucił ksiądz z kwaśną miną.

– O, tak – zgodził się Jaś natychmiast. Ksiądz nachylił się do ucha Jasia:

– A do czego to niby jesteś gotów?

– Do poślubienia mojej narzeczonej.

– Jesteś pewien?

– Jestem bardzo pewien.

– A czy ona jest gotowa?

– Jasne.

Jaś uśmiechnął się krzepiąco. Wobec tego duchowny zabrał się do czytania odpowiednich wersetów z Pisma Świętego. Jaś potakiwał każdemu słowu, nawet tym, których nie rozumiał. Na koniec sługa Boży spojrział z góry na niego surowym wzrokiem.

– Janie Nepomucenie Skoczku, czy chcesz, w obliczu Boga, wziąć za żonę tę oto Małgorzatę Marię Strumyk? Być jej wiernym, kochać ją i szanować do końca swoich dni?

– Chcę. Chcę – powtórzył, gdyż za pierwszym razem powiedział za cicho. Zależało mu, żeby wszyscy usłyszeli. Ksiądz nie pokazał po sobie, czy jest zadowolony z tej odpowiedzi. Jaś gotów był się założyć, że to dobra odpowiedź.

– Małgorzato Mario Strumyk – zagrzmiał kapłan, – czy chcesz, w obliczu Boga, wziąć za męża tego oto Jana Nepomucena Skoczka? Być mu wierną, kochać go i szanować do końca swoich dni?

Jaś poczuł mrowienie na plecach. Oblął się potem. Powiedział w duchu za Małgosię:

– Tak, chcę! Bardzo chcę! – A potem dodał, rozwijając swoją myśl: – Przecież ona mnie kocha! Jak ksiądz może zadawać takie pytania? Poza tym miłość pokona wszystkie przeszkody i nieporozumienia. Bo w końcu to tylko nieporozumienie! Od samego początku nie brałem tego poważnie! Przysięgam!

Jęknął ujrawszy lekki, przeczący ruch głowy Małgosi.

– Ona chce – powiedział za dziewczynę, hipnotyzując kapłana błagalnym spojrzeniem. Przecież jest w kościele, więc mógłby się tu wydarzyć jakiś cud, do diabła!

– Nie, nie chcę! – Małgosia uniosła głowę. Odwróciła się do Jasia. – Oszukałeś mnie, łajdaku!

– Ja? – Jaś otworzył usta ze zdumienia. Krewni, przyjaciele, goście zgromadzeni w świątyni zamarli. Organista wstał zza fisharmonii i wyszedł przed końcem meczu. Z doświadczenia wiedział, że drugiej połowy nie będzie.

– Pojechałam wtedy za wami! Wszystko widziałam! Widziałam gołe dziwki w oknach i widziałam was między nimi!

Jaś na dowód niezastużonych cierpień wbijał sobie palec we własną pierś.

– Eeee... chciałem ci wszystko wyjaśnić po ślubie. W domu...

– Niegodziwy łajdaku! Znalazłeś sobie głupią gęś z prowincji, którą możesz rozbierać w samochodzie, kiedy tylko przyjdzie ci ochota?! Nie myślałam, że możesz być taką kanalią!

Duchowny cofnął brodę.

– Jak możesz?! – Jaś wyszarpał już wszystkie pióra. Doprawdy, trzeba było mieć ogromnie dużo złej woli, by nie ujrzeć jego krwawiącego serca. Duchowny miał jej dostatecznie dużo, żeby okazać Jasiowi chłód i brak chrześcijańskiego współczucia. Zamknął demonstracyjnie wyświechtany brewiarz. Trzask księgi rozniósł się w cichym kościele jak huk wieka opadającego na trumnę, w której pochowano wszystkie nadzieje Jana Skoczka.

– Czy mamy jeszcze dzisiaj jakieś śluby? – kapłan zwrócił się do ministranta, gamoniowatego wyrostka dziwiącego się wszystkimu, a najbardziej panu młodemu, że taki z niego frajer.

– Tak, pater.

– Zatem czas na nas.

– Zaraz, chwileczkę! – wrzasnął Jaś.

Duchowny, ignorując Jasia pochylił się nad Małgosią, położył dłoń na jej głowie i powiedział:

– Moje dziecko. Wszystkimi naszymi czynkami kieruje Bóg. Widać nie chciał, abyś wyszła za mąż za tego tutaj. Niech to będzie dla ciebie pociechą.

– A ja? – spytał Jaś z boku. – Co ze mną?

– Bóg miłuje wszystkich, choć nie w jednakowym czasie to okazuje. Jeśli sobie na to zasłużyli, rzecz jasna. Dobrymi uczynkami, mój synu.

– Mam dużo dobrych uczynków, ojczec.

– Widać to jeszcze za mało. Wielu się wydaje, że byle czym mogą zasłużyć na łaskę bożą! Zwłaszcza w dzisiejszych czasach!

Tryumfująco rozejrzał się po obecnych, po czym z szumem komży zniknął w drzwiach zakrystii. Cud się nie wydarzył. Z tymi cudami to błaga.

– Cud! – wykrzyknął Zdobniak z tyłu.
– Jasiu! – również z tyłu rozległ się okrzyk Waltera Skoczka. – Cudem ocalałeś! Jak motyl krążący zbyt blisko świecy! To Opatrzność! Podziękuj Opatrzności!
Małgosia odwróciła się, podciągnęła suknię i pobiegła między ławkami do wyjścia.
– Małgosia! – wrzasnął Jaś i ruszył za dziewczyną.
– Jaś! – Walter zastąpił synowi drogę. – Nie pozwolę ci iść za nią i skamlać o przebaczenie!
– Ma charakter – stwierdziła Izabela Skoczek w duchu. – Jest dumna i niezależna. Potem zwróciła się do Jasia:
– A mogłeś mieć taką wspaniałą żonę!
– Widzisz, synu? Nic tylko łąą na okrągło! – ucieszony Walter poklepał Jasia po ramieniu.
Korzystając z ogólnego zamieszania Robert Zdobniak wybiegł w podskokach za Małgosią, klaszcząc w dłonie z uciechy.
– Gdzie mam cię podrzucić? – zagadnął otwierając drzwi swojego czerwonego BMW.
– Do domu Skoczków, a potem na dworzec.
Czerwone BMW ruszyło z piskiem opon. Z kościoła wybiegł Jaś. Za nim Walter.
– Dlaczego powiedziałaś: „Nie?!“ – krzyknął Jaś zbiegając po stopniach. – Miałaś powiedzieć: Tak!
Z kościoła poczęli się wysypywać zbulwersowani goście weselni. Jaś zrezygnowany usiadł na ostatnim stopniu.
– Miałaś powiedzieć: Tak – powtórzył. Zbierało mu się na płacz. Walter objął go ramieniem. Pojawił się Marian Kutek w letnim seledynowym garniturze i białym kapeluszu z wielkim rondem.

- Przyjaciele zdradzają, kochanki porzucają – rzekł.
- Dzięki Bogu – odparł Walter. Kutek wcisnął w dłoń Jasia wizytówkę.
- Mój prywatny, zastrzeżony numer, faunie. Zadzwoń, kiedy będziesz chciał otworzyć serce.

W samochodzie Zdobniak namawiał Małgosię, żeby nie podejmowała decyzji w stanie takiego wzburzenia. Może na razie zamieszkać u niego.

- Odwal się – odparła Małgosia. Zdobniak był zachwycony.
- Ja przynajmniej stawiam sprawę jasno, nigdy nie oszukuję kobiet.
- A jakie to ma znaczenie?
- Żadnego – przyznał Zdobniak.
- Kobiety są głupie – stwierdziła Małgosia pod swoim adresem.
- Nie znam głępszych stworzeń. Kobiety zawodzi nawet instynkt. A podobno to ich mocna broń.
- Masz rację.
- Czasem kobiety lubią być oszukiwane.
- Nieprawda. Dają się oszukiwać, bo nie mają innego wyjścia. Małżeństwo też nie jest wyjściem.

W domu Skoczków królowali specjaliści z „Weselnego Jadła”. Ruchami palców i brwi oraz przyjemną modulacją władczych głosów dyrygowali ekipą kelnerów.

- Już po ceremonii? – obaj byli w nienaganych, białych smokingach.

- A jak panowie? – zagadnął Zdobniak.
- Wszystko zapięte na ostatni guzik.
- Świetnie. Weselnicy zaraz będą. Wykładać żarcie na stół.
- Proszę sobie nie przeszkadzać – Małgosia skinęła im głową.
- A gdzie pan młody? – zapytał Badura.
- No właśnie – poparł go Suchy, specjalista od trunków.
- W drodze – odparł Zdobniak.
- Nie bardzo rozumiem...
- To długa historia – przerwał mu Zdobniak.
- A kim pan jest?
- Przyjacielem domu.
- Ach, tak? – specjaliści spojrzeli po sobie.

Zdobniak poszedł za Małgosią, która wbiegła po schodach na górę. Nie zwracając uwagi na ekspansywną obecność Zdobniaka zrzuciła z siebie suknię ślubną. Została w białych majtkach i staniku. Zdobniaka na ten widok zakłuło w dole brzucha. Jak zwykle u niego. Jakoś nigdy nie kłuło go w sercu.

- Pewnie myślą, że chcemy się kochać – rzekł ostrożnie, badając grunt.
- Kto?
- Te dwa wypomadowane głupki na dole.
- Być może.
- A zrobimy to?

Małgosia wyciągnęła z szafy walizkę i zaczęła się pakować.

– Zrobimy? – Zdobniak ponowił pytanie. Był teraz jak pies myśliwski, który złapał trop. Nic nie było w stanie zawrócić go z drogi.

– Mógłbyś?

– Jasne. W końcu to tylko kumpel ze studiów.

– Sądzisz, że ja mogłabym to zrobić?

– Mam taką nadzieję.

– Nie. Choć należy mu się. Mimo to nie będę się oddawała pierwszemu lepszemu, żeby doku-
czyć innemu... dupkowi – dodała.

– Nie znasz mnie. Ja nie jestem pierwszy lepszy...

– Obaj jesteście tacy sami.

– Mimo to spróbuję.

Robert Zdobniak potrafił się rozebrać w sześć sekund nie wyglądając przy tym idiotycznie, za-
plątany we własne spodnie lub majtki. Tym razem przeszedł samego siebie.

– Już!

Małgosia odwróciła się. Zdobniak był gotów. Od czubka do czubka. W każdym calu.

– No i jak? – zapytał. – Dwadzieścia osiem i pół na piętnaście.

– Co to jest?

– Moje wymiary.

– Hm.

– Są imponujące.

- Skoro tak mówisz?
- Czy tego nie widzisz?
- Patrzę.
- Przyjrzyj się uważnie!
- Chcesz usłyszeć, że jest większy od penisa Jasia?
- Penis Jasia? – Zdobniak wykrzywił się z politowaniem i pogardą. – A czym jest penis Jasia?

Strąkiem fasoli! Mój jest olbrzymem! To największa sztuka, jaką widziały kobiety na tej planecie! Z wyjątkiem legendarnego interesu Flasha Milaca, amerykańskiego Papieża Seksu z Kentucky. To był gigant!

- Nie wiem, o kim mówisz.
- Nie słyszałaś o Flashu Milacu? – Zdobniak był zdumiony.
- Nie – Małgosia nałożyła spodnie i t-shirt. Zamknęła walizkę.
- Co chwila piszą o nim w kolorowej prasie kobiecej! – ciągnął Zdobniak.
- Nie czytam.
- Nakręcili z nim dwa filmy fabularne! Jeden nazywał się „Milac w kosmosie”, a drugi „Opętanie”. „Milac w kosmosie” dostał osiem Oskarów! Poza tym DJ-Atom, sławny kompozytor przebojów hip-hopowych napisał operę, z tą słynną arią: „Wsadź mi tak głęboko, jak głęboka jest moja miłość do ciebie”, a inny gość napisał balet. Na premierze w Nowym Jorku solówkę wykonywał sam wielki Milac... widok tego faceta w rajtuzach i baletkach rzucał na kolana!
- Nie oglądałam.

– Gość napisał autobiografię pod tytułem „Złoty sen”, a o nim napisali trzy biografie! Jedna się nazywała...

– Nic z tego – przerwała mu Małgosia. – Nie wiem, o kim mówisz.

– Facet zarejestrował wacka w urzędzie patentowym! – Zdobniak użył ostatniego, najpotężniejszego dowodu na to, że Milac był wielki, i że wszyscy powinni brać z niego przykład.

– No i ?

– Nie rozumiesz?! Pierwszy opatentowany wacek na świecie! Ubezpieczył go na sto dwadzieścia milionów dolarów!

– Dobra. A teraz zawieź mnie na dworzec.

– Naprawdę nie słyszałaś o Milacu? Czy tylko udajesz?

– Tam, gdzie mieszkałam, nikt o nim nie słyszał.

Małgosia przyjrzała się łóżku. Po namyśle ściągnęła narzutę i skotłowała pościel.

– Droczyś się ze mną? – zapytał Zdobniak.

– Na dworzec.

W drodze na dworzec Zdobniak powiedział Małgosi, że chętnie jej pożyczy „Złoty sen” do poduszki. Poza tym zmierzylby się z Milacem, gdyby ten jeszcze żył, i wcale nie miałby kompleksów. On, Zdobniak, też mógłby być sławny i zagrać w filmie, ale poświęcił się innym, bardziej odpowiedzialnym zajęciom, niż robieniu kariery w showbizie. Nie żałuje. Wkurza go tylko, że, jak to Polacy, cudze chwala, bo sami nie wiedzą, co posiadają. Kto wie, może da się namówić Jolce Guzik na jakiś program telewizyjny z udziałem specjalistów metrologów. Proszę bardzo, on się nie boi komisyjnych pomiarów.

Minęli się z weselnikami na ulicy. Za samochodem Jasia, żółtym volkswagenem polo, ciągnęły się grzechocząc przeraźliwie puste puszki po piwie nanizane na sznurek. Jaś miał minę, jakby te puszki grzechotały w jego głowie, obijały się o zboląły mózg, tłukły w zęby, rozszarpały rany. Krzyczał coś do Małgosi wpatrzony przed siebie, nie reagującej, obojętnej. Tragicznej. Martwej. Odjeżdżającej. Znikającej. Z inżynierem Robertem Zdobniakiem. Z kolegą ze studiów. Z kimś, kto miał być drużbą.

Jaś rzucił grochem o ścianę. Nie chciał już żyć. Nie miał dla kogo.

– Frajer. Zasłużył sobie na to – zauważył Zdobniak pokazując oszalałemu z bólu Jasiowi wyprostowany, uniesiony w górę środkowy palec. Dodał gazu i na wszelki wypadek zaczął krążyć ulicami. Gdyby Jaś wpadł na pomysł ścigania ich. Małgosi wyobrażała sobie Jasia szlochającego w pustej sypialni, ze wzrokiem wbitym w pomiętą pościel, ślubną suknię i bieliznę rozrzuconą na podłodze. Ślady odbytego w pośpiechu i dzikiej namiętności stosunku płciowego. Z niedoszłym drużbą. Ślady hańby Jasia, wieczny stalowy kolec tkwiący w sercu. W zakochanym sercu.

– Na co sobie zasłużył? – zapytała machinalnie.

– Na to, że rzuciła go taka dziewczyna, jak ty.

– Przecież mnie nie znasz. Jaś też mnie nie zna, więc nie mam pojęcia, dlaczego obaj dyskutujecie na mój temat?

– Faktycznie. Jaś nic mi o tobie nie powiedział, poza tym, że pochodzisz z jakiejś wiochy. Jestem nawet skłonny zgodzić się, że wcale cię nie znam, ale wystarczy spojrzeć, żeby wiedzieć, że masz klasę. Jesteś dumna.

- Jaka?
- Dumna. Wyniosła. Jak jakaś arystokratka. W życiu bym nie powiedział, że pochodzisz ze wsi.
- O tobie powiedział, że jesteś godny. Cokolwiek robisz, robisz z godnością. Wasze słowa są nic nie warte.
- Do licha – Zdobniak pokręcił głową. – Wiesz, Jaś przypomina mi wieloryba, któremu pomylił się azymut i zamiast na ocean, płynie na brzeg... Widziałem cię wtedy. W taksówce.
- Dlaczego nie powiedziałeś Jasiowi, żeby wrócił do domu?
- Małgosia chciała, żeby ją to choć trochę obeszło. Może, gdyby Jaś wrócił do domu, zanim zrobił to, co zrobił, ona wybaczyłaby mu znajomość z Zdobniakiem, wspomnienia o Jolce Guzik, wulgarny język, obrzydliwą knajpę z bezwstydnie nagimi tańczącymi dziewczynami, ten brak zainteresowania Jasia jej kłopotami. Małgosia ma problemy, jak każda kobieta...
- Jaś należy do facetów, na których kobiety poznają się zawsze za późno. Jest na tyle tchórzliwy, że sam nigdy nie poszuka dziwki, ale wystarczająco zepsuty, żeby to zrobić na przykład w moim towarzystwie. To oportunist.
- Podobnie jak ty.
- Ja stawiam sprawę uczciwie, a on jest obłudnikiem, jest facetem nie w porządku, kimś, kto sprawia zawód, kto wzbudza odrazę, politowanie, nienawiść. Ceniło się go wysoko, a tymczasem ten wspaniały facet ślini się na widok damskiego tyłka, choć opowiada ci, że interesuje się wyłącznie polityką międzynarodową.
- Uważa cię za swojego przyjaciela.

– Bo jesteśmy kumplami. On jest mimo wszystko facetem. Chodziliśmy razem do szkoły, potem na studia, obaj byliśmy na przeszkoleniu wojskowym... Faceci mają sobie wiele do powiedzenia...

– Słyszałam, co mieliście sobie do powiedzenia w tej knajpie.

– Ja naprawdę pracuję w Afryce dla FAO.

– Uganiaasz się za czarnymi dziewczynami.

– W wolnych chwilach. Nie wypieram się. Ale jestem zdrow jak koń.

– Przecież to nie chodzi o to, że jesteś zdrow! – rozmowa z Zdobniakiem denerwowała Małgosię; nie mogła się w niej dopatrzeć sensu.

– A o co? Ty wiesz, jaki tam panuje endemiczny syfilis? Nie mówiąc o zarazie stulecia? Trzeba się sporo namęczyć, żeby nic nie złapać. I cały czas ta przeklęta świadomość, że jeden fałszywy ruch może cię kosztować życie! Nie każdy facet zdobyłby się na coś takiego! Nie każdy! Uważam nawet, że to jest bohaterstwo z mojej strony. Może ci się wydawać, że trochę przesadzam, ale gdybyś poznała tamtejsze warunki, brak higieny, zatrute wody, komary, padlina, sępy, trędowaci, żebracy, złodzieje, wojny plemienne, skorumpowani politycy...

– Zamknij się! – krzyknęła Małgosia wściekła. – To przechodzi wszelkie pojęcia! Zatrzymaj samochód!

– Daj spokój, dziewczyno. Co cię ugryzło? Opowiadam ci o sobie. To wszystko. Nie jesteś dzieckiem, żebyś się miała zaraz obrażać. Czy powiedziałem coś nie tak? Nie jestem rasistą, jeśli o to ci chodzi, czarna, biała, czy żółta...

– Zatrzymaj samochód. Chcę wysiąść.

– Do diabła! Nie wiem, co cię ugryzło i mało mnie to obchodzi! Z żadną dziewczyną tyle nie rozmawiam, co z tobą. Strzępię język, a ty się obrażasz! – Zdobniak zatrzymał się przy kra­węźniku i zaczął wybijać dziurę w piersi. Dokładnie tak, jak robił to Jaś w kościele. Małgosia nie mogła tego dłużej znieść.

– Co mi jeszcze powiesz? Że masz tak wielki interes, że możesz unieść na nim kulę ziemską? Albo że masz... że w spodniach chowasz drogocenne klejnoty?

– Jezu! – Zdobniak nie wiedział, gdzie podziak oczy. Rzucił głową na boki szukając odpowied­nich słów. – Czy to moja wina, że dziewczyny szaleją za mną? Ja nie zwabiam ich do siebie i nie duszę szalikiem! Nie jestem Landru! Czy facet z ambicjami ma zrezygnować z tego, w czym jest naprawdę dobry?

– Co ty nazywasz ambicjami?!

– Coś ci powiem! Jeśli chodzi o świcidelka, to one je lubią! Jak diabli je lubią! I ty też je lubisz, choć nie wiesz o tym! Albo wiesz, ale udajesz taką porządną! Tak! Mam w spodniach błyskotki! Dziewuchy lubią się w nie stroić, więc ja w spodniach noszę... sznur pereł! Mogłaś go sobie dzisiaj obejrzeć!

Małgosia wywlokła z samochodu Zdobniaka walizę.

– Nie miałaś okazji tego polubić! – wrzasnął Zdobniak wychylając się. – Jeśli już mówimy meta­forami, bo ty nie należysz do osób, z którymi można porozmawiać wprost, szczerze i od serca, to oboje dobrze wiemy, że Skoczek ma tam suchą, ułamaną gałąź i dwie nędzne, nadgryzione szyszki. I jak sobie pomyślę, co wy oboje możecie z tym zrobić, to przychodzi mi do głowy wiewiórka wydłubująca z szyszek marne ziarenka!

– To, co mówisz, jest głupie! Obrzydliwe! Uraziłeś mnie! – Małgosi chciało się płakać. – Nienawidzę was obu!

Zdobniak zatrzasnął drzwi i odjechał, nie przestając wykrzykiwać o wiewiórce i szyszkach. Lub orzechach.

Małgosia stała na chodniku i walczyła ze łzami wściekłości. Usiadła na walizie. Zamknęła oczy. Wyobrażała sobie Jasia płaczącego nad zmiętą pościelą. Na pewno płacze, czuje się skrzywdzony, poniżony, moralnie skopany, zeszmącony, nabity w butelkę. Tak jak czuje się Małgosia. Jakże inaczej może się czuć mężczyzna w podobnej sytuacji? Obu tych drani, właściwie trzech, bo ojciec Jasia nie jest lepszy, otóż tych trzech drani zastrzeliłaby własnoręcznie. Ale najpierw kazałaby się im rozebrać i ostatni raz w życiu spojrzeć na skurczone ze strachu, żalosne wyrostki, które oni uważają za szczeble społecznej drabiny, po której każda kobieta musi się wspinać, żeby osiągnąć w życiu sukces.

Małgosia osiągnie sukces w inny sposób. Jeszcze nie wie w jaki. W każdym razie nie wyjdzie na ulicę i nie będzie się sprzedawać. Nie wyjdzie bogato za męża. Nie robi kariery w filmie. Da sobie radę sama. Znajdzie jakąś przyzwoitą pracę, skromny pokój i tak dalej. Zacisnęła zęby i oczy, żeby się nie rozpląkać. Wyjęła pieniądze z torebki i przeliczyła. Siedziała na walizce czekając na koniec świata, kiedy zatrzymało się przed nią czerwone, sportowe BMW.

– Nie masz pieniędzy i nie wiesz, dokąd pójść – stwierdził Zdobniak po prostu. – Zawiozę cię do siebie. Obiecuję, że ani słowem nie wspomnę o seksie.

Małgosia udawała, że się zastanawia. Zdobniak obszedł samochód zdecydowanym krokiem, niemal wyszarpał walizkę spod Małgosi i wrzucił do środka. Miał kamienną twarz, bez cienia śladu tryumfu. Małgosia nie zniosłaby uśmiezków.

Niemal całą drogę spoglądała sztywno przed siebie. Nigdy jeszcze nie czuła się tak upokorzona.

– Traktuję kobiety tak, jak same tego chcą – oznajmił Zdobniak po długiej chwili milczenia. W oczach miał samą szczerotę i prostotę.

– Na niczym się nie znam, a przecież muszę znaleźć jakąś pracę – szepnęła Małgosia z rozpaczą w głosie.

– Z twoją urodą nie będzie trudno.

– Chciałam ułożyć sobie życie u boku odpowiedzialnego mężczyzny.

– Będzie cię u mnie szukał.

– Nie chcę go widzieć.

– Okej. Coś wymyślę.

– Chcę, żeby dostał nauczkę.

– On naprawdę nie zasługuje na ciebie.

– Tak bym chciała, żebyś się mylił.

– Cokolwiek cię spotka, nie masz chyba specjalnego wyboru.

Małgosia nie odpowiedziała. Zamieszka u Zdobniaka. Niech wszystko wygląda normalnie. Ona w żadnym razie nie czuje się już urażona. Jakoś ułoży sobie życie. Zdobniak jest łajdakiem, ma taki obrzydliwy sposób traktowania kobiet. Trudno. Nigdy w życiu nie przeżył uniesienia i zawodu.

Nie cierpiał. Cierpienie uszlachetnia. Każdemu mężczyźnie ból duszy przydaje szlachetności, łagodności i uroku. Dostojeństwa.

Pomyślała o Jasiu leżącym na zmiętej pościeli z mokrą twarzą wtuloną w poduszkę. Jaś cierpi, jego ojciec stoi nad nim, popija weselną wódkę i mówi drżącym ze wzruszenia głosem:

– Wszystkie one to czarownice. Wiedźmy o złych sercach. Naobiecują człowiekowi, a potem porzucają jak papierową chusteczkę. Jeszcze przed chwilą wycierały na tobie wyuzdane usta, a już cię rzucają. Pamiętaj, mój nieszczęsny synu, kobiety to śmiertelna pułapka.

Inżynier Robert Zdobniak mieszkał w niewielkim, lecz wygodnym i funkcjonalnym domku. Domek miał brązowe ściany, zielone okna, żółte drzwi i czerwony dach z długim, czarnym kominem. Wyglądał trochę tak, jakby Zdobniak zbudował go z klocków. W obszernym pokoju na dole stało obrotowe, okrągłe łóżko wodne. Było tak wielkie, że przemierzenie go od krawędzi do krawędzi, przy zmiennych pozycjach zajmowało dwie godziny. W takich chwilach łóżko przypominało gigantycznego kraba odwróconego brzuchem do góry i poruszającego chaotycznie dzięsięcioma odnóżami, z których tylko dwa były męskie i zawsze należały do Zdobniaka. Były w tym domu jeszcze inne sprzęty, do których Zdobniak nie przywiązywał szczególnej wagi: jakiś stół, krzesła, fotele, kanapa, telewizor i tak dalej. Trochę zakurzonych przedmiotów kultury afrykańskiej w rodzaju tarcz, włóczni, tykw, masek rytualnych i hebanowych figurek z wielkimi penisami. Poza tym biblioteczka. Tak, Zdobniak posiadał skromny, choć ze smakiem dobrany księgozbiór: powieści fantasy A. Sapkowskiego, realistyczne romanse historyczne w rodzaju: „Zgwałcona przez karła”, „Zemsta zgwałconej przez karła” „Zgwałcona przez karła dwadzieścia lat później” i tak dalej, osiemnaście tomów, ponadto poradniki typu jak się cieszyć życiem za nieduże pieniądze na

czele z „Przewodnikiem po mokrych snach” głośnego amerykańskiego antropologa i psychiatry Chestera Lobkowitza, który ogłosił swojego czasu modną teorię, że intensywna masturbacja bez użycia przyrządów przedłuża życie, ponieważ zawsze kończy się sukcesem, a nic tak dobrze nie nastraja do życia jak wiara we własne siły i właśnie sukces, w myśl zasady: weź swoje sprawy we własne ręce. Miał także coś dla koneserów – kilka archiwalnych, oprawionych w welur roczników szwedzkich i niemieckich pism pornograficznych z lat sześćdziesiątych, z krótkonogimi blondynkami w tapirach i łysawymi brunetami o obfitych bakach, no i wszystko, co napisano o Flashu Milacu.

Z tych innych niż łóżko przedmiotów, które pełniły istotną rolę w życiu Zdobniaka na wyróżnienie zasługiwała niewątpliwie wielka szafa w hallu mieszcząca w sobie ubrania Zdobniaka i komoda kryjąca w szufladach jego bieliznę oraz potężny zapas niemieckich prezerwatyw „Zeitgeist”, równie solidnych i niezawodnych, a przytym komfortowych jak niemieckie samochody. Zdobniak cenił komfort. Na przykład niedawno przekonał się, że zimowe kalesonki mogą być jednocześnie ciepłe, wygodne i twarzowe. Dokonał tego odkrycia dzięki reklamie niemieckiej firmy odzieżowej „Ptasznik z Tyrolu”. W naturze Zdobniaka leżało eksperymentowanie. Nie chciał, by życie odśłoniło przed nim wszystkie swoje uroki w jednej chwili. Choćby nie wiedzieć, jak przyjemna była to chwila, to jednak byłaby to tylko chwila, krótka jak szczytowanie u mężczyzny. Ucieszył się więc, kiedy założywszy ciepłe kalesony „Ptasznika z Tyrolu” skonstatował, że nawet szybki marsz nie powoduje pocenia się genitalii. Zdobniak wiedział bowiem, że przegrzewanie jąder jest niebezpieczne i prowadzi do impotencji. A wracając do prezerwatyw, na szczególne, plenerowe okazje Zdobniak woził w samochodzie karton włoskich sportowych kondomów

„Gumki torów wyścigowych Monza”, może mniej komfortowych niż solidna niemiecka produkcja, za to bardziej zrywnych.

– Czy zrobić ci drinka? – zapytał Małgosię, kiedy znaleźli się w środku.

– Tak.

Łóżko Zdobniaka, dzieło włoskich stylistów ze znanej mediolańskiej szkoły designu, miało jeszcze tęzaletę, że wewnątrz znajdował się barek i w każdej chwili Zdobniak mógł ręką lub nogą, co tam miał w danej chwili wolnego, nacisnąć guzik, który uruchamiał sprężynę, a ta z kolei wypychała podzwaniającą butelkami i szklaneczkami tackę.

– Czego się napijesz? – Zdobniak nacisnął guzik.

– A co podajesz w takich sytuacjach?

– Zaczynam od bardzowytawnego martini – Zdobniak spojrzał na Małgosię szeroko otwartymi oczami.

– A dalej?

Oczy Zdobniaka stały się jeszcze większe.

– Chciałabym wiedzieć.

– Specialite de la maison – jego oczy zalsniły.

– Mimo wszystko.

– Chcesz wiedzieć, jakdaleko posuwam się na drodze rozpusty? – oczy Zdobniaka zaczęły słać intensywną i dziwnie mokrą poświatę. Do tego stopnia intensywną i mokrą, że Małgosia musiała odwrócić głowę.

– No więc do samego końca. Dalej już nie można.

Zadzwonił telefon. Zdobniak uniósł słuchawkę. Nie patrząc na Małgosię powiedział do telefonu:

- Nie ma. Wyjechała.
- Widziałem was! –wrzasnął Jaś. – Nie wypieraj się!
- Odwiozłem ją nadworec.
- Gdzie pojechała? Musiałeś widzieć, do jakiego pociągu wsiadła!
- Kazała mi zaraz odjechać.
- Słuchaj, Zdobniak. Mamdo ciebie pretensje!
- O co? – Zdobniakzerknął na Małgosię.
- Dobrze wiesz o co!
- Ona poczuła się urażona, stary.
- No właśnie! Poczuła się urażona, a ty to wykorzystałeś!
- To dumna dziewczyna.
- Masz rację! Bardzo dumna!
- Niedostępna! Niezłomna!
- Chcesz powiedzieć, że...
- Powinieneś wybić ją sobie z głowy.
- Ale ona mnie kocha! Ja też ją kocham!
- Kocham. Jak to łatwo powiedzieć...
- Myślisz, że można, ot tak sobie, odejść?! I to z kościoła? Ona jest katoliczką!
- Widocznie można.

- Nie wierzę! Wprost nie chce mi się wierzyć!
 - Weź coś na uspokojenie i zacznij jej szukać.
 - Szukać?
 - Tak. Wiem, dokąd pojechała.
 - Skąd wiesz? Mówiłeś, że...
 - Spytałem.
 - Kogo?
 - Faceta w granatowym mundurze ze złotymi guzikami i szamerunkiem, w czapce z daszkiem.
 - Aha.
 - Tak.
 - Przepraszam, Zdobniak. Kim jest ten facet w czapce?
 - Zawiadowcą.
 - Więc wiesz, dokąd pojechała? Och, Zdobniak! Chyba jesteście kumplami!
 - Jasne. Wsiadła do pociągu do Zielonej Góry.
 - Dobra! Jadę, Zdobniak. Jesteś koleś!
 - Jasne. Śpiesz się, może zdążysz przed przyjazdem pociągu.
 - Jadę!
- Zdobniak odłożył słuchawkę.
- A więc skończone – westchnęła Małgosia.
 - To się nigdy nie kończy – odparł Zdobniak ponurym głosem. – Nieustanna gonitwa mężczyzn i kobiet. Sam nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

- Jestem zmęczona.
- Chcesz zostać sama?
- Tak. To głupie, że kazałeś mu jechać do Zielonej Góry.
- Bo ty tak chciałaś, kotku – Zdobniak podszedł do Małgosi. Pochylił się. Ależ on miał oczy!
- Jest jeszcze coś, co chciałbym ci powiedzieć.
- Och, nie – Małgosia pokręciła głową. – Dajmy temu spokój.
- Chcę ci powiedzieć coś bardzo dziwnego.
- Wyobrażam sobie.

Zdobniak się nie zrażał.

– Zostawiłem już dziesiątki dziewczyn z walizkami na chodnikach. Dziesiątki głupich, naiwnych lub przeciwnie, aroganckich bab, bo albo ja, albo one miały na to ochotę. To zupełnie niezły sposób rozejścia się. Wszystko zostaje za tobą, we wstecznym lusterku, maleje, znika. Staje się nieważne. Człowiek tyle się nakręci wokół jednej z drugą, a potem przychodzi nuda, wszystkiego się odechciewa, przychodzi chwila zwątpienia, niewielki kryzys, wtedy mam ochotę rzucić to wszystko i zostać zwykłym facetem... na przykład hydraulikiem.

Małgosia uniosła głowę. Spojrzała na Zdobniaka uważniej. Nie miał miny jakby chciał żartować. To sprawiło Małgosię w lekki popłoch.

– Wzbudzasz we mnie instynkty opiekuńcze – rzekł Zdobniak z całą powagą. Inżynier Zdobniak posiadał umiejętność głębszego namysłu, choć trzeba przyznać, że dość rzadko z niej korzystał. W takich chwilach przechodził obezwładniający słodczą proces samooczyszczania się. Takie palenie ziół w kadzidle i wprawianie się w kolejne mantry lub sutry, dokładnie nie wiedział.

Małgosia poruszyła ustami, żeby coś powiedzieć.

– Instynkty opiekuńcze – powtórzył Zdobniak łagodnie.

– To niemożliwe – szepnęła Małgosia.

– Możliwe, skoro istnieje. Jestem empirykiem. To prawdziwe uczucie – Zdobniak pokiwał głową z jeszcze większą powagą. Wręcz emanował mądrością. – Czasem mi się przytrafia coś takiego. Nie umiem wyjaśnić tego uczucia, wiem tylko, że popycha mnie ono do niezwykłych czynów. W zeszłym roku musiałem pomóc pewnemu facetowi wydostać się z rynsztoka. Po prostu musiałem, jak go zobaczyłem, przestało mi być do śmiechu. Może dlatego, że przypominał mi ojca?

Małgosia milczała.

– Mężczyźni w pewnym wieku zdradzają matki i zwracają się w stronę ojca. Podziwiają go i szanują albo współczują mu, gdyż nic w życiu nie osiągnął, choć wart był wiele. Są chwile, kiedy myśli się o śmierci, o sprawach ostatecznych. Czasami czuję się jak zatopiony w koronie drzewa w pogoni za ptakami mały chłopiec, który stracił z oczu potężny pień, zgubił drogę zejścia – Zdobniak umilkł. Wpijając się załzawionymi ze wzruszenia oczami w oczy Małgosi czekał na jej słowa.

– Jaki to ma związek ze mną?

– Od kiedy cię ujrzałem, noszę w sercu niezrozumiały smutek. Zrobiłem się melancholijny. Wtedy, w „Madrygale” pojąłem, że muszę się do ciebie zbliżyć.

– Dlatego namówiłeś go, żeby... żeby mnie zdradził?

– Nie namawiałem go – Zdobniak wzruszył ramieniem. – Poszedł ze mną z własnej woli. On zawiódłby cię prędzej czy później. Co za różnica? Nie jest ciebie wart. Będę to powtarzał do samej śmierci.

Podszedł do tacki wystającej z wodnego łóżka i zrobił sobie drinka.

– Jeśli chodzi o te sprawy, to Jaś najlepiej dogaduje się z własną ręką, a w sprawach uczuć jest jeszcze dzieckiem. Obawiam się, że nigdy nie wyrośnie z fascynacji grami komputerowymi.

– Cokolwiek to jest i cokolwiek jeszcze powiesz, to jest niezłe świństwo kazać mu jechać za mną do Zielonej Góry.

– Próbuję uczynić z niego mężczyznę. Za długo przebywał pod wpływem matki. Zresztą trudno się dziwić, kiedy się ma za ojca księgowego. Synowie potrzebują twardych, stanowczych ojców. Surowych, ale sprawiedliwych. Z autorytetem. Mój taki był. Krótko mnie trzymał, mówił: bierz sprawy w swoje ręce, synu...

– Będę tu, póki nie znajdę jakiegoś zajęcia, więc nie licz...

– Na nic nie liczę – przerwał jej szorstko i wzruszył ramionami. – Facet w mojej sytuacji, z moimi upodobaniami nie może sobie zbyt wiele obiecywać po takiej kobiecie, jak ty. Mieszkać u mnie, jak długo chcesz, a potem się wynieś. Nie chciałbym jednak, żebyś zrobiła jakieś głupstwo i źle trafiła. To jest parszywe miasto. Nie zasługujesz na podły los. Wiesz, czym chcesz się zająć?

– Jeszcze nie. Problem w tym, że nie mam... kwalifikacji.

– Skończyłaś jakieś studia?

– Nie – Małgosia opuściła głowę, – ale dużo czytałam...

– Może będę miał coś dla ciebie.

– Co takiego?

– Porozmawiamy wieczorem. Teraz muszę wyjść. Będziesz mieszkać na górze. Pokój po lewej stronie schodów. I pamiętaj owieczko, że wilk może zapukać do drzwi, więc jeśli nie chcesz, żeby cię zjadł, lepiej się zamknij.

Małgosia domyśliła się, o kim Zdobniak mówił. Oczywiście, że się zamknie. Została sama. Wniosła walizkę na górę. Pokój po lewej stronie schodów miał różowe drzwi ozdobione kalkomanią przedstawiającą bukiet polnych kwiatów. Cały dom wylepiony był tapetami w kwiatowy rzucik. To mogło dziwić. Czyżby Zdobniak wierzył, że świat jest niczym zamieszkała przez nimfy łąka w słoneczny, letni dzień, a on sam to skrzydlaty elf? Na parapetach, żardinierach i stolikach stały doniczki i flakony z przywiędłymi kwiatami. Pachniało zwierzętym dezodorantem do odświeżania pomieszczeń i jakąś nieokreśloną stęchlizną. Jak w domu pogrzebowym.

Małgosia rozpakowała walizkę. Wysunęła szufladę komódki żeby schować ubrania. Szuflada wypełniona była prezerwatywami ułożonymi w równych, kolorowych rządach. Pozostałe szuflady również były wypchane kondomami. Jakoś bezwiednie zaczęła je liczyć.

Zrezygnowana usiadła na pojedynczym drewnianym, białym łóżku, od kompletu z białą komódką, jakoś pasującym do kwiatków na tapetach. Doszła do wniosku, że mieszkanie w domu Zdobniaka niczego nie załatwia. Przecież nie jest nimfą. Zastanawiała się czy Jaś rzeczywiście ruszy na poszukiwanie swojej niedoszłej żony? A jeśli tak zrobi, to z jakich pobudek? To ogromnie ważne, jakie motywy będą kierować tym mężczyzną? One są najważniejsze. Nie, Małgosia nie ma powodów do optymizmu. Jest przecież Walter Skoczek, który powie:

– Znajdź ją, synu. Wydobądź ją choćby spod ziemi. Pokaż, gdzie jest miejsce takiej niegodziwej dziwki. Pokaż, kto tu jest panem i nie daj się zwieść czułym słówkom ani krzywym uśmieszkom ladacznicy. Przetrzep jej skórę na oczach całego miasta i wróć z godnością.

Małgosia wyłożyła ubrania z walizki na łóżko, a do walizki wrzuciła prezerwatywy. Zeszła z nimi na dół. Zabrała się do otwierania szuflad komody stojącej na wyciągnięcie ręki od wodnego łóżka. Naturalnie cała komoda pękała od kondomów. Zadzwoił telefon.

– To nie do mnie – pomyślała. Od razu postanowiła, że nic, co będzie się działo w tym domu, nie będzie jej dotyczyć. Ona jest tylko mimowolnym świadkiem, osobą postronną. Celem jej wędrówki na pewno nie jest pokój w domu kolekcjonera prezerwatyw.

Telefon ciągle dzwonił. Nie zamierzał przestać. Małgosia pomyślała, że to może Zdobniak. A potem pomyślała, że to Jaś. Poczula, że chce usłyszeć jego głos. Chce w nim usłyszeć rozpacz. Rozpacz Jasia jest zapłatą za jej smutek i udrękę. Ostrożnie, w milczeniu podniosła słuchawkę.

– No, nareszcie, Zdobniak! Do cholery, tu nigdzie nie ma faceta w mundurze ze złotymi guzikami! Patrzyli na mnie jak na wariata!

Rzuciła słuchawkę. Agresywny, zły głos Jasia dźwięczał zgrzytliwie w jej w uszach. Zamknęła drzwi wejściowe na zasuwę, opróżniła walizkę wysypując prezerwatywy na wodne łóżko i uciekła na górę.

– On tu przyjedzie – powiedziała do siebie. Była pewna, że Jaś zaraz tu będzie. Domyśli się i przybędzie w charakterze anioła zemsty. Usiadła i zaczęła nasłuchiwać. Upłynęło zaledwie kilka minut, kiedy przez uchylone okno wdarły się upiorne dźwięki towarzyszące pojawieniu się zdrazonego kochanka. Hałas narastał jak grzmot dalekiej burzy, jak jazgot głodnych psów, jak efekty

specjalne w japońskiej ekranizacji którejś z tragedii Szekspira. Ozdobiony kolorowymi balonami, białymi wstążkami symbolizującymi niewinność i nadzieję oraz siedzącą na masce lalką w białej, robionej na szydełku sukience, żółty golf, ciągnąc za sobą puszki na sznurku, z piskiem opon zatrzymał się przed furtką. Jaś, ciągle w ślubnym ubraniu, choć bez rękawiczek i cylindra, podbiegł do furtki. Zaczął ją szarpać.

– Czy wierząca osoba puszcza się z drużbą?! – wrzasnął szarpiąc furtkę. Widocznie sam odpowiedział sobie na pytanie, bo zaczął się wspinać na płot. Zeskakując po drugiej stronie rozdarł spodnie. Podbiegł do drzwi. Zabrał się do szarpania klamki.

– Zdobniak!

Małgosia skuliła się.

– Zdobniak! Wiem, że tam jesteś!

Jaś cofnął się i obrzucił spojrzeniem okna.

– Za chwilę wyważę drzwi!

Jaś zrobił parę niezdecydowanych kroków, zakręcił się w miejscu.

– To nie jest w porządku, Zdobniak! Ty coś ukrywasz przede mną!

Naparał ramieniem na drzwi.

– Zdobniak! – Znowu się cofnął. W jego głosie brzmiało błaganie. – Nie zmuszaj mnie, żebym ci demolował dom. Jeśli jesteście w łóżku, to miej choć tyle odwagi, żeby wyjść i powiedzieć mi to! Porozmawiajmy jak mężczyźni! Nie zachowuj się jak baba! Nie masz za grosz poczucia odpowiedzialności! Wyjdź i stań do walki! Jesteś śmierdzącym tchórzem, Zdobniak!

Małgosia wzdrygnęła się.

– Małgosia! Zdobniak to drań! Nie musiałaś mu tak od razu wskakiwać do łóżka! Wystarczyło, że oddałaś mu się w naszej sypialni! W naszym małżeńskim łóżku! Zbrukałaś je! Czy nie ma dla ciebie nic świętego? Jak mogłaś to uczynić?! Jesteś katoliczką! Mówisz, że należysz do kościoła rzymsko-katolickiego! Chodzisz na msze! Nawet ja byłem z tobą parę razy! Powiedz, czy katoliczki tak postępują? Oddałaś mu się w poświęconym łóżku! Jak mogłaś?! Jak mogłaś?! – Jaś rozłożył ręce i z najgłębszym niedowierzaniem kręcił opuszczoną głową.

– Dobrze! Ja tu zaczekam! Będę tak długo czekał, aż któreś z was wyjdzie! Chcę widzieć wasze zdradzieckie twarze!

Jaś wrócił do samochodu. Usiadł w otwartych drzwiach. Włożył do radiomagnetofonu kasetę z muzyką poważną. Lubił niemiecką i włoską muzykę klasyczną, bo łatwo mu się przy niej machało palcem do taktu. Małgosia, spocona i wystraszona, słuchała kwintetu smyczkowego Boccheriniego i modliła się, żeby Zdobniak już wrócił. Jaś rozłożył siedzenia i wyciągnął się na nich. W końcu może czekać na leżąco. To, że wygodnie leży, nie oznacza, że nie cierpi. Małgosia obserwowała z góry nogę Jasia wystukującą rytm melodii. Wiedziała, że Jaś pragnął zostać dyrygentem, ale profesor Stefan Violino z renomowanej szkoły dla elity towarzyskiej, której przedstawiciele postanowili nauczyć się gry na jakichś innych instrumentach niż tylko instrumenty finansowe, orzekł że Jasiowi brakuje refleksu, zdecydowania, apodyktyczności, umiejętności podejmowania szybkich decyzji, upodobania do ryzyka, ekscentryzmu estetycznego właściwego prawdziwym artystom, lekkości ręki, solidności, pracowitości, odporności na monotonię, słuchu, no i wreszcie talentu. Poradził mu zająć się mniej wymagającą pracą. Jaś wylądował w firmie „Sprawne Rury i Czyste Kanały” W.W. Pydzińskiego w charakterze specjalisty od promocji i zarządzania ściekami.

Dostał służbowy samochód i objeżdżał prywatne posesje proponując właścicielom szamba ekologiczne, ale długo nie zagrzeżał tam miejsca, głównie z uwagi na zapachy towarzyszące jego pracy oraz na fakt, że Pydziński był nieokrzesanym chamem chwającym się naokoło, że zbił majątek na gównie. Było to prawdą. Ostatecznie ojciec Jasia, wykorzystując swoje rozliczne kontakty w biznesie, załatwił synowi pracę w towarzystwie ubezpieczeniowym „W Górę Serca” i Jaś został agentem.

Zdobniak przyjechał o zmroku w towarzystwie jakiejś kobiety palącej cygaro. Oboje wysiedli, kobieta podeszła do samochodu Jasia i walnęła dłonią w dach. Jaś przebudził się gwałtownie.

– Aaaa!

– Co to za bomboniera? – zapytała kobieta. – Słyszałam, że jakaś laska związała ci sprzed ołtarza.

– Miałeś jechać do Zielonej Góry – zdumiał się Zdobniak.

– Myślałem, że ty i ona...– Jaś urwał. Spojrzał na dom. Kobieta przepaliła cygarem balonik przymocowany do samochodu.

– Idź się zbadać na głowę, mały – rzekła. – I jaja też niech ci prześwietlą.

– A ty idź do diabła, Kluska! – warknął Jaś. Zatrzaskał drzwi samochodu i odjechał z pogardliwą miną. Kobieta zwana Kluską zaśmiała się wyginając ciało do tyłu.

– Co za dupek! – rzekł Zdobniak patrząc za samochodem Jasia.

Małgosia zbiegła na dół i odsunęła zasuwę. Zdobniak i kobieta weszli do domu.

– To Rita Kluska – rzekł Zdobniak przedstawiając kobietę Małgosi. Małgosia uśmiechnęła się, wyciągnęła dłoń. Uścisk Rity był mocny. Bardzo mocny. Niemal zgruchotał dłoń Małgosi. Zdobniak wzruszył ramionami. Nie lubił kobiet zdecydowanych, stanowczych, męskich, zarówno z wyglądu jak charakteru. A Rita Kluska wyglądała doprawdy tak, że Zdobniak nie znalazłby na jej

ciele skrawka miejsca godnego uwagi, nie mówiąc o ewentualnym ubóstwianiu. Z całej jej postaci biła niespotykana pewność siebie, wręcz arogancka chęć dominowania nad mężczyznami. Była wysoką, skandynawską blondyną o szerokiej twarzy i sprężystym, pełnym zaskakującego wdzięku, mocnym chodzie sportsmenki. Oglądała Małgosię z taksującą, bezceremonialną uwagą.

– O co chodzi? – zapytała Małgosia nie mogąc dłużej znieść wzroku Rity, w którym było coś obleśnego.

– Ten kawał baby jest od Aquarius – poinformował Zdobniak z szerokim uśmiechem. Uśmiechał się, żeby dodać Małgosi otuchy. Wyobrażał sobie, że jego uśmiech można nazwać pokrępowającym. Koleżeńskim. Przyjacielskim.

– Tak?

– Ona nie wie, kto to jest Aquarius – zdumiona Rita zwróciła się do Zdobniaka. – Mówiłeś, że jest absolutnie wyjątkowa... – Rita dmuchnęła Zdobniakowi w twarz dymem z cygara. – Co za to chcesz, Zdobniak?

– Trzymaj od niej łapy z daleka.

– Aquarius spuchnie z wrażenia.

– O kim mówicie? – zapytała Małgosia.

– Okej. Od początku. Facet jest najmodniejszym stylistą i kreatorem w Polsce i już siedzi na walizkach, żeby przenieść się do Londynu. A ja jestem kimś w rodzaju jego sekretarza. Naganiam mu także dziewczyny. Zdobniak powiedział, że nie masz zajęcia, zwiłaś Skoczkiowi sprzed ołtarza, masz kłopoty i tak dalej. Mówił, że jesteś piękna. Niepowtarzalna. Jedyna w swoim rodzaju – Ricie sprawiało przyjemność mówienie tego wszystkiego. To była szczególnego rodzaju przy-

jemność. – Zdobniak nie przesadził, choć ma do tego skłonności. Rzeczywiście, jesteś niezwykła, taka... bujna i zarazem niewinna.

Małgosia zarumieniała się. Może rzeczywiście była niewinna?

– Mogę cię na początek wstawić do kolekcji „Wiosła i kamizelki ratunkowe Aquariususa”. Być może Aquarius zdecyduje inaczej. Pewne jest natomiast to, że spodobasz mu się. – Zawiesiła ciężki wzrok na twarzy Małgosi. Miała głodne spojrzenie.

– Ty się nadajesz – dodała z przekonaniem.

– Do czego?

– Do prezentowania kreacji Aquariususa, o rany!

– Nie znam go.

Zbolałe spojrzenia Rity i Zdobniaka wyrażały cierpliwą zgodę na udzielanie wyjaśnień. Zdobniak nawet się uśmiechnął. I znowu jak przyjaciel.

– Aquarius jest uznawany za geniusza. Potrzebuje nieustannie nowego towaru, a ty masz pozwalająco piękne ciało, zniewalający uśmiech i buzię Primavery – Rita ujęła Małgosię za ramiona i delikatnie, acz stanowczo odwróciła. – Piękna pupcia, – przejechała wielką dłonią po krągłościach dziewczyny – excellent. Może odrobinę za miękka, mężczyźni to lubią. Ostatnie słowa wypowiedziała z lekką pogardą i bez kokieterii. Jeśli kogoś tu podrywała, to na pewno nie Zdobniaka, choć mogłaby go zmusić do seksu równie łatwo, jak owinąć sobie ciesielski gwóźdź dokoła palca. Zdobniak nie był dla niej dostatecznie twardy.

– Kilka seansów bodybuildingu pozwoli ci zrzucić zbędne kilogramy. I ta twarz dziewczycy! Czy jesteś dziewczycą?

– Nie. Co to ma wspólnego?...

– Przynajmniej wyglądasz na dziewicę. To spory kapitał. Twoja delikatna skóra nie zaznała jeszcze rozkoszy dotknięcia męskich dłoni i języka. W tej branży wszystkie mają wygląd przechodzonych dziwek i zazwyczaj takimi są. – Rita uśmiechnęła się niespodziewanie ciepło i pocałowała Małgosię w policzek, jak siostra lub najzwyklejsza przyjaciółka. – Zdobniak mówił także, że wyglądasz jakdystyngowana arystokratka. Trochę przesadził, ale z drugiej strony na pewno nie sprawiasz wrażenie zblazowanej kurewki, która, zanim została utrzymanką bogatych facetów, marzyła o filmie, a kiedy zestarzeje się, odkryje w sobie talent do projektowania ubiorów. Naturalnie niekoniecznie w tej kolejności, ale to domino ma tylko trzy kostki: film, bogaci faceci i ciuchy. Powiedziałabym, że bardziej wyglądasz na świeżą, nie zepsuta dziewczynę ze wsi, niż na arystokratkę i dlatego bardzo się nadajesz do prezentowania ubiorów sportowych. Aquarius będzie zachwycony.

Rita miała na sobie czarny dres z jedwabiu zapinany na ametystowe guziczki, srebrne pantofelki na płaskim obcasie i wyglądała w tym dostatecznie sportowo, by jeździć porsche.

Zdobniak zrobił trzy drinki.

– Jutro zabiorę cię do „75”. To klub kulturowy – wyjaśniła Rita.

– Ty też tam chodzisz?

– Posłuchaj, kochanie. Nowoczesna kobieta nie może nie chodzić do „75”. Nowoczesna kobieta nie sterczy przy garach i bachorach, ona rzeźbi ciało, gra na giełdzie, pilotuje samoloty. Jeśli postanowiłaś zrobić karierę, musisz w nią coś włożyć. Możesz wierzyć lub nie, ale przed pięciu laty, zanim poznałam Aquariusia, byłam zdana na łaskę pewnego odrażającego macho. To był typ, mówię

ci! Miał włosy na plecach, między palcami i nie umiał pisać, a śmierdział jak skunks. I wiesz co? Był maklerem giełdowym...

– A Zdobniak? – zapytała Małgosia, żeby ostatecznie wszystko wyjaśnić.

– Zdobniak? Och! Zdobniak jest przyjacielem kobiet. Czyż nie? – Rita znowu dmuchnęła mu dymem w twarz. Zdobniak uśmiechnął się skromnie. Zniknął w chmurze dymu. Kiedy z niej wyszedł, był nadal uśmiechnięty i rozluźniony.

– Czyż nie, Zdobny? – powtórzyła Rita.

– Naturalnie – Zdobniak uniósł szklaneczkę z drinkiem i łobuzersko puścił oko w przestrzeń. Rita roześmiała się odchylając głowę. Położyła dłoń na szczupłym ramieniu Zdobniaka.

– On jest cudowny. Uwielbiam ten rodzaj niewymuszonego komizmu, jaki sobą reprezentuje. Zdobniak zerknął z dołu na Ritę.

– Jego dowcipy są tak metaforyczne. Zupełnie surrealistyczne, jak obrazy De Chirico. Na przykład to, że jest przyjacielem kobiet? Albo te gumy – Rita pokazała na przerwatywy na wodnym łóżku. – Będzie wojna, Zdobniak, że robisz zapasy?

– To moja wina... – odezwała się Małgosia

– Wystarczy, moje panie – przerwał Zdobniak. – Dość pochwał. Nałóż coś na siebie, Małgosiu.

– Dlaczego?

– Zdobniak zabiera nas do „Kocięgo ogona” na kolację – wyjaśniła Rita. – Czy zauważyłaś, że on się wogóle nie zna na kobietach? – spytała nie wyjmując cygara z krwistoczerwony chust. Była trochę wulgarna. Zdobniak uniósł brwi.

– Mówiąc ściślej, on ma taki niefrasobliwy stosunek do kobiet. Nie ma w nas nic, na czym by mu naprawdę zależało. Jest na przemian zabawny i smutny.

– Czy on jest twoim kochankiem? – spytała Małgosia dostatecznie podenerwowana, zła i zmęczona.

– Zdobniak? Moim kochankiem? Skąd ci to przyszło do głowy? – Rita wybuchnęła śmiechem.

Zdobniak mógłby się poczuć urażony, gdyby miał na to ochotę lub gdyby podkochiwał się w Ricie potajemnie, ale przecież Rita nie nadawała się do kochania. Była silna jak facet, wysportowana, inteligentna, przebojowa, lecz nie miała duszy. W ustach takiej osoby jak Rita stwierdzenie, że nie jest się jej kochankiem musiało nasuwać przypuszczenie, że mężczyzna ma jakieś istotne fizyczne defekty i to wiadomo jakie. W dzisiejszych czasach mężczyzna z defektami zasługuje na pogardę, zdany, jak twierdzi Chester Lobkowitz, w odróżnieniu od mężczyzny w pełni wartościowego, który masturbuje się gołymi rękami, na masturbację przy pomocy pompki na podciśnienie.

Zdobniak wykazał zadziwiającą intuicję.

– Ja mam zawsze erekcję. Wszędzie i o każdej porze. – Powiedział to tak, jakby przed chwilą, od niechcenia, wyniósł z płonącego budynku trójkę małych, osieroconych dzieci i nic sobie nie robił z szalejącej wokół śmierci. Powiedział to ze znużoną obojętnością. Obojętność jest obliczem prawdziwego mężczyzny, prawdziwego bohatera, skromnego, a zarazem niezwykle odważnego i zawsze gotowego wkroczyć do akcji. Reszta to puste przechwałki na użytek mediów.

– On zawsze dopnie swego – Rita zakręciła cygarem. – Ależ to głupio zabrzmiało: „dopnie swego”, nie uważasz? O czymkolwiek się rozmawia z facetem, zawsze zejdzie na tematy związane z seksem. Czy to nie głupie? I męczące?

– Nie mam ochoty na kolację – powiedziała Małgosia do Zdobniaka. – Jeśli pozwolisz, wrócę do siebie.

– Oczywiście. Przykro mi, że nie chcesz jechać z nami. Ekscentryzm Rity, cokolwiek wymuszony, przestaje razić przy bliższym poznaniu. Nawet staje się zabawny, jak już nie ma innych tematów do rozmowy – wyjaśnił Małgosi.

– No wiesz? – Rita skrzywiła się.

– Ona tylko wygląda na tupeciarę, a w rzeczywistości nosi w sobie masę kompleksów.

Rita zamrugała oczami. Trzepnęła Zdobniaka żartobliwie w ramię. Od takiego żartobliwego trzepnięcia przewraca się słup ogłoszeniowy, więc Zdobniakiem wstrząsnęło.

– Mógłbyś sobie oszczędzić.

– Chcę się wykapać i pójść spać. Jedźcie sami – powtórzyła Małgosia.

– Okej – Zdobniak ruszył do wyjścia.

Rita wzruszyła ramieniem.

– Ale z niego narwany facet. Nigdy nie wiadomo, kiedy żartuje, a kiedy mówi poważnie.

Zdobniak zatrzymał się z ręką na klamce.

– Commedia divina – rzekł.

– Co za facet! – Rita mlasnęła i przewróciła małymi oczkami.

– Jeszcze jedno, kotku. Musisz koniecznie złapać trochę opalenizny, przy prezentacji ubiorów Aquariususa nie możesz być taka blada. Dawid Grynszpan prowadzi „Rydwan Heliosa”, świetny klub z opalającymi łózkami. On stosuje naukowe metody, więc nie musisz się obawiać uczulenia i raka skóry. Umówię cię z nim w przyszłym tygodniu. Bez obawy – dodała widząc minę Małgosi – to nie jest żaden świński przybytek, po prostu doskonały relaks.

– Na pewno nie chcesz z nami jechać? – zapytał Zdobniak od progu. Miał coś kociego w spojrzeniu. Małgosia poczuła się jak mysz.

– Na pewno. Jestem zmęczona. Nie przepadam za nocnym życiem.

– Powinnaś się pokazywać w „Kocim ogonie” – zauważyła Rita. – Jeśli myślisz poważnie o karierze – dodała.

– Nie wszystko i nie za każdą cenę.

– Nie mów ciągle: nie! Do cholery! – Rita zdenerwowała się. – W twoim życiu przyszła chwila, kiedy musisz powiedzieć: tak! Zamierzasz przegapić wszystkie swoje szanse?

– Nie, oczywiście...

– Nie powiesz mi chyba, że to Skoczek miał być twoją szansą?

– Niestety, ona tak myśli – zauważył Zdobniak.

– Wybiję ci to z tej ślicznej główki – Rita uniosła palcem brodę Małgosi. – Do jutra, brzoskwin-ko.

– Nie za każdą cenę – powtórzyła Małgosia z uporem.

– Och! Każda tak mówi. Na początku – Rita machnęła ręką lekceważąco.

Wyszli.

– Oni są stuknięci – powiedziała Małgosia do siebie. Pomyślała, że powinna wyciągnąć z tego jakieś wnioski dla siebie. Była jednak porządnie zmęczona, więc odłożyła to napóźniej. Poszła na górę. Położyła się. Zanim zasnęła pomyślała o Jasiu jadącym na zachód. Widziała jego twarz za szybą samochodu, dużą, szeroką, właściwie pocziwą, jeśli się poznało kogoś takiego, jak Zdobniak. Pomyślała, że może to zbyt duża kara za to, co Jaś uczynił?

Jaś Skoczek zjawił się Zielonej Górze grubo po północy. Dowiedział się, że ostatni pociąg którym Małgosia mogła przyjechać przybył około dwudziestej trzeciej. Poszwędał się po peronach i zajrzał do restauracji dworcowej. Kilkoro podróżnych drzemało przy stolikach. Pięciu bilardzistów rozgrywało partię pod nisko wiszącą lampą w blaszanej oprawie. Jaś podszedł do barmana zastygłego za kontuarem. Pokazał mu polaroidowe zdjęcie sprzed kościoła, na którym było widać Małgosię w otoczeniu weselnych gości.

– Czy widział pan tę dziewczynę?

– Tę w welonie?

– Tak.

– To twoja narzeczona?

– Tak jakby.

– Nie widziałem. Zwiła ci sprzed ołtarza? Powiedziała „nie” zamiast „tak”?

– Skąd pan wie?

– To ich sposób. One mają taki zwyczaj, że kiedy trzeba mówić: tak, mówią: nie. I na odwrót. To się nazywa, że kobiety są nieodgadnione i zmienne. Ja osobiście nic z tego nie kapuję, kolego.

– Ani ja – westchnął Jaś. Schował zdjęcie do kieszeni i jeszcze raz zapytał:

- Więc nie widział jej pan?
 - Przykro mi, synu, że nie mogę ci pomóc.
 - Rozumiem. Jeśli zobaczy ją pan, nich pan powie, że szuka ją Jaś.
 - Co to za jeden?
 - To ja. Jan Skoczek. Ale wszyscy mówią na mnie Jaś. Nie jestem już dzieckiem, a wszyscy mówią do mnie jak do dziecka.
 - Może gołniesz sobie drinka, Jaś? Co? To mój lokal, dałbyś zarobić.
 - Czemu nie.
- Barman rozlał kolejkę.
- A co ty na to? – zagadnął barman. – Mamy tu agencję towarzyską z pięknymi dziewczynami. Może chcesz skorzystać? Co? Pierwszorzędny towar. Najwyższa jakość usług. Ful serwis. Wiem, co mówię, bo to moje córki. Mam pięć córek i wszystkie zostały dziwkami. A najdziwniejsze – barman przysunął się do Jasia, – że ich mężowie bardzo sobie to chwalą.
 - Jak to możliwe? – zdumiał się Jaś.
 - Ano tak, że zamkli fabrykę i zięciowie stracili robote. Skończył się zasiłek i żadnych widoków.
 - To co robią?
- Barman pokazał na bilardzistów.
- To chyba nie w porządku, żeby...
 - Nie potępiaj ich, synu, – przerwał barman Jasiowi – albowiem niezbadane są ścieżki Pana.
 - Niezbadane. To prawda. Zdawało mi się, że rozumiem kobiety, panie...
 - Mów mi Rufin.

– ... Rufin...

– Wstąp na ścieżki Pana, a będziesz zbawiony – Rufin rozlał następną kolejkę. Jaś wlał w siebie alkohol. Spojrzał na wiszący nad barem ścienny zegar ze złoczonego plastyku. Wskazywał pierwszą w nocy.

– Żyjemy złudzeniami, Rufin – rzekł Jaś.

– To najprawdziwsza prawda – zgodził się barman. I nalał po raz trzeci. Na koszt Jasia. W ciszy nocy niósł się ostry stukot bil uderzających gniewnie o siebie i ponuro brzmiące przekleństwa rzucające przez zięciów Rufina.

Małgosia nie obudziła się, kiedy koło trzeciej nad ranem Robert Zdobniak powrócił do domu. Starał się zachowywać cicho, w zasadzie udało mu się nie wpaść na żaden mebel, nie potknąć się o róg dywanu, nie ściągnąć lampy ze stolika, na którym stał telefon. Od samych drzwi trzymał prosty kierunek. Z palcem przytkniętym do warg i głową wciągniętą w ramiona dotarł do wodnego łóżka i zwałił się na nie tak jak stał. W swoim dążeniu donikąd po znajomych kątach uruchomił bezwiednie barek na sprężynie. Uśmiechnął się przez sen, gdyż stukot butelek i szklaneczek wydał mu się podzwaniem boi na torze wodnym wiodącym do mariny w Jastarni, gdzie rok temu wypoczywał przez upojny tydzień. Przywiózł stamtąd muszle, kupę wspomnień i syfilis, którym poczęstowała go bułgarska prostytutka o imieniu Elena. Jednak. Dzięki Bogu, że tylko stary, poczciwy syfilis.

Zdobniak pamięta, że na studiach był przekonany, iż najgorszą rzeczą, jaka może się przytrafić kobieciarzowi jest właśnie syfilis. Ewentualnie tryper. Coś z wahlarza uciążliwych, do pewnego

stopnia nieuniknionych, ale swojskich, uleczalnych dolegliwości, brzmiących równie znajomo jak, powiedzmy, golonka w kapuście. Jednym słowem tradycja. Tymczasem minęło niewiele lat i okazało się, że mężczyznom zagraża coś tak wrednego i podstępnego, jak zaraza stulecia, draństwo, które przechodzi z kobiet traktując penisa jak zwodzony most i atakuje Bogu ducha winnego mężczyznę, który nie miał nic złego na myśli, chciał się tylko zabawić. Zdobniak może to porównać jedynie z koniem trojańskim. Kobieta o imieniu Helena ściągnęła na głowy tych biednych facetów z Troi zamiast wirusa krótkie greckie miecze, ale jaka to w końcu różnica? W obu wypadkach na samym początku chodziło o uciechy cielesne, a na końcu o śmierć. Ale w końcu przecież ludzkość zrobiła od tamtych czasów ogromny skok cywilizacyjny i dzisiaj nie można, do jasnej cholery, umierać po stosunku! Zdobniak nie bierze odpowiedzialności za świat, który zawodzi w tak czułym punkcie! Więcej! Zdobniak uważa, że nie musi być tak szalenie lojalny wobec nielojalnego świata. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie!

Jastarnia, Jurata, klif w Rozewiu, Hel, fokarium, kaszubskie checze, kutry... To były szczęśliwe, beztroskie chwile. Nawet syfilis był jak rana odniesiona w boju, w walce życia, radości, witalności, wolności, demokracji, kultury śródziemnomorskiej ze śmiercią.

Zdobniak spał na wznak, z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami i śnił. Miał piękny sen o księżycowej, cichej nocy na plaży i dalekim, cichym podzwanianiu boi kołyszących się leniwie na długiej, podobnej do plamy rozlanej oliwy, połyskliwej fali pachnącej solą, krwią patroszonych ryb i olejkami do opalania.

Potem przyszedł ból przy oddawaniu podejrzenie mętnego moczu i nieprzyjemne swędzenie genitaliów. Dolegliwości, które mogły być spowodowane podrażnieniem skóry przez imitujący

lamparcią skórę poliester kąpielówek, okazały się syfem. Pomimo trafnej diagnozy dermatologa Zdobniak wyrzucił kąpielówki nabrawszy do nich mistycznej odrazy. Postanowił jak zarazy unikać bielizny ze sklepów francuskiej sieci „Wakacyjne Zbytki”. Zdobniak jest trochę przesądny i, jak każdy egocentryk, wrażliwy na punkcie swojego zdrowia. Pozbycie się majątek nie miało oczywiście racjonalnego uzasadnienia, jak również te szczeniackie zabiegi z moczeniem schorowanego, lub tylko podejrzanego o chorobę, penisa w wodzie kolońskiej, spirytusie kosmetycznym, jodynii i nadmanganianie potasu. Po tych ostatnich zabiegach jego penis przypominał kawał oksydowanego metalu, ale nie posiadał niestety tej twardości i odporności. Powiada się, że nastawienie psychiczne pomaga w zwalczaniu dolegliwości. Te zabiegi, zaklęcia i zamawiania naprawdę Zdobniakowi pomagały. Uważał, że skoro jest urojona ciąża, to może być również urojona niedomoga męskich narządów. Jako wieloletni praktyk, pogłębiający swoje obserwacje lekturą takich wyrafinowanych dzieł literackich, jak choćby wspomniana „Zgwałcona przez karła”, niezłe orientował się w psychologicznych uwarunkowaniach życia seksualnego. Po powrocie z Jastarnii pomogły mu ostatecznie antybiotyki i specjalistyczna maść, ale pozostało niezatarte przekonanie, że nie jest na tyle silny, wspaniały, przezorny, tolerancyjny, nowoczesny, nonkonformistyczny, progresywny, antyglobalistyczny, inteligentny, szlachetny, a nade wszystko uczciwy wobec kobiet, świata i samego siebie, by uniknąć zarażenia czymś tak błahym jak *syphilis*, więc tym bardziej nie jest w stanie obronić się przed zarazą stulecia, a może nawet tysiąclecia. Zdobniak poczuł się oszukany. Oferował światu swoje przymioty, niezaprzeczone zalety pacyfizmu i kosmopolityzmu końca epoki, tymczasem świat okazał mu taki dowód braku zaufania i wyrozumiałości.

Z wnętrza wymiętej marynarki wydobył się dźwięk komórki. Piskliwym, elektronicznym dyszkancikiem wygrywała początek „We are the champions” The Queen. Musiała upłynąć minuta, zanim Zdobniak odnalazł właściwy punkt odniesienia dla niezwykłego dźwięku rozlegającego się na plaży w Juracie.

– To telefon – wymamrotał. Parokrotnie wkładał dłoń pod marynarkę zanim natrafił na kieszeń. Wyszarpał komórkę, która okazała się być tak ciężka, że śmiało mógł nazwać siebie Wyrwidębem.

– Zdobniak?! Jestem w Zielonej Górze!

– Tak? Kto mówi?

– Jaś!

– Tak? A co tam robisz?

– Przeszukałem cały dworzec. Nigdzie jej nie ma. Nawet jej nie widzieli. To okropne usłyszeć po całej nocy tłuczenia się samochodem, że nikt jej nie widział. Poza tym niektórzy robili głupie uwagi. Wiesz, jakiego rodzaju.

Zdobniak przycisnął telefon do ucha i myślał. Jakże on w tej chwili myślał! Jego mózg wyschnięty jak żółwia skorupa pełzył wolno do przodu i wyciągał z lepkiego błota stukilowy wór wypełniony kamieniami. Te kamienie to były właśnie myśli inżyniera Zdobniaka.

– Jakie? – zapytał.

– Co jakie?

– Robili uwagi?

– No wiesz, uwłaczające.

– Ludzie są podli, Jasiek. Mali zawistnicy. Musisz się z tym pogodzić... ona dzwoniła do mnie.

– Dzwoniła? Kiedy?

– Kiedy? Przed chwilą. Tak, przed chwilą – Zdobniak wcisnął telefon między poduszkę, a ucho.

– Posłuchaj, Jasiek. Ta dziewczyna ma zwariowane pomysły... – Zdobniak umilkł. Telefon jak śliska rybka wypadł mu z dłoni.

– Jakie pomysły?

Zdobniak odnalazł w ciemnościach świecącą zieloną diodę, która wydała mu się równie odległa, jak żeglarzowi odległe wydaje się światółko latarni morskiej i z nagłym wzruszeniem przysunął się do niej.

– Jedzie do Jastarni – wyszeptał łamiącym się głosem.

– Do Jastarni? Po co? – Jaś był przerażony.

– Nie mam pojęcia.

– To co ja mam teraz zrobić?! Na miłość boską!!!

– Jedź do niej.

– Nad morze?

– Jasne.

– Jak ja ją znajdę? Och, Zdobniak! Jestem zmęczony! Jestem strasznie zmęczony! Nie spałem całą noc!

– Prześpij się więc, a potem pomyśl, co masz zrobić, jeśli chcesz ją odzyskać.

– Ale jak ja ją odnajdę?

– Serce ci podpowie.

– Serce?

- Zrób to. Dobrze ci radzę.
- Och! Wiem, że powinienem to zrobić, ale sam powiedz, czy łatwo będzie znaleźć ją w tłumie turystów? Przecież tam jest tyle hoteli, pensjonatów...
- Zajmie ci to sporo czasu. Wydasz kupę forsy. Ale przecież jesteś mężczyzną, Jasiu. Zakochany facet nie liczy forsy ani czasu.
- Och! Zdobny! Wiem o tym, ale...
- No więc zachowaj się jak mężczyzna i jedź do niej. Ona czeka.
- Na co?
- Na to, żebyś ją odnalazł.
- Powiedziała ci?
- Dała do zrozumienia. Jest ci gotowa wybaczyć, pod warunkiem, że odbędziesz swoją kalwarię.
- Nie kapuję, Zdobniak.
- Musisz się nacierpieć, zanim osiągniesz upragniony cel. Cierpienie uszlachetnia i pozwala powrócić do krainy podstawowych wartości. Dzisiaj ludzie chcieliby mieć ciągły ubaw, a nikt nie myśli o odpowiedzialności...
- Ona ci to wszystko powiedziała?
- Nie sądzisz chyba, że sam wymyśliłem te podstawowe wartości.
- No nie... Czy powiedziała dokładniej, co ma na myśli? Lepiej, żebym był przygotowany, gdyby chciała ze mną pogadać na ten temat.

– Jasne. Uczciwość, odpowiedzialność, altruizm, prawdomówność, skromność, wiara w autorytety...

– Dobry Boże! – Jaś zachichotał niespokojnie. Zerknął na Rufina wlepiającego w Jasia zmałony licznymi drinkami wzrok. Jaś dzwonił z dworcowej restauracji. Mieli już za sobą sporo kolejek. Rufin przekonywał Jasia z ojcowską czułością, że najlepszą pociechą w tym parszywym życiu jest butelka i chętna dziewczucha.

– Tak właśnie powiedziała – kontynuował Zdobniak. – Ani słowa o seksie.

– Ani słowa?

– Ani słowa.

– To do niej podobne – Jasia opadło olśnienie. – Teraz rozumiem, dlaczego nie lubiła się kochać w samochodzie. Jest oziębła.

Oczy Rufina podskoczyły.

– Od razu to sobie pomyślałem, synu. Jakeś mi tylko pokazał to ślubne zdjęcie. Jaka zdrowa dziewczucha ucieka, wiedząc, że niedługo wyląduje z chłopem w łóżku?

– No właśnie – odparł Jaś. – Jaka zdrowa dziewczucha tak by zrobiła?

– Może jest chora? – podsunął Rufin.

– Chora? – powtórzył Jaś w zamyśleniu. Chciało mu się spać.

– Sam mówisz, że jest oziębła.

Zdobniak po drugiej stronie usnął. Głosy Jasia i Rufina brzmiały jak odległe pomruki morza, kiedy to wydaje się, że księżyc jak srebrna gondola sunie miękko i bezgłośnie po falach marzeń o miłości.

– Tak bardzo chora to nie była – odparł Jaś.
– Ale nie była chętna?
– Nie. Chętna nie była. To znaczy, nie zawsze była chętna.
– Jeśli kobieta nie jest chętna i nie rwie się do łóżka, to znaczy, że nie wszystko ma w porządku.
– Co na przykład?
– Kuciapkę. A co innego?
– Słyszałeś, Zdobniak? Rufin ma podobne zapatrywania... Zdobniak? – Jaś przycisnął komórkę do ucha. Odpowiedziała mu cisza.
– Może twój koleś ma babkę w łóżku? – Rufin uniósł krzaczaste brwi. Poruszył nimi kilkakrotnie w górę i w dół. – Z pełnymi ustami nie można rozmawiać.
Jaś roześmiał się.
– Słyszałeś, Zdobniak? Rufin mówi, że z pełnymi ustami nie można rozmawiać!
Zdobniak nie słyszał. Spał. Komórka wpijała mu się w ucho, ale on tego nie czuł. Tak strasznie był zmordowany.
Jaś schował swój telefon. Rufin opowiedział mu kilka historii ze swojego barwnego życia oraz z nie mniej barwnego życia swoich pięciu pięknych córek, z których dwie skończyły szkołę dla fryzjerek, jedna była dyplomowaną krawcową, czwarta przez jakiś czas robiła karierę w dziale nabiałowym pewnego hipermarketu, póki jej nie złapali na kombinowaniu z terminami przydatności do spożycia, a piąta, najmłodsza, duma i światło radości rozjaśniające mroki życia ojca, dociągnęła nawet do matury. Mądre pointy nadawały tym historiom charakter przypowieści o głębszym, ogólnoludzkim znaczeniu. W ten sposób zleciała im cała noc. Jaś właściwie chciał już jechać do tej

cholernej Jastarni, ale Rufin nie przestawał sypać z bogatej skarbnicy swoich życiowych doświadczeń. Jaś słuchał. Należał do ludzi odczuwających potrzebę obcowania z autorytetami, dlatego był w przeszłości bardzo dobrym studentem, słuchaczem studium wojskowego, kumplem, a obecnie sumiennym pracownikiem w towarzystwie ubezpieczeniowym i posłusznym synem. Z całą pewnością byłby dobrym mężem i to, z całej gamy powodów do pretensji pod adresem Małgosi, najbardziej go bolało. Jak ona mogła nie dojrzeć w nim oczywistych zalet? Takiej choćby solidności, zrównowżenia? On potrafi dać kobiecie poczucie bezpieczeństwa i stabilności. Tak, Jaś jest solidnym mężczyzną. Ale Małgosia myślała całkiem inaczej, choć miałyby powody, żeby ujrzeć Jasia w korzystnym świetle. Na pewno Jaś po paru latach poddałby się dyktatowi Małgosi, tak jak to w końcu uczynił Walter Skoczek nie mogąc utemperować swojej żony. To naturalna kolej rzeczy w rodzinie Skoczków i Jaś nie zamierzał się przeciwko niej buntować. W tej rodzinie życie mężczyzn upływało na usiłowaniach zapanowania nad kobietami, które nieodmiennie okazywały się deprecjami godność mężczyzny nieugiętymi kutwami z drewnianym grzbietem i sercem z żelaza.

Czy Małgosia podeptałaby godność Jasia? A może już to robiła? Ani się człowiek obejrzy, a już jest skończony.

– O synu! – zgorzkniałym głosem rzekł Rufin nad ranem. – O, synu! Rozczarowanie jest naszym udziałem.

– Dlaczego ona najpierw przyjechała tutaj, a teraz jedzie do Jastarni? Dlaczego nie pojechała tam od razu?

– Wodzi cię za nos. Dziwię się, że sam tego nie rozumiesz.

– Gdzie się podzieli twoi zięciowie? – Jaś spojrział na pusty stół do bilarda i dziesiątki wyschniętych płam po płwocinach, puszek po piwie i niedopałków zaścielających posadzkę.

– Poszli liczyć utarg.

– Potrafią korzystać z życia, nie ma co – skomentował Jaś z zazdrością.

– A ty nie dałbyś moim córkom zarobić?

– Może innym razem. Teraz muszę się zbierać.

– Bóg wybrał dla ciebie ciężki los, ale ty okaż pokorę...

– Mówisz jak jakiś ksiądz – przerwał Jaś zniecierpliwiony. – Nie wyglądasz mi na księdza, a gadasz jak oni. Taki jeden też tak gadał i z powodu tego gadania ona mi zwiąła. Nic dobrego nie przychodzi z wywyższania się.

– Fakt – przyznał Rufin. – Powiedziane jest, nie wynoś się nad innych, bo będziesz strącony.

– No to jak nie jesteś księżulem, to musisz być zakrystianem – stwierdził Jaś.

– Nie. Nie jestem zawodowcem. Raczej ambitnym amatorem. Założyłem swojego czasu Objazdowy Kościół Dymających Schizmatyków, ale córki wolały stałą pracę bliżej niemieckiej granicy. Może to i racja, bo dziś trudno o popłatne zajęcie.

– Pozdrów je ode mnie.

Jaś zsunął się z wysokiego barowego stołka. Odwrócił się.

– Czy... są szczęśliwe?

– O tak! – Rufin pokiwał głową. – Żyją ze swoimi mężami w miłości i zgodzie. A to jest najważniejsze. Harmonia w małżeństwie, to podstawa szczęścia.

Jaś wyszedł na zewnątrz. Słońce oślepiło go. Zapowiadał się piękny dzień. Przed Jasiem długa droga. Podszedł do swojego samochodu. Przez cały bok karoserii biegł wydrapany napis „Polska dla Polaków”. Jaś przeczytał napis bezgłośnie poruszając ustami. Potem przeciągnął po nim palcem. Odwrócił się rzucając wściekle spojrzenia na nielicznych podróżnych śpieszących na poranne pociągi.

– Skurwysyny! Przecież jestem Polakiem! Dobrym Polakiem! Czego ode mnie chcecie?! – wrzasnął. Jakiś bury kundel przebiegający nieopodal odpowiedział mu szczeknięciem. Jaś splunął. Pies zawył. Wiatr uniósł brudną płachtę gazety ze zdjęciem aktora, który grał niegdyś wielkie role dramatyczne, a teraz był głupkiem z sitcomu, i rzucił kawałek dalej.

Małgosia lubiła sobie poleżeć po przebudzeniu się. W czasach, kiedy jeszcze nie знаła Jasia Skoczka, budziła się ze wschodem słońca i leżąc w ciepłej pościeli rozmyślała o innym świecie. Te rozmyślenia niosła ze sobą do małego, ciasnego sklepu spożywczego, jedyne w osadzie. Sklep prowadziła siostra jej matki. W wakacje Małgosia pomagała ciotce. Tamtego dnia była sama na zapleczu oddzielonym od reszty sklepu kurtyną z kolorowych plastikowych pasków. Przesypywała cukier z wielkiego wora do torebek i ważyła. W każdej torebce musiał być równy kilogram. Usłyszała skrzypienie otwieranych drzwi i kroki. Jakiś młody, męski głos, w którym brzmiało zniecierpliwienie zapytał:

– Jest tu ktoś?

– Już idę!

Małgosia wyszła z zaplecza. Ujrzała wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę w czerwonym podkoszulku z motywem a'la Juan Miro, zielonych szortach i sportowych lustrzan-

kach rozsiewających stalowobłękitny blask. Rozglądał się po półkach zavalonych mięsnymi i rybnymi konserwami. Był spocony i zmęczony. I zły. Zauważyła to, kiedy spojrzała na jego drgającą zuchwę.

– Jak się nazywa ta cholerna... – mężczyzna oderwał wzrok od półek i ujrzał anielskiej piękności twarz Małgosi – ...dziura – dokończył.

– Zapadłe – odparła Małgosia lękliwie.

– Jak stąd wyjechać na Ustrzyki?

– Tam – pokazała ręką.

– Ma pani coś do picia? Sprajta?

Małgosia zastanowiła się.

– Nie – odparła.

– Szwepsa?

– Nie.

– Kulera?

– Nie.

– Redbula?

– Nie. – Małgosi zrobiło się przykro, że w sklepie nie ma tego wszystkiego, o co pytał nieznajomy przybysz w okularach jak oczy ważki.

– Pepsi? Kola?

– Też nie.

Ostatnie słowa wypowiedział niemal szeptem. Chciało mu się pić, bardzo chciało mu się pić, zabłądził na tych cholernych, dzikich połoninach i od paru godzin kręcił się po jakimś cholernym zadupiu. Był wysuszony na wiór i kiedy rozglądał się po półkach, mało go szlag nie trafił, bo stały na nich same konserwy, a on nie był głodny, tylko cholernie spragniony. Zamierzał się wściec i powiedzieć parę uszczypliwych uwag na temat dziesięciu lat transformacji oraz neoliberalizmu w rozumieniu polskich wieśniaków, ale widok Małgosi spowodował, że zeszło z niego całe powietrze.

– Fanta?

– Nie – Małgosia opuściła głowę.

– Mirinda?

– Nie – szepnęła.

Nie, to już nie były pytania o napoje, to były pytania o sens życia. Jaś Skoczek poczuł, że jest w niebie i widzi anioła. Przestał odczuwać pragnienie. Zdjął okulary. Na Małgosię spojrzwały miękkie, orzechowe oczy zasnutę jakąś mgłą.

– Mamy oranżadę.

– Tak?

– Tak.

– Zabłądziłem.

– Chce pan jechać do Ustrzyk Dolnych czy Górnych?

– Wszystko jedno.

– Otworzyć?

– Tak.

Małgosia podała mu butelkę. Jaś mechanicznie wlał w siebie kolorową zawartość o smaku mandarynki. Wyjął portfel, z którego wydobył banknot dziesięciozłotowy i położył na ladzie. Małgosia wydała mu resztę myląc się parokrotnie. Milczeli. Ona unikała jego rozpalonych spojrzeń, on pieścił wzrokiem każdy skrawek jej twarzy skrytej za jasnymi jak pszenica włosami, łowił błyski jej lazurowych oczu skrytych za długimi rzęsami. Pomyślał, że jej oczy są niczym dwa głębokie jeziora, a rzęsy jak tatarak. Poczuł przemożne pragnienie zanurzenia się w czystej wodzie tych jezior.

Pokręcił się po sklepie, kupił jeszcze dwie butelki mandarynkowej oranżady, trzy mielonki turystyczne, pół bochenka chleba, sól, cukier, konserwę rybną, paczkę drożdży, wafle, ocet, musztardę, fasolkę po bretońsku, dziesięć jajek, pół litra denaturatu, dziesięć deko żółtego sera. W końcu powiedział, jak się nazywa i skąd przybywa. Wieczorem tego samego dnia wymienili się adresami. Nie mogli się wymienić telefonami, bo Małgosia nie miała telefonu.

Nie. Małgosia nie wyjechała z nim natychmiast, nie potrafiła się tak od razu zdecydować, zresztą Jaś nie nalegał. Był doprawdy bardzo delikatny. Właściwie Małgosia nie miałaby nic przeciwko zapakowaniu jej przez Jasia do samochodu i wywiezieniu z osady. Nie było tu nic, co by Małgosię trzymało, co chciałyby zabrać kiedyś w daleką podróż. Wiele razy rankiem, po przebudzeniu, marzyła o dalekich podróżach i choć miała na myśli konkretne miejsca, które pragnęłyby odwiedzić, to tak naprawdę jej rozmyślania miały charakter metaforyczny, były pragnieniem odmiany, pragnieniem perspektyw i prawdziwego życia. Miała osiemnaście lat i całe życie przed sobą. Tu, w osadzie, nie wiedziała co z nim zrobić.

Jaś pojechał do domu i milczał, przeżywając spazmatycznie spotkanie. Orzechowe oczy często zachodziły mgłą wzruszenia, jak wtedy, w sklepie. Potem, w okolicach października, napisał do niej list proponując, żeby się spotkali po Bożym Narodzeniu. U niego. W jego wielkim mieście, pełnym sklepów ze sprajtem, szwepsem, redbulem, izostarem, kulerem, fantą, mirindą, kolą i pepsi. Pełnym także milkilejów, kranczipsów, tliksów, marsów i snikersów:

„Zasypiam z obrazem Twojej anielskiej buzi przed oczami. Przypominasz mi Madonnę Rafaela, tak doskonale jesteś piękna i łagodna. Pamiętasz dzień, w którym się poznaliśmy? Zapytałem cię o te wszystkie głupie napoje, a ty odparłaś, że nie ma. Jakież to było prorocze i symboliczne. Oboje mamy coś i czegoś nie mamy, ja mam te wszystkie napoje, ale nie mam ciebie, ty nie masz tych napojów, ale za to masz moje serce. I moje myśli. Wybacz, że się nie odzywałem, ale wszystko musiałem przemyśleć. I doszedłem do wniosku, że możemy się spotkać. Przedstawię cię moim rodzicom. Ale zrobią minę! Już dłużej nie mogę żyć bez Ciebie, dosyć się nacierpieliśmy, tęskniąc dniami i nocami do siebie. Wiem już na pewno, że to miłość! Twój Jaś, kochający na wieki”.

Jasia do głębi wzruszyła wiadomość, że Małgosia jest sierotą i wychowywała się w domu siostry matki – Łucji i jej męża Zdzisława. Powiedział, że to okrutna igraszka losu w stylu, powiedzmy, Konopnickiej czy też Orzeszkowej, która mogła się przytrafić w dziewiętnastym wieku, a przecież mamy rok dwutysięczny!

A oto szczegóły podane przez Małgosię w liście do Jasia z połowy listopada. Rodzice Małgosi zginęli w pożarze lasu. Ojciec Małgosi, Romuald, był gajowym, rzucił się do walki z ogniem podchodzącym niebezpiecznie blisko gajówki. Jego żona, Jadwiga, ruszyła na pomoc mężowi. To było zgodne, kochające się małżeństwo. Otoczeni zewsząd ścianą ognia, przytuleni do siebie zmarli

wskutek zaccadzenia. Płomienie strawiły gajówkę i ich ciała. Strażnicy leśni odnaleźli na polanie dwa złączone, zwęglone trupy.

Oboje, i Jaś i Małgosia, doszukali się w swoim spotkaniu wielu romantycznych pierwiastków, a tragedia małżeństwa Strumyków przydała miłości Jasia i Małgosi nieco transcendentnego blasku. Ów blask mógłby być mocnym podłożem dla ich związku. Jaś początkowo mówił nawet o przeznaczeniu, wyrokach boskich i ponadczasowej sprawiedliwości, która wynagrodziła cierpienie rodziców obdarowując szczęściem córkę. Cierpienie. Właśnie ono towarzyszyło im od początku. Nie bezgraniczna radość i szczenięca beztroska, lecz ciągle wyczekiwanie, smutek i ból, poważne nadzieje na odmianę losu, dojrzałe uczucia.

– Nasze losy tak się ze sobą splatają, – rzekł Jaś po przywitaniu się na dworcu – jak losy wiecznych kochanków, jacy tylko stąpali po tej ziemi od chwili zarania, takich jak Abelard i Heloiza, Romeo i Julia, Werter i Lotta. I tak już zostanie. Wydaje mi się, że cię kocham. Cię twojej przeszłości będzie się rzucał na naszą przyszłość, będzie podążał za nami, niczym cię tajemniczego jeźdźca podąża za koniem w księżycową noc. Ale nie martwmy się tym, cierpienie uszlachetnia. Ja widzę w tobie duszę i wiem, jakie to szczęście dostrzec w ukochanej kobiecie obok słodczy ciała także gorycz cierpienia. Przynajmniej mężczyźnie jest to potrzebne, gdyż wtedy może obdarzyć ukochaną kobietę szacunkiem.

Na podobnych wyznaniach Jasia upłynęło im pół roku. Jeśli Małgosia miała z początku obawy, że Jaś może się okazać pustym bawidamkiem, zepsutym podrywaczem z wielkiego miasta, to po kilku takich seansach pozbyła się wątpliwości i otworzyła serce na tego zakochanego, skromnego mężczyznę.

Chodzili do kin, teatrów, klubów, na dyskoteki i do bibliotek. Odwiedzali muzea i galerie, włączyli się przytuleni do siebie, kochali się w samochodzie Jasia i czasem w domu jego rodziców, w sypialni Jasia na górze, w kuchni, w schowku na odkurzaczu, a nawet w gabinecie Waltera. Rodzice Jasia przyjęli Małgosię w zasadzie serdecznie. Może jeszcze nie jak córkę, bardziej jak miłego gościa z prowincji, ale w każdym razie nie robili złośliwych uwag. To znaczy Walter powstrzymywał się od robienia złośliwych uwag. Izabela natomiast była bardzo miła. Nie sądziła, że Jaś znajdzie sobie tak uroczą i niewinną partnerkę na dalsze życie. Wiedziała, na jakie zepsute i bezczelne kobiety może liczyć w tym mieście. Wiedziała, że jej syn nie umie sobie radzić z takimi kobietami. Dała Małgosi mały pokój z tyłu domu i własne klucze.

Co do seksu, to nigdy nie kochali się w hotelach, gdyż, jak utrzymywał Jaś, uwłaczałoby to godności Małgosi. Nie umiałby zaproponować uprawiania miłości w łóżku, w którym przed chwilą leżała prostytutka z klientem. Często dyskutowali o świecie i literaturze, Małgosia była odczytana. Całymi dniami, siedząc za ladą sklepu wertowała różne książki.

– Jesteś piękna i inteligentna – mawiał Jaś. – Jesteś połączeniem żywiołów, na przykład namiętności ognia i rozsądku wody.

Był zawsze delikatny, uprzedzająco grzeczny i nigdy nie proponował Małgosi nic, co mogłoby ją urazić. Choćby stosunku oralnego w samochodzie albo analnego w toalecie. Miał dość tradycyjne poglądy na seks, znał po prostu dwie, trzy klasyczne pozycje na plecach i na boku. Małgosia nie powiedziała mu, że mogłaby mu się oddać w jakikolwiek sposób, jaki podyktuje im obojgu wyobraźnia, gdyż właściwie pragnie z nim, i tylko z nim, trochę wyuzdania. Kobieta niekoniecznie musi się kłaść, żeby przyjąć w siebie mężczyznę. Równie dobrze może stać, klęczeć, siedzieć i robić

całe mnóstwo innych rzeczy, na które trzeba akurat tyle miejsca, ile jest go w schowku na odkurzaczu. Z drugiej strony Jaś mówił, że nigdy, przenigdy nie chciałby dożyć chwili, w której będzie musiał stracić szacunek, jaki do niej żywi, dlatego Małgosia oddała mu całą inicjatywę seksualną. Nawet sprawiała jej przyjemność słuchanie Jasia gryzącego jej ucho i szepczącego coś o końcu świata i bramach rajów. Raz na plecach, po jednym razie na każdym z boków i całkiem przypadkowo od tyłu, kiedy pewnego dnia Małgosia położyła się na brzuchu, żeby obrócić się na drugi bok.

– Jakie to piękne – szepnął Jaś wisząc nad nią, wsparty na palcach stóp i dłoniach jak stalowe przęsło mostu nad przęszącą się w dole rzeką. – Jeszcze nigdy nie robiliśmy tego w taki sposób! – W głosie Jasia brzmiał chłopięcy zachwyty.

– Więc spróbujmy – odparła Małgosia unosząc biodra i wypinając pupę. Jaś pokonał strach i dławiące wzruszenie. Zachłystując się pięknem jej ciała posiadał ją w ten szalony sposób. Potem nie chciał słyszeć dłuższy czas o żadnej innej pozycji i stwierdził, że w seksie wyobraźnia jest bardzo przydatna, może nawet bardziej niż spontaniczność. Jaś uważał na przykład, że kochanie się w samochodzie jest przejawem nieokiełznanej spontaniczności.

– Po prostu kochamy się tam, gdzie akurat jesteśmy, jeśli tylko znajdzie się kawałek podłogi lub czegoś, na czym mogłabyś się wygodnie położyć. Czy to nie fascynujące? Gdyby mój ojciec wiedział, co my wyprawiamy w jego gabinecie, to by nie uwierzył. Jest dosyć tradycyjny w tych sprawach. Mnie również wychował tradycyjnie. Właściwie niewiele z sobą rozmawialiśmy na te tematy. I raczej nieprzyjemnie. Jak by tu powiedzieć, on mnie straszyl.

Małgosia świadomie obudziła w nim pragnienie doświadczania, nie przypuszczając, że kreatywna wyobraźnia mężczyzny i jego prymitywny instynkt przewodzenia i podboju nowych te-

renów obróć się przeciwko niej. Ostatecznie przekonała się, że Jaś nie kocha jej na prawach wyłączności i że to, co dla niej było dopuszczalne tylko z Jasiem, a więc i normalne, i moralne w ich małej krainie, cokolwiek bajkowej, cały ten seks z figurami, dla niego będzie nieustającym wyzwaniem, niekończącym się aktem erotycznego eksperymentu z kobietami, które będzie naturalnie traktował jak przedmioty. Ślub, dziecko, trudy wychowania odsuną na jakiś czas rozkład małżeństwa, ale prędzej czy później Małgosia stanie się również przedmiotem seksualnym. A co gorsza, przedmiotem wybrakowanym, którym Jaś się znudzi, jak dziecko nudzi się zniszczoną zabawką. Uświadomiwszy to sobie tamtej pamiętnej nocy, kiedy śledziła Zdobniaka i Jasia, odmieniła się. Właśnie wtedy stała się dojrzałą kobietą. Potrzeba było tej odrobiny goryczy. Najpierw był to rozszalały ocean rozpaczy, wściekłość, wreszcie smutek. Miała całą noc na rozmyślania. Nazajutrz Jaś ujrzał inną kobietę, choć nie miał o tym najmniejszego pojęcia.

– Robert Zdobniak mówi prawdę, Jasiu. Jesteś świntuchem z natury i upodobania. Kiedy się poznaliśmy, ja, co prawda, nie byłam dziewicą, ale oddałam ci się całkowicie, ciałem i duszą, jak dziewica, gotowa zgodzić się na każdą nieprzyzwoitość, byle z tobą. Wyłącznie z tobą. Ty natomiast możesz świntuszyć z każdą kobietą. Będiesz oszukiwał mnie, nasze dzieci, odwiedzał agencje towarzyskie, nocami śnił o innych kobietach, będę znajdowała w twoich kieszeniach zużyte prezerwatywy, a w łazience pod wanną autobiografię waszego idola, Flasha Milaca.

Małgosia po trosze gardziła Jasiem i współczuła mu. Był mężczyzną niepełnym, w połowie, czasem w trzech czwartych. Pozostałą część uzupełniała w myślach. Za niego. Była to winna jemu i sobie, jako niespełniona dobra żona. Okazało się, że robiła błąd.

Wstała wcześniej, była do tego przyzwyczajona. Zdobniak nie. Kiedy zeszła na dół, do kuchni, on ciągle spał. Wyglądał jak sterta szmat, które jakaś wielka dłoń zgmiotła i rzuciła na łóżko. Zrobiła sobie kanapkę z pomidorem i usiadła przy stole pod oknem. Myślała o Ricie i Aquariusie, ale były to myśli tak zwiewne i niekształtne, jak para unosząca się znad kubka z gorącą herbatą. Potem zrobiła w kuchni małe porządki, wykąpała się, przejrzała skromną biblioteczkę Zdobniaka, który ciągle spał. Zaczynała mieć mu to za złe. Mamrotał przez sen, bił rękami w łóżko i rzucał się niepokojnie

Rita przyjechała koło południa dwuosobowym, sportowym porsche w kolorze brudnego rózu. Miała na sobie ultramarynowe szorty z jedwabiu i jedwabny, błękitny podkoszulek na jednym ramiączku. Z mocnej szyi zwisał długi, szafirowy szal. Wlókł się za nią jak niepotrzebne, przykre wspomnienia.

– Czasem mam wrażenie, że może się zaplątać w koło i zginąć jak Isadora Duncan – powiedziała machając końcem szala. Małgosia wąpiła, ale uśmiechnęła się uprzejmie.

– Jestem romantyczką – ciągnęła Rita. Miała tęgie, mocne uda i duży płaski tyłek. – Uwielbiam muzykę Ryszarda Wagnera, jest pełna tego weltschmerz.

Spojrzała na Zdobniaka.

– Strasznie się wczoraj zmordował – rzuciła z akcentem współczucia. – Mimo wszystko podziwiam go za hart ducha. Bywa chwilami nieugięty. To należy docenić, niezależnie od tego, czy się nam podoba, czy nie.

Małgosia wyobraziła sobie te chwile, w których Zdobniak jest nieugięty.

– Dwadzieścia osiem i pół na piętnaście – powiedziała prowokacyjnie. I nieco złośliwie.

– Och! – Rita machnęła szalem – bywają większe, znacznie większe, na przykład niejaki Milac ze Stanów. Czytałaś? Wackiem tego faceta można grać w hokeja. Nie czytałaś? Nieważne. Chcę powiedzieć, że nawet te największe, od trzydziestu w górę mogą należeć do facetów gotowanych na miękko, a Zdobniak ma charakter i to jest w nim pociągające. Rozmiary o niczym nie świadczą, choć nie przeczę, że otwierają drzwi wielu salonów.

Obie spojrzały na Zdobniaka na łóżku, na jego otwarte w bezgłośnym okrzyku usta i wywalony opuchły język.

– Wygląda, jakby nie żył – wzdrygnęła się Małgosia.

– Fakt – Rita podeszła do łóżka. – Może go przykryjemy? – Nie czekając naciągnęła na śpiącego róg zielonej narzuty. Frędzle przykryły zastygłą w wyrazie przestrochu twarz.

– Jesteś hamburgerem zawiniętym w liść sałaty – Rita roześmiała się cicho. – Mówiąc o jego charakterze, – zwróciła się do Małgosi – miałam na myśli również chwile, w których obie możemy mieć nad nim przewagę. On, wbrew pozorom, często dostarcza sposobności do tego. Nigdy nie ucieka się do intrygi. Gotów na usługi. Szczery, otwarty, zawsze ci podziękuje za dobry seks. I nigdy nie zaśnie w sekundę po tym, jak cię skończył ujeżdżać. To bardzo ludzki rys, mężczyźni jego pokroju, z kręgu jego, nazwijmy je, zainteresowań, to bestie, w których obecności zawsze czujesz się jak idiotka i niewolnica. Zdobniak jest inny, przy nim jestem wolna i niezależna, nie tracę szacunku do siebie samej. A to bardzo wiele. Przywiązałam się do niego.

Zdobniak poruszył językiem usiłując wypluć z ust frędzle. Zaczął jęczeć i kręcić głową. Szarpnął całym ciałem i wylądował na podłodze. Przebudził się.

– Co ci się śniło? – zapytała Rita z troską.

– Że wpadłem między wałki w myjni samochodowej. Koszmar! – przesunął dłonią po twarzy.
– My jedziemy do „75” – poinformowała Rita, – a po południu mamy spotkanie z Aquariumem. Przedtem fryzjer i kosmetyczka. Trochę poplotkujemy. Jesteś nam niepotrzebny, więc śpij dalej i niech ci się przyśni choinka bożonarodzeniowa.

– Dlaczego choinka?

– Nie wiem. Tak mi się powiedziało. Bo jest ładna i przypomina nam szczęsne czasy, kiedy byliśmy dziećmi.

– Nie miałem najlepszego dzieciństwa – odparł Zdobniak.

– Nikt nie miał – Rita uśmiechnęła się. Spojrzała na Małgosię.

– Ani razu nie znalazłem pod choinką prezentu od moich starych. Sam sobie musiałem robić prezenty – rzekł Zdobniak z wyrzutem. – Przeszedłem twardą szkołę – dodał.

– No to niech ci się przyśni cokolwiek, słodki chłopcze – uśmiechnęła się Rita. – Zapracowałeś sobie na łagodne, kolorowe sny. – Skinęła na Małgosię. Wyszły.

Rita prowadziła fatalnie, szybko, ale nierówno, zaśmiewając się przy tym nie wiadomo z czego. Szafirowy szal powiewał za samochodem o mało nie urwawszy jej głowy, lecz Ricie to nie przeszkadzało. Przeciwnie.

– Co znaczy „75” – zapytała Małgosia.

– Nic. Dokładnie nic. Do „75” i podobnych miejsc chodzą artyści, aktorzy, biznesmeni, ludzie, którzy mówią o niczym i których życie nic nie znaczy. Dla nikogo. A już najmniej dla nich samych.

Małgosia kiwnęła głową rozumiejąc i aprobując słowa Rity. Rita nie była głupią gęsią. Poczula do niej sympatię.

– Taki rodzaj wypełniania egzystencjalnej pustki. Jak tabletki na ból zęba – dodała Rita. – Choć w przypadku tych ludzi to nie skutkuje. Najlepszym dla nich rozwiązaniem byłoby spektakularne samobójstwo. Przynajmniej gazety poświęciłyby im trochę miejsca. Koniec kłopotów i sława. Czyż nie o tym wszyscy marzymy?

Rozmowa z Ritą mogła być interesująca. Ta dziewczyna pełna była sprzeczności, umiała posługiwać się puentami, a to rzadka umiejętność.

„75” mieściło się za miastem, w niskim, obszernym, otoczonym drzewami bungalowu. Po obu stronach alei dojazdowej stały na postumentach postacie greckich herosów i atletów zaopatrzone w prawdziwe oszczepy, tyczki, hantle, sztangi i temu podobne. Betonowy kolos z rękawicami bokserскими przewieszonymi przez szyję trzymał w obu dłoniach niebieską skakankę – ćwiczył pracę nóg.

– Pomysły Aquariususa – wyjaśniła Rita obojętnie. – To wszystko należy do niego. Jest facetem, który odkrył surrealizm nie mając o tym pojęcia. Media uwielbiają go, bo nie wstydzi się przyznać publicznie, że jest kretynem. Dzisiaj tacy ludzie kręcą korbą. Pamiętaj o tym, moja droga, i jeśli tylko możesz, kręć razem z nimi.

– Jaką korbą?

– Korbą od świata. A jaką?

W środku Rita zaprowadziła Małgosię do czegoś w rodzaju recepcji. Uśmiechnięta dziewczyna zapisała nazwisko Małgosi w rejestrze stałych członków, nawet nie pytając czy Małgosia ma do tego prawo. Widocznie obecność Rity wszystko załatwiała. Z recepcji przeszły do garderoby, która okazała się przyjemnie urządzonej postmodernistycznym buduaem z łazienką i telewizorem.

– Tu masz wszystko, co będzie ci potrzebne. Ciuchy do ćwiczeń, kosmetyki, ręczniki i tak dalej. Od dziś należy to wyłącznie do ciebie. Wiem, że nie lubisz ekstrawagancji, więc kazałam dobrać skromne ciuszki. – Rita otworzyła szafę wypchaną ubraniami. – Moja garderoba jest obok. Jeśli będziesz czegoś chciała, zadzwoń na recepcję. Tu masz telefon.

Rita usiadła na popielatej kozetce i założyła nogę na nogę.

– Siłownia jest na końcu korytarza. Poza tym basen, korty, kręgielnia, parkiet do gier zespołowych i różne takie. Aquarius może i jest świrnięty i ma mózg kurczaka, ale potrafi bezbłędnie inwestować szmal.

Małgosia oparła się o toaletkę. Założyła ręce na piersiach.

– Dlaczego mam to wszystko robić? – zastanowiła się na głos. – Nie wiem, czy chcę być modelką.

– Masz świetne warunki.

– To sprawa patrzenia na życie, a nie warunków.

– Aquarius lubi dziewczyny wysportowane, emanujące siłą i pewnością siebie. A ty, jak widzę, jesteś kompletnie zahukana. Chyba, że naprawdę nie chcesz pracować dla Aquariusa? Byłabyś ostatnią idiotką.

– Nie wiem, czy chcę, czy nie chcę. Nie znam go. Dotychczas znałam tylko Jasia... – Małgosia zagryzła wargę.

– Ten facet może ci załatwić macankę w kinie. Nie ustawi cię w tym mieście. Mówię o karierze.

– Ty go dobrze znasz?

– Trochę. To koleś Zdobniaka.

– Czy on próbował... z tobą?

– Daj spokój – Rita skrzywiła się. – Ty mylisz różne światy, pojęcia. Jeśli chcesz pracować dla Aquariususa, musisz wszystko w swoim życiu zmienić. Zacziesz się otaczać innymi facetami... – Rita urwała. Spojrzała łakomie na Małgosię. – i zostaniesz moją przyjaciółką.

Małgosi nagle zrobiło się głupio z jakiegoś niejasnego powodu.

– Nie znam cię – powiedziała ostrożnie.

– To poznasz.

– Niełatwo jest wzbudzić w kimś uczucie przyjaźni...

– Słyszałam – przerwała jej Rita, – że go rzuciłaś.

– Zgadza się.

– On cię wynalazł?

– Co masz na myśli?

– Podobno wytrzasnął cię w jakiejś dziurze.

Małgosia była w wystarczająco dużej rozterce, żeby się pokłócić z Ritą i z każdym, kto będzie próbował przyłożyć swoją głupią miarkę do jej życia.

– Uważam, że masz z gruntu niewłaściwy stosunek do mnie i do Jasia.

Rita przełożyła nogi.

– My tu mówimy innym językiem, stara. Innym, niż się mówiło w tym twoim sklepie spożywczym.

– Łajdak! – syknęła Małgosia pod adresem Jasia.

– Słuchaj, czy ty leciałaś na forszę Skoczaków?

– Skądże!

– No to o co chodzi?

– Zakochałam się. Po prostu.

Rita machnęła szalem rozwalając się na kozetce.

– Jesteś zbyt dziecinna – stwierdziła. – Tak. Zbyt dziewczęca. Nie umiem tego ująć... – Przyglądała się Małgosi. – Jest w tobie za dużo ufności i prostoty, okazujesz swoje uczucia. Och! Ty potrafisz się rumienić! – Rita wpadła w zachwyty. – Nie mówię, że powinnaś wyglądać jak gipsowy odlew, to dobre dla tych chudych lasek łączących na pokazach, jakby miały w tyłkach gumowe rękawice ginekologa, ale znowu nie bądź taką ciapą! Okaż trochę przebiegłości! Niekoniecznie trzeba mówić to, co się myśli. Rozumiesz?

Małgosia zastanowiła się.

– Przebierz się w kostium gimnastyczny. Ja zrobię to samo. Przyjdę po ciebie – Rita wstała, podeszła do Małgosi. – Nie rób takiej wystraszonej miny, kochanie – pocałowała ją w policzek. – Z opiekuję się tobą.

Powiedziała to głosem pełnym serdecznej czułości, jej twarz również nie wyrażała niczego złego, a mimo to Małgosia, z niejasnych dla siebie powodów, poczuła się nieprzyjemnie.

Została sama. Z szafy wyciągała trykoty, majtki, staniki i rzucała na marmurową płytę szafirowej toaletki z uczuciem zawodu, rezygnacji i nikłej nadziei na korzystny obrót rzeczy. I to w tej właśnie kolejności. Przekraczała Rubikon, ten pierwszy raz z pomocą Jasia, ten drugi dzięki staraniom żigolaka Roberta Zdobniaka. Na horyzoncie czaił się niejaki Aquarius, kreator, człowiek, którego Małgosia nigdy w życiu nie spodziewała się spotkać. Każda część garderoby wyciągana

z szafy miała naszywkę z jego imieniem – złotą aplikację w stylu wiedeńskiej moderny. Prosto-
duszna Małgosia znalazła się w świecie krętych linii, mocnych zapachów, przesadnych ozdobi-
ków, wyrafinowania i nieznośnej zawziętości uczuć.

Założyła biały trykot i zapatrzyła się w swoje odbicie. Spoglądały na siebie dwie Małgosie i ta
z garderoby klubu „75” pragnęła, by ta w lustrze została tam, kiedy ona pójdzie ćwiczyć. Nie może
jej zabraknąć rozsądku. Uniosła szminek i napisała na lustrze: „Zostałam w „Madrygale”, Jasiu.
Tam mnie znajdziesz. Okaż wystarczająco dużo ochoty, pomysłowości i wytrwałości”.

Nie miała pojęcia, że Jaś okaże się takim łajdakiem. Zachowywał się obrzydliwie, podlizywał
żigolakowi, obaj ignorowali Małgosię i tę biedną dziewczynę, Zosię. Wszystko mogłaby mu wyba-
czyć, tym łatwiej, że za dużo wypili. Być może koledzy z ławy szkolnej lub wojska mają prawo do
wspomnień, czytała o tym w paru książkach. Być może wspomnienia kolegów z ławy szkolnej
zawsze są takie prymitywnie naturalistyczne, pozbawione refleksji. Była gotowa uszanować prawo
mężczyzn do ich wspomnień, zresztą tylko dlatego zgodziła się towarzyszyć Jasiowi w spotkaniu
z Zdobniakiem.

Dopisała: „Zdobniak, ty tępy intrygancie”, a pod spodem: „Biedna Małgosia”. Chwilę później
myślała już o Aquariusie usiłując wyobrazić sobie, jak wygląda. Lubiła mężczyzn postawnych, wy-
sokich i barczystych, o łagodnym spojrzeniu, delikatnych, kiedy należało być delikatnym
i zdecydowanych w tych innych sytuacjach. Nie, nie czuje się wcale zasmuconą wdową, czy ste-
raną rozwódką. Majtkami starła napisy. Uśmiechnęła się do swojego odbicia. Dość słabo to wy-
padło. Jaś powiedział jej kiedyś, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy naga, mniej więcej tak:

– Jesteś nieskazitelnie piękną dziewczyną o cudownie pełnych kształtach. Mogłabyś być modelką Rafaela i pozować mu do portretu nagiej Madonny, ze mną zamiast dzieciątka.

Teraz Małgosia mogła mu powiedzieć, jaki z niego zakłamany świętoszek Tartuff i uczeń Zygmunta Freuda.

Rita w różowym trykocie zastała Małgosię na kozetce, pogrążoną w rozmyślaniach. Usiadła obok. Milczały chwilę.

– Im się zdaje, że problem się kończy, kiedy zapną spodnie.

– Komu?

– Wiecznym bohaterom – Rita objęła Małgosię ramieniem. Miała duże, ciepłe ciało, brzydkie, bez talii, o bladej cerze, którą tak trudno opalić i nie wyglądać przy tym, jakby się w ogóle nie miało skóry. – Wiecznym szczęściarzom w rodzaju Aquariususa. Wiecznym dupkom w rodzaju Skoczka. Wiecznym zdobywcom w rodzaju Zdobniaka. A teraz chodź, zapomina się o wszystkim, kiedy rozciągasz sprężyny i zalewa cię pot. Przynajmniej masz poczucie siły i wiesz, że możesz im porządnie przyłożyć.

Małgosia milczała. Filozofia Rity nie była jej tak zupełnie obca.

– Jesteś piękna – powiedziała Rita. Widać było, jak wiele musiało ją kosztować to wyznanie. Małgosia stanowczo nabierała coraz więcej sympatii do tej brzydkiej, dużej kobiety o atletycznej posturze i po trosze zrobiło się jej wstyd, że jest zdecydowanie ładniejsza.

– W życiu tak jest, że brzydkie dziewczyny szukają ładnych koleżanek, a kiedy je znajdują, są gotowe do poświęceń w zamian za odrobinę miłości.

Małgosia pokiwała głową.

– Jesteś piękna – powtórzyła Rita głosem łamiącym się z zachwytu. Małgosia znowu się zarumieniła. Rita położyła dłoń na jej piersi i lekko ugniotła.

– Masz zdumiewająco twarde piersi dziewczicy.

Małgosia spojrzała na wielką dłoń Rity na swojej piersi.

– i fantastyczna pupę! – dodała Rita szczerząc końskie zęby.

– O, nie! – Małgosia jęknęła zmieszana, oburzona i zawiedziona. – O, nie! i wszystko po to, żeby mi to powiedzieć?

– Co? – Dłoń Rity na piersi Małgosi znieruchomiała. Twardy sutek nadal sterczał wypychając materiał trykotu, niemal jak dowód nieszczerości protestu Małgosi.

– Jesteś zboczona!

– Jestem. Trochę. Jak każdy.

– A ja nie. i nic z tego nie będzie – Małgosia zdjęła dłoń Rity. Wstała.

– Nazywano mnie Jęczyzkiem – powiedziała Rita słabym głosem.

– Kto? A zresztą, czy to ważne? – Małgosia wzruszyła ramieniem.

– Musiałam wysłuchiwać babskich sekretów. Ty też miałaś sekrety i zwierzałaś się z nich jakiejś brzyduli z podwórka – poskarżyła się Rita.

Rzeczywiście, Małgosia miała taką koleżankę, Franię, mówiła jej o zakłóceniach periodu i wątpliwościach co do sensu posiadania błony. Małgosia jakoś automatycznie pomyślała o tak oczywistym problemie, jak podły los kobiet. Kobiety nigdy nie mogą się naprawdę, szczerze, do głębi znienawidzić. Zawsze tkwi w nich utajone, wzajemne współczucie właściwe tej samej płci.

– Czy to ważne? – powtórzyła rozdrażniona.

– Jeśli się było Języczkiem, to tak – stwierdziła Rita. Na Małgosię spojrziała para błyszczących oczu w kolorze rozwodnionego wywaru z pokrzyw. Małgosia twardo milczała. Nawet jeśli współczuła Ricie, nie będzie ciągnąć tej rozmowy. To jedna z tych rozmów, które do niczego nie prowadzą i są pozbawione głębszego sensu. Po takich rozmowach nie można się spodziewać niczego dobrego.

– Nie jesteś ciekawa, co oznaczało być Języczkiem?

– Domyślam się.

– No, więc ja nim byłam – westchnęła Rita.

– Boże, jaka głupia rozmowa! – krzyknęła Małgosia. Rita wstała z kozetki i w dwóch wielkich susach znalazła się przy Małgosi.

– Nie odtrącaj mnie! – wychrypiała kładąc obie łapczywe dłonie na piersiach Małgosi. Drzwi garderoby otworzyły się z impetem. Stał w nich żywy, drgający, wymazany oliwą supeł na pałakowatych, ogromnych nogach, odziany w imitację kostiumu gladiatora, z ręcznikiem przewieszonym przez byczy kark. Na plecy spływały barokowe kaskady jasnych, wytlenionych włosów. Jego małe oczka, osadzone tak blisko nosa, że niemal zachodziły na siebie, tworząc z daleka wrażenie, że są jednym okiem, penetrowały pomieszczenie wysyłając skupioną wiązkę spojrzeń. Motylki, rozrosłe mięśnie boczne, nie pozwalały na swobodne opuszczenie ramion, więc sterczały mu na boki, wbite w ciało pod nienaturalnym kątem. Małgosi od razu przypomniały się dzieła Picassa z okresu kubistycznego, a szczególnie „Panny z Awignon”.

– Nie umiesz pukać, cyborgu?! – krzyknęła Rita.

– Jestem Zygfryd – olbrzym zwrócił się do Małgosi. – Mów do mnie Zyga. Mam rzeźbić twoje ciało, ale widzę, że ktoś już się za to zabrał...

– Nie twój zasrany interes – odparła Rita. Oderwała się od Małgosi.

– Uważaj na tę wielką babę. To podstępna pajęczycza – Zyga ostrzegł Małgosię. Posłał Ricie pogardliwy uśmiech.

– A jakby tobie przylepić krowie rogi do tego durnego łba, to wyglądałbyś jak wredny germański bóg. Jak u Wagnera. Brakuje mu tylko dzidy. Nie uważasz? – Rita zwróciła się do Małgosi. Małgosia wzruszyła ramieniem. Picasso czy Wagner, jakie to ma znaczenie?

Siłownia była ogromnym, żółtym plastrem miodu podzielonym na równe sześciokąty, mające zresztą ścisły związek z mistycyzmem Aquariususa. W każdym sześciokącie stały przedziwne urządzenia lśniące niklem i chromem, a niemal w każdą z tych konstrukcji wplecione było spoczone, dyszące, charczące ludzkie ciało. Wszędzie unosił się zapach świeżego potu i antyperspirantów. Małgosi zdawało się, że dostrzegła w jednej z tych machin Mariana Kutka, ale mogła się mylić.

– To jest przyrząd ogólnorozwojowy – wyjaśniła Rita pokazując połączenie roweru z kajakiem i wyciągiem budowlanym. – Najpierw przejdiesz cykl siedmiu seansów na tym, a później skoncentrujemy się na poszczególnych partiach mięśni. Zyga będzie twoim osobistym instruktorem. Zwracaj się do niego krótkimi zdaniami, bo inaczej nie zrozumie cię.

Zyga nic sobie nie robił z gadania Rity. Uśmiechnął się do Małgosi odsłaniając wilcze zęby. Wiedział, że zrobił na Małgosi wrażenie. Był czuły na punkcie swojego wyglądu. Poświęcał mu

wiele czasu, każdą wolną chwilę. W zasadzie całe życie Zygi składało się z takich wolnych chwil. Nie miał na przykład nic przeciwko zagraniu w filmie.

- Czy to producent? – zapytał Rity.
- Kto? – Rita nie rozumiała.
- Facet, o którym nawijasz. Ten Wagner, czy jakoś tak.
- Wagner?
- No?
- Nie, Zyga. Wagner już nie żyje.

Zyga nacisnął jakieś dźwignie, przyrząd ogólnorozwojowy zachrzącał i rozsunał stalowe ramiona. Olbrzym delikatnie usadził Małgosię na skórzanej ławeczce wewnątrz przyrządu i położył jej dłonie na uchwytych.

- Ciągnij w dół.

Małgosia zrobiła to z wielkim trudem. Tym bardziej, że poza pokonaniem oporu materii musiała przełamać własne zniechęcenie całą tą sytuacją.

– Co ty powiesz, Kluska? Może miałbym do kolesia interes, a tu nagle nie żyje? Mówiłem? – zwrócił się do Małgosi. – Ma przez Aquariususa kontakty w branży filmowej, ale nic ci nie załatwi. Nic. – Zmniejszył ciężar na wyciągu. – No, mała? Spróbuj teraz.

Małgosia pociągnęła. Wymieniła spojrzenia z Ritą. Rita pokiwała głową, jakby chciała powiedzieć: „a nie mówiłam?”.

– A kiedy to niby kipnął? – Zyga wyprostował się na całą swoją wysokość. Wypuścił z oczu wiązkę, przy pomocy której przeświecił mózg Rity i poznał prawdę. Wykrzywił usta w pogardliwym uśmiechu.

– Wczoraj – odparła Rita.

– Wczoraj – powtórzył Zyga. W jego głosie zabrzmiał sarkazm.

– Przyleciał z Niemiec.

– Tak? Co ty powiesz. A po co?

– Żeby się zobaczyć z matką.

Zyga zastanowił się.

– Z matką – powtórzył.

– Wzruszył się i zmarł – wyjaśniła Rita.

– To pech.

– Szukał facetów do roli Władcy Skalnej Groty.

– Koleś z branży s-f?

Rita skinęła głową. Zyga łatwo godził się z losem. Poza tym nie był aż tak naiwny, żeby wierzyć, że Wagner umarł, bo się wzruszył na widok matki.

– Bierz się do roboty, Zyga – zakomenderowała Rita. – Ona ma za miękką pupę. Zrób z tym coś.

– Jej pupa jest pełna cukierków, to widać – odparł Zyga.

– Czego? – spytała Rita.

– Słodkości – wyjaśnił Zyga. – Już ty dobrze wiesz, czego – dodał.

Rita zmierzyła go zimnym wzrokiem.

– Nieważne, czy jest pełna... słodkości, czy nie. Musi poruszać się sprężystiej, żwawiej, bardziej po męsku. Nie jesteś infantką hiszpańską, moja droga. Musisz wyglądać na nowoczesną dziewczynę, dzielną towarzyszkę mężczyzny, taką, która się zna na samochodach, umie się bić, a nie na sentymentalną piczkę, którą wszystko przeraża.

– Nie musisz jej obrażać – stwierdził Zyga obojętnie, – a coś mi się widzi, że ją obrażasz.

– Jesteśmy przyjaciółkami, macho. Ja jej nigdy nie wyeksplatuje, tak jak ty, gdybyś mógł.

– Nie mam zamiaru tego robić, Rita – Zyga był zdziwiony.

– Ale gdybyś miał zamiar, to byś zrobił. Znam cię, potrójny faciecie.

Zyga uśmiechnął się chytrze. i z tryumfem.

– Myślisz Kluska, że uwierzyłem w te bzdety? – zapytał.

– Jakie bzdety?

– Że Wagner przyjechał szukać u nas chłopaków, jak może mieć ruskich pakerów za ćwierć ceny? Widzisz? – zwrócił się do Małgosi. – Nigdy nie powie prawdy. Mówiłem, że to pajęczycza, tka swoją sieć i ani się obejrzysz, jak w nią wpadniesz i wtedy cię wyssa...

– Wyssie – poprawiła Małgosię machinalnie.

– A gdzie to twój piękniś? Tęsknię za nim! – obok przyrządu, jak spod ziemi, wyrósł Marian Kutek w czarno-czerwonym obcisłym trykociku z głębokim dekoltem, cały obsypany różowym, pachnącym talkiem.

– O kim mowa? – zapytał Zyga.

– Nie znasz. To jej facet – Kutek pokazał na Małgosię.

– No właśnie! – Zyga zdenerwował się. – Jakbyś mnie, marcepaniku, poznał ze wszystkimi ciotkami, które ubierasz i rozbierasz, to od dawna grałbym w filmie!

– „Człowieka-cysterne” już nakręcili, Zyga. Nie wiem, co innego mógłbyś zagrać?

Kutek spojrzał na Małgosię.

– Ciagle jesteś smutna. Co on ci takiego zrobił?

– Nic, o czym warto gadać w takim gronie – odparła za Małgosię Rita. – Spadaj, Kutek.

– Bestia jest zazdrosna? – Kutek roześmiał się. – Uważaj na nią, piękna – ostrzegł Małgosię. Odszedł, delikatnie stawiając stopy w zwiewnej zapowiedzi uwodzicielskiego, tanecznego pas.

– To pewne, że twój facet z nim nie kręci? – zapytał Zyga Małgosię. Małgosia zwiesiła głowę w pełnym bezradności geście. Wreszcie rzekła:

– Niczego już nie jestem pewna.

Zyga spojrzał tęsknym wzrokiem za odpływającym Kutkiem, którego biodra intensywnie falowały.

– Człowiek nieba by mu przychylił... – wyciągnął palec w stronę Małgosi. Z jego centrycznego oka ponownie wystrzelił promień lasera. – Powiedz temu swojemu, żeby się odpieprzył od Kuta, bo mu rozszarpie dupę!

– Powiem – odparła Małgosia. Wygramoliła się z przyrzędu i ruszyła do wyjścia.

– A spotkanie z Aquariusem? – Rita złapała ją za ramię.

– Jeśli jest podobny do was, to mam to gdzieś – odparła Małgosia.

– Zyga to dureń. Po co się zaraz obrażać?

– Wypchaj się.

– Oni nas naprawdę eksploatują.

– Kto?

– Faceci.

Małgosia otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Rozmyśliła się.

Kiedy wróciła do domu, Zdobniak od dwóch godzin leżał w jacuzzi z maseczką na twarzy.

– Małgosia?

Weszła do łazienki. Ujrzała mnóstwo bąbelków i dwa plastry banana na zielonej twarzy.

– Czuję się fatalnie – rzekł Zdobniak spod spodu. – Mam jakąś niestrawność. Dobry Boże. A co u ciebie?

– Rita to wariatka.

Bananowe krążki poruszyły się.

– Zapomniałem cię uprzedzić, że ona jest zбочzona. Przepraszam. Miałem taką ciężką noc, jestem zmęczony, rozbity...

– Nie wiem, co mam robić.

– Zrób sobie coś do picia.

– Dzwonił?

– Jest w Jastarni.

– I co tam robi?

– Jak go znam, to jest prywatnym detektywem.

– Prywatnym detektywem?

– Tak. To taka zabawa. Chodzi po pensjonatach z twoim zdjęciem i mówi: „Szukam tej dziewczyny.” „A kim pan jest?” – pyta go właściciel. „Prywatnym detektywem” – odpowiada Jaś. „Związała facetowi sprzed ołtarza?” – pyta właściciel oglądając twoje zdjęcie. „Zgadza się” – potwierdza Jaś. „Pewnie zgarnęła rodzinną biżuterię?” „Prawie.” „Nie jest pan gadatliwy” – zauważa właściciel. „Już mi to mówiono.” „I co?” – interesuje się właściciel. „I nic. Prywatne oko dużo nie gada.” „Ma pan rację. Lepiej trzymać język za zębami.” „Więc powiadasz pan, że nie było tu takiej?” – pyta Jaś jeszcze raz. „W ślubnej sukni? Od razu bym zauważył.” „Mogła zmienić kieckę.” „Faktycznie. Spryciarz z pana” – przyznaje właściciel. Jaś na to: „Mieszkam w pensjonacie „Kotwica”. Jakbyś pan coś widział, to wiesz pan, gdzie mnie szukać.” „A jak pana nazwisko?” Nie mam nazwiska. Jestem facet, co dużo nie gada, więcej słucha, a najwięcej widzi. Powiedzmy, że Nowak. Gdyby pytali o mnie dwaj grubi faceci w bejsbolówkach, to powiedz pan, że mnie tu nigdy nie było. Ci dwaj to ludzie mafii. Lepiej dla pana, żebyś pan siedział cicho.” „Jasne, panie Nowak. Lepszy z pana gość, panie bez nazwiska...” – tym Jaś będzie się zajmował w Jastarni – dokończył Zdobniak.

Małgosia zastanowiła się nad jego słowami. Właściwie to chciała zaprotestować, ale w głębi ducha przyznała, że scenka namalowana przez Zdobniaka bardzo do Jasia pasuje. Może nawet bardziej, niż cokolwiek innego. Zrobiło się jej nieswojo i trochę wstyd za narzeczonego.

- Ile czasu mu to zajmie? – spytała.
- Nie mam pojęcia – odparł Zdobniak.
- Co robi, kiedy stwierdzi, że nie ma mnie w Jastarni?
- Skontaktuje się ze mną. Jemu zawsze brakowało pomysłów.

– Powiedz mu, że jestem u ciebie.

Zdobniak pokręcił głową.

– Dlaczego nie?

– Nie chcę, żeby do ciebie wrócił. To jasne.

Małgosia nie wiedziała, co powiedzieć. Wyznanie Zdobniaka było dość niespodziewane. Choć nie do końca. Zdobniak poprawił się w wannie.

– Fascynujesz mnie. Jest w tobie jakaś mroczna, pierwotna siła kobiecości. Zarazem abstrakt i esencja płci. A może to twoja duma i niezależność? – Zdobniak zdjął banany z oczu. Miał przekrwione białka.

– Bzdura. Właśnie leczysz się po wczorajszej hulance. Kochasz kobiety, wszystkie, byle były ładne.

Zdobniak zrobił tajemniczą minę. Widać było, że zamierza sprawić Małgosi nielichą niespodziankę.

– Nienawidzę kobiet – wyznał.

– W to nie uwierzę – Małgosia pokręciła głową.

– Zadaję im ból, jeśli tylko mam okazję... – Zdobniak umilkł. Zapatrzył się na żółtą mydelniczkę leżącą na skraju wanny. Spoglądał na nią, jakby to nie był zwykły przedmiot, ale źródło jakiejś niezwykłej udręki.

– Lola. Tak. Lola była moją przyrodnią siostrą – podjął. – Wstrętą, cyniczną, rozpuszczoną dziewczynką o bladej, złośliwej twarzyczce usianej piegami. Znęcała się nade mną długie lata. Może teraz jest najlepsza pora, żeby ci to powiedzieć... – Zdobniak zakrył twarz dłońmi. – Nie

chcę, żebyś widziała moją wzruszoną twarz – wyjaśnił. – Każde z nas miało trudne przejścia, życie nikogo nie oszczędza. I ja miałem w życiu chwile, o których chciałbym zapomnieć, wymazać z pamięci, wyrzucić... Czasem budzę się w nocy zlany potem i zbiera mi się na wymioty z obrzydzenia...

– Spotkała cię jakaś rodzinna tragedia?

– Tak.

– Nie wierzę.

Małgosia wyszła z łazienki. Skłamałaby, gdyby powiedziała, że opowieść Zdobniaka o złej siostrze nie była interesująca. Co się mogło wydarzyć tak odrażającego, że na samą myśl o siostrze Zdobniak ma ochotę zwymiotować? Naturalnie należy wziąć poprawkę na to, że wszyscy mężczyźni to mitomani. Bez wyjątku. A Robert Zdobniak jest ich cesarzem.

Na niskim stoliku pod oknem leżała otwarta książka. Małgosia uniosła ją zainteresowana. „Pan Samochodzik i templariusze” Nienackiego. Poczowała rozczarowanie. Właściwie bez powodu. Nie mogła się przecież spodziewać, że Zdobniak czyta na przykład Franza Kafkę, ale po usłyszeniu historii o Loli jakoś machinalnie założyła, że lokator tego domu sięgał czasem po książki autora, który tak dogłębnie poznał cierpienie. Odłożyła Nienackiego. Co do jednego była jednak pewna, Zdobniak wydobyl tę książkę na światło dzienne specjalnie, żeby sprawić na Małgosi wrażenie mężczyzny o wnętrzu głębszym, niż się to powszechnie sądzi. Pojawił się niemal natychmiast. W czarnym szlafroku trzy czwarte z pluszowymi kłapami w kolorze srebra, przewiązany purpurową szarfą hiszpańskiego hidalga. Gołe uda i bujna czupryna błyszcząły od żelu.

– Czytasz takie rzeczy? – zapytała Małgosia.

– Owszem – odparł Zdobniak od niechcenia. – Literatura przynosi mi ukojenie. Drinka?

Nie czekając na odpowiedź Zdobniak nacisnął nogą guzik i z wodnego łóżka wyskoczyła tacka. Nacisnął jakiś inny guzik na ścianie i na okna opadły zewnętrzne żaluzje. W pokoju zrobiło się mroczno. Zapalił gazowy kominek, następnie nalał do dwóch szklaneczek, zamieszał palcem i pociągnął Małgosię na jeden ze stojących obok kominka foteli. Podał jej drinka, po czym usiadł w fotelu naprzeciwko, nieco skosem, z nogą założoną na nogę, demonstrując mocne, pachnące udo w kolorze mahoni, porośłe dobrze utrzymanym włosiem.

– Przyjemnie? – zapytał. – Romantycznie?

– O co ci chodzi?

– O nic. Chcę porozmawiać.

– O czym?

– O cierpieniu.

– Ktoś, kto czyta Nienackiego chyba nie ma pojęcia, czym jest cierpienie.

– Nie bądź uszczypliwa. Nie żądam, żebyś patrzyła we mnie jak w słońce, ale po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem odrobina lojalności chyba mi się należy?

– A co ty takiego dla mnie zrobiłeś?

Zdobniak przybrał urażoną minę. Rozgoryczony powiedział:

– Przecież nie jesteś małostkowa. To nie leży w twojej naturze. Kobiety są wścibskie, nudne, małostkowe i głupawe. To nie jest moja zła wola, one naprawdę są do niczego i do niczego innego poza seksem się nie nadają. Wierz mi, znałem wiele złych i podstępnych kobiet. Tak – zamilkł

zwieszając głowę. Zerknął z dołu sprawdzając, jakie wrażenie na Małgosi zrobiły jego słowa. Okazało się, że żadnego.

– To ciągle filozofia żigolaka – odparła Małgosia niewzruszona.

– Jesteś bez serca.

– Za to postanowiłam, że już nigdy nie zabraknie mi rozsądku.

– Jak chcesz – Zdobniak rozpogodził się nagle. Nie umiał się długo gniewać. – Wybierzemy się dzisiaj na kolację do „Kocięgo ogona”?

– Miałeś mi opowiedzieć o swojej siostrze.

– To bolesne sprawy – Zdobniak spoważniał. Zapatrzył się w szklaneczkę z drinkiem. Upił trochę, ale milczał. Pozwalał wybrzmieć ostatnim dźwiękom uwertury poprzedzającej właściwą tragedię.

– Chciałabym odnaleźć w tobie coś bardziej ludzkiego, słabego, coś, co mogłabym polubić. Ja zawsze żyłam cierpieniem, miałam pragnienia, które nigdy się nie spełniały...

– Jak ja to znam – westchnął Zdobniak. Poprawił róg szlafroka odsłaniając większą partię uda.

– Ty?

– Tak. Robert Zdobniak zna cierpienie jak mało kto.

– Widzisz, ja wierzę, że człowiek doświadczony cierpieniem staje się lepszy...

– O, z pewnością. Tak. Cierpienie... Długo mógłbym o nim mówić.

Zdobniak wydobył papierosa ze srebrnej szkatułki stojącej nad kominkiem i zapalił. Podkreślił kurek gazu, polana z dętej blachy zapłonęły wesoło. Małgosia położyła głowę na oparciu fotela i zapatrzyła się w płomienie.

– Tak – Zdobniak potrząsnął głową. Średnio długie, ciemne włosy połyskiwały w migotliwym świetle. Twarz Zdobniaka wydała się Małgosi blada i delikatna. Wysokie czoło, wąski nos i interesująco wykrojone usta. Szerokie, ciemne oczy miały w sobie niezaprzeczalny urok subtelności spojrzenia. Dostrzegła w kącikach oczu i ust niewielkie zmarszczki. Zdobniak nie był już młodzieniaszkiem.

– Moja przyrodnia siostra wyrządziła mi krzywdę. Okaleczyła mnie psychicznie na całe życie. Jak w bajce, okrutny los skazał mnie na cierpienie dopóty, dopóki nie natrafię na kobietę, której nie będę się bał – Zdobniak pociągnął ze szklaneczki. Chwilę pił w milczeniu, spoglądając na płomień. – Wiele mnie kosztuje to wyznanie – znowu zajrzał do szklaneczki. – Żadnej kobiecie tego nie mówiłem, bo też żadna nie oczekiwała ode mnie podobnych wyznań, błogosławiły moje boskie lędźwie, a nie duszę. Są próżne. Całe życie zajmuje je bez reszty własny wygląd. To jedyna treść ich egzystencji, innej nie ma. Jak każdy prawdziwy mężczyzna w głębi duszy pogardzam kobietami.

– Boisz się kobiet? Nie chce mi się wierzyć.

– Sądzę, że właśnie ty potrafisz wnikać dostatecznie głęboko w problem, żeby zrozumieć mężczyzn. One zrzeszają się, żeby zapanować nad nami. Wiedzą doskonale, że mają nas w garści wodząc na pasku naszej seksualności. Przeklęty atawizm nie pozwala nam uwolnić się od was. Gdyby udało się nam zabić w sobie instynkt płci, byłibyśmy nareszcie wolni. Może słowo lęk nie jest najwłaściwsze, raczej zniewolenie. Jesteśmy niewolnikami własnej płci, naszej seksualności, waszych ciał. Czuję się zniewolony, a jednocześnie jak wzburzone morze uderzam w nadbrzeżne

skały krusząc je na piach. Pozorny tryumf morza i równie pozorna uległość skały. Oto, czym jest życie mężczyzn i kobiet.

– Czy mną też pogardzasz?

– Nie.

– Dlaczego? Nie lękasz się mnie?

– Nie, ponieważ nie czyniłaś ze swojego ciała narzędzia ekspansji, nie zmusiłaś morza do wiecznej, daremnej walki ze skałami. Wydaje mi się, że możesz być przyjacielem mężczyzny.

Zdobniak miał bardzo poważną minę. Wszystko, co mówił, mówił serio.

– A ta Lola?

– Pojawiła się w naszym domu, kiedy miałem pięć lat. Chuda i wysoka, bez odrobiny seksu, płaska jak decha, przesiąknięta złem. Zmuszała mnie do poniżających zabaw.

– Jakich? Ile miała lat?

– Dwanaście. Ale nie była już dzieckiem. Psychicznie była dojrzałą kobietą konsekwentnie realizującą swój nikczemny plan. Na przykład wpychała mi pod sweterek poduszkę z kanapy zmuszając do odgrywania roli potwornego garbusa. Nazywała mnie Quasimodo i kazała, żebym skakał po sprzętach jak małpa. Zmuszała mnie do kłamania, satanistycznych modlitw, obnażania się. Była wstrętną mistrzynią podłych robótek i kamuflażu. Miała opinię bardzo miłej, grzecznej i rozgarniętej dziewczynki. Wprost nie do wiary! – Zdobniak zatrząsł się przeżywając wspomnienie. – Miałem słabość do kozuchów z mleka – wyznał po chwili. – W ogóle lubiłem mleko i ona wykorzystywała to z całą cyniczną, podstępną bezwzględnością. W tym jednym, jedynym wypadku nie lekceważyła moich daremnych próśb, nie odrzucała pomysłów, w tym jednym wypadku

sama pilnowała chwil, kiedy w garnku robił się kożuch i przynosiła mi go na łyżeczce, podawała z uśmiechem i pytała, czy smakowało. Boże, co za przewrotność u dwunastoletniej dziewczynki! Na rany Chrystusa! Nigdy, nigdy nie powziąłem podejrzenia, że ona pakuje mi do środka... Do środka...!

Zdobniak zerwał się z fotela z wyrazem prawdziwej odraży.

– Co? – zapytała Małgosia wstrząśnięta.

– Muchy!

– Muchy?

– W kożuchy z mleka zawijała muchy! Ohydne, tłuste, niebiesko-zielone muchy! Te obsiadające wysypiska śmieci! One... One trzeszczały mi w zębach!

Oczy Zdobniaka wyszły z orbit, zacisnął palce na papierosie i szklaneczce, zatrzęsł się, skurczył, przez zaciśnięte gardło przedostawał się jakiś syk, walczył z brakiem tlenu i torsjami, wreszcie wydusił z siebie wargami, z których odpłynęła cała krew:

– Mówiła, że to cukier tak trzeszczy! Mała dziwka mówiła, że dodaje do kożucha ćwiartkę kostki cukru, żeby mi bardziej smakowało!

Nagle Zdobniak zachichotał z rozpaczą.

– I naprawdę mi smakowało! Te ohydne kożuchy smakowały mi! Dziękowałem Loli i domagałem się, żeby dała mi jeszcze, jeśli w garnku coś zostało, więc czasem przynosiła mi jeszcze jeden omlecek, tak to nazywała, i uśmiechając się wsuwała mi go do mojej rozdziawionej buzi! A kiedy jadłem, łaskotała mnie pod brodą i pytała czy smakuje! Odpowiadałem, że mi cholernie smakuje, że chciałbym jeszcze! – krzyczał Zdobniak – i żeby dawała więcej cukru! Na to ona, że

dobrze, następnym razem doda więcej cukru! A ja cieszyłem się, że tak łatwo się godzi i nawet ją w takich chwilach zaczynałem lubić! Podkładałem się jak ostatni dureń, łąsiłem się, prosiłem o muchy! O więcej much!... To trwało trzy lata, póki nie poszedłem do szkoły. Trzy długie lata – Zdobniak uspokajał się. – Przyłapałem ją na pierwszych wakacjach, przypadkiem, jak ugniatała omlecek w kuchni. Miała przy sobie zapas much w pudełku po landrynkach. Chodziła je łapać do miejskiej rzeźni...

Zdobniak szybko wychylił zawartość szklaneczki. Podeszedł do wodnego łóżka, zrobił sobie jeszcze jednego drinka i wypił na miejscu.

– W nocy budzę się z uczuciem, że mam w ustach, pod językiem, między zębami, w gardle niebieskie muchy. Nie umiem się pozbyć smaku gnijącego mięsa.

Zamilkł. Drżał lekko.

– Nigdy nie wybaczyłem sobie, że dałem się tak podejść, że byłem takim ufnym dzieckiem. No-szę w sobie piętno winowajcy i ofiary. To straszne. Straszne.

Opowieść o muchach była rzeczywiście niesamowita i, co tu dużo mówić, niesmaczna, jednak Małgosia czekała na bardziej dramatyczne wydarzenia, nie wyłączając zbrodni na tle kazirodczym.

– Psychika paroletniego chłopca jest niezwykle delikatna – uzupełnił Zdobniak widząc niezdecydowanie na twarzy Małgosi. – To misterny mechanizm podatny na manipulacje matek, niań, różnych ciotek i starszych sióstr. Wszystkie kobiety w rodzinie uważają za punkt honoru ugniatać chłopczyka na swój sposób, a ojcowie, ci otumanieni nieszczęściami oddający wszystkie swoje prawa do syna, aprobują każde bezceństwo, jakie się wyrabia z ich dzieckiem. A jak dzieciak podrośnie, nagle stary stwierdza, że jego chłopak jest zafajdanym maminsynkiem i kandydatem na pe-

dała. Jaka przyszłość czeka takiego faceta? Niespełnione ambicje, żona kutwa i dzieciaki, które nie mają dla niego za grosz szacunku. Komu on to wszystko zawdzięcza? Babom. Cholernym babom. Tak to wygląda.

Odwrócił się ponownie do kominka i splunął na drewno z blachy. Plwocina zaskwierczała gwałtownie i wyparowała. Małgosia wzdygnęła się.

– Więc widzisz, że ja również cierpię – zakończył wstrząsające wyznanie i zapalił nowego papierosa.

Małgosi nie chciało się wierzyć w jego cierpienie. Mimo wszystko.

– Nie wierzysz mi?

– Nie. To znaczy wierzę, że jadłeś te muchy, ale nie wierzę w całą resztę o maltretowanej psychice małego chłopca i nienawiści dojrzałego mężczyzny.

– Więc mi nie wierzysz? – Zdobniak wbił kciuk dłoni, w której trzymał papierosa, w pierś. – Po tym, co ci powiedziałem o sobie? Dokonałem poniżającego aktu ekshibicjonistycznego i mimo to nie wierzysz mi?! O, jak bezgranicznie egoistyczne potrafią być kobiety! Myślałem, że jesteś inna niż wszystkie, miałem nadzieję, że będziesz prawdziwym przyjacielem mężczyzny nie przestając być kobietą! Moim przyjacielem! Widocznie to niemożliwe, by kobieta była kobietą i przyjacielem mężczyzny! Widocznie tylko mężczyzna może być przyjacielem mężczyzny! Mężczyzna może być także przyjacielem kobiety, właśnie chciałem ci ofiarować szczerą, niczym nie zmaconą przyjaźń, ale ty jej nie przyjąłeś!

Za każdym wypowiedzanym słowem kciuk i papieros grzęzły coraz bardziej w fałdach czarnego szlafroka ze srebrnymi klapami.

– Od piątego roku życia byłem oszukiwany przez kobiety i któregoś dnia powiedziałem: dość! To się musi skończyć! Żadnych uczuć, najmniejszego szacunku! Tylko seks, zimny jak nagi sztylet!

Przez twarz Zdobniaka przebiegł przedziwny grymas mieszaniny litości i pogardy. Litości dla siebie i pogardy dla wiadomo kogo. Małgosia ziewnęła. Zakryła usta dłonią i wymamrotała słowa przeprosin. Zdobniak zamienił się w słup soli. Małgosia zostawiła go pośrodku pokoju z uczuciem, że nazajutrz rano zastanie Roberta Zdobniaka w tym samym miejscu. Będzie musiała zadzwonić po ślusarza, który odpiłuje go od podłogi elektryczną piłą. Tak wielkie było jego zdumienie.

– Tak. Jest świetnym aktorem – dodała idąc na górę.

Zastanowiła się, dlaczego dotąd nie uległa jego niewątpliwemu, lekko szalonemu urokowi? Położyła się do łóżka. Słyszała jak Zdobniak wściekle tłukł się na dole, potem silnik jego samochodu wyjący na najwyższych obrotach i pisk opon. Leżąc na plecach, z rękami pod głową, myślała o Jasiu, który jest w Jastarni.

Jaś nie był znowu takim durniem, żeby udawać prywatnego detektywa. Najpierw poszedł na dworzec kolejowy.

– Wie pan, szukam swojej dziewczyny – zagadnął zawiadowcę w czapce z daszkiem.

Zawiadowca był młody, miał brązową twarz, białe wąsy i niebieskie oczy i wyglądał na cholernie zawziętego wilka morskiego.

– To ona – Jaś pokazał zdjęcie.

– Niezła dupa – stwierdził zawiadowca tonem znawcy.

– Związała mi sprzed ołtarza – Jaś roześmiał się z przymusem.

Zaczynał być zły na Małgosię. Okres gwałtownej skruchy powoli mijał jak letnia burza.

- To się zdarza. Zwłaszcza łatwym dziewczynkom.
- Ona nie jest łatwa.
- Proszę pana... – zawiadowca podrapał się w podbródek.
- Chcę z nią pogadać. Podobno jest tutaj.
- Pewnie się puściła z drużbą. Panny młode lubią się puszczać z drużbami. Znałem jedną, która, zanim puściła się ze mną, puściła się z wikarym. Po ceremonii – oświadczył zawiadowca. – To było w zeszłym tygodniu – dodał.
- To widział pan ją? Moją dziewczynę?
- Panie, jak ja bym zobaczył taką laskę, to ja bym tu z panem dzisiaj nie rozmawiał, tylko bawił się z nią wesoło w „Lagunie Miłości”.

Jaś posiedział jakiś czas na ławce obserwując wysiadających i wsiadających pasażerów. Widział różne dziewczyny. Brzydkie i zawzięte, w typie sportowym, objuczone plecakami, w towarzystwie innych brzydkich dziewcząt w typie sportowym. Maszerowały przez peron i przez życie raczej szybko i jakby nieco ukradkiem, z boku. Widział ładne dziewczyny, w typie rozrywkowym, w towarzystwie przystojnych forsiastych facetów. Te przemierzały peron powoli, środkiem, z ledwie widocznym namysłem, premedytując gesty i ruchy ciała, by wodzić mężczyzn na pokuszenie. Małgosi nie było wśród nich. Nie pasowała do żadnej z grup. Przez chwilę czerpał z tego satysfakcję.

Z dworca poszedł na plażę. Z butami w dłoni powłókł się do wieży ratowników. Musiał czekać, aż ratownicy przyplyną z nowym zaciągami napalonych, piszczących dziewcząt w bikini, które wyławiali w okolicach boi, uwieszone dmuchanego materaca niczym pąkle. Znowu wyjął zdjęcie.

Nic z tego, żalowali, ale żaden z ratowników nie widział Małgosi, bo gdyby któryś ją zobaczył, to na pewno nie zajmowałby się tym cholernym słonecznym patrolem, tylko bawiłby się z nią wesoło w „Lagunie Miłości”. Natomiast wyłowione dziewczęta twierdziły, że widziały Małgosię w telewizji, jak jechała z jakimś facetem w odkrytym landrowerze przez tropikalną puszcę. Jaś tarł czoło palcami i patrzył na smutną buzię na zdjęciu.

Późnym popołudniem zajrzał do mariny i wędrował ze zdjęciem od łodzi do łodzi. Kapitanowie twierdzili, że nie widzieli tej ślicznotki, bo gdyby widzieli, to w tym momencie nie graliby w karty w towarzystwie innych kapitanów, nie wączali smrodu własnych stóp i wody gnijącej w zęzach i nie popijali ciepłego browarku, tylko bawili się w „Lagunie Miłości”. I tak dalej. Szwendął się po Jastarni zupełnie bez celu, głodny i zmęczony. Obok niego przepływał tłum wczasowiczów. Same obce twarze. Zmęczone oczy Jasia dojrzały na ścianie jakiegoś budynku kolorowy neon z napisem „Laguna Miłości”. Neonowy rysunek rzeczywiście przedstawiał błękitną zatokę z palmami. Zajrzał do środka. Przy stolikach oświetlonych małymi lampkami w kształcie muszli trąbika siedzieli ratownicy z zaciągami piszczących pąkli, rozglądający się na boki kapitanowie jachtów i ich majtkowie, a także inni mężczyźni. Był wśród nich zawiadowca, bez czapki z daszkiem, za to we wspaniałej koszuli z frędzlami i z grupką wczasowiczek w średnim wieku. Jaś podszedł do baru obsługiwanego przez opaloną na kabanosa blondynkę z wielkim biustem, w błękitnym t-shirtcie z palmą i napisem: „Fuck me”. Jaś zmusił się do wyjęcia zdjęcia. Zanim zdążył je pokazać barmance, w drzwiach pojawił się gruby mężczyzna w kosztownym szmaragdowym garniturze w towarzystwie dwóch równie dobrze ubranych, choć młodszych i chudszych mężczyzn. Kiedy przechodzili obok Jasia, w kieszeni mężczyzny zadzwonił telefon. Mężczyzna

wyjął komórkę dłonią kapiącą złotymi pierścieniami i przytknął sobie do ucha. Słuchał posapując, a potem otworzył usta kapiące złotymi zębami:

– Spakojno, Fiedka. Ja jewo wcziera ubił, swołocz adnu – rzekł do telefonu i schował go. Spojrzała na barmankę pociemniałymi oczami, w których tliły się iskierki humoru.

– Bonżur, madam Mariola – uklonił się i przeszedł wraz z asystą w głąb sali.

Usiedli przy stoliku obok obszernego podium z trzema rurami do tańca, stanowiącymi miłą zapowiedź interesującej, tanecznej choreografii zespołowej. Jaś schował zdjęcia i wyszedł. Cokolwiek myślał o Małgosi, to z całą pewnością nie znalazłby jej w takim miejscu. Wrócił na parking. Został samochód otwarty. I pustą kieszeń po radiomagnetofonie oraz porozrzucone kasety z Bachem, Haendlem, Vivaldim, Corellim i tak dalej. Sponiewierana klasyka. Podeptane stulecia kultury. Wydał z siebie cichą skargę. Cały czas to, co go spotykało od dnia, kiedy dał się namówić Zdobniakowi na tę rozbieraną imprezę, uznawał za karę, za dopust boży i nie zamierzał protestować. Przy najmnie głośno. Postanowił przyjmować razy z godnością, hartem, męstwem. Zagryzł zęby.

– Skurwysyny – wycodził, kierując przekleństwo do wszystkich zainteresowanych.

I na tym koniec. Ani jednego słowa skargi więcej. Ani jednego. Pozbierał kasety i pieczołowicie umieścił w schowku. Nie da się sprowokować. Nie ulegnie. Nawet jeśli nie dostrzeże sensu w tej całej sytuacji, nawet gdyby musiał użyć szkła powiększającego, żeby dostrzec sens, to i tak nie zboczy z drogi samotnego wojownika. Pojechał na kamping w okolicach Chałup. Zaparkował na poboczu i poszedł poszukać kierownika pola. Zapukał do luksusowej przyczepy z wywieszką „Kierownik”. Otworzył mu brzuchaty, starszawy mężczyzna w slipach i kapitańskiej czapce. Jaś nie wdawał się w dyskusje. Podał mężczyźnie zdjęcie Małgosi.

– Szukam jej – rzekł krótko wiedząc doskonale, co usłyszysz.

– Ostatni namiot po tamtej stronie – mężczyzna machnął ręką nie namyślając się.

Oddał zdjęcie Jasiowi. W głębi przyczepy Jaś dostrzegł drugiego mężczyznę w slipach i kapitańskiej czapce. Miał zniecierpliwioną minę i trzymał w dłoniach dwa kieliszki szampana.

– Co? – Jaś otworzył usta.

Kierownik zamknął drzwi. Jaś spojrział na zdjęcie, jakby widział je po raz pierwszy. Potrząsnął głową. Przez chwilę gapił się na drzwi przyczepy. Ruszył we wskazanym kierunku. Układał w myślach słowa, którymi przywita Małgosię. Nie będzie robił wymówek. Po prostu powie: wracaj do domu, skarbie. Wracaj tam, gdzie twoje miejsce. Okaże wielkoduszność. Klasę. Okaże szlachetność. Wyrozumiałość. Delikatność. Będzie skrywał ból pod maską wyniosłej aprobaty dla jej nierozsądnego czynu. Zachowa się jak facet, który wiele zrozumiał. Być może zaswędzi go ręka, ale powstrzyma się z gestami. Będzie powściągliwy. Żadnych wymówek. Wyłącznie czułość, tkliwość, troska.

Mijał oświetlone słabym światłem przyczepy i namioty oraz wczasowiczów siedzących przy turystycznych stolikach i zajętych beztroskimi pogwarkami przy kolacji. Oni też by tak mogli. Oni, to znaczy Jaś i Małgosia. Też mogliby siedzieć przed namiotem w ten cichy, letni wieczór i cieszyć się wypoczynkiem. Jasiowi należał się urlop, harował w towarzystwie ubezpieczeniowym jak wół. Może nie był najlepszy w organizowanym przez kierownictwo współzawodnictwie, bo nie miał gadanego, jak inni koledzy z działu, którzy potrafili wcisnąć pobożnym emerytkom polisy ubezpieczenia od kontaktu z wcielonym szatanem. Nie umiał nabić tylu punktów, żeby dostać Złote Serce. Raz zdarzyło mu się osiągnąć Brązowe Serce, bo ubezpieczył zbiorowo pensjonariuszy do-

mu starców od skutków używania źle dobranych sztucznych szczęk, w pakiecie ze skutkami zatrucia pokarmowych wynikłych ze złego przeżuwania. Ale na niewielkie kwoty. W każdym razie pracował z całych sił, jego indywidualny wysiłek składał się na finansowy sukces całej korporacji i należał mu się urlop.

Ostatni namiot był mały, bez werandy. Zwykła czwórka z pojedynczym wejściem. Żaden luksus. Z jego wnętrza nie dochodziły odgłosy kolacji. Przeciwnie, to, co słyszał, to były odgłosy intensywnej miłości. Jaś oblał się potem. Zbliżył się do namiotu, nachylił i rozdygotanym palcem odsunął luźno zwisającą tkaninę zakrywającą wejście. Zmartwiały ujrzał plecy i bujne, jasne jak łan pszenicy włosy dziewczyny ujeżdżającej w dzikim zapamiętaniu jakiegoś obrośniętego bruneta w typie bałkańskim. Serca Jasia stanęło w miejscu.

– Małgosia? – wymamrotał zdrewniałymi wargami. Brunet dostrzegł Jasia. Błysnął oczami.

– Sto złoti! – wykrzyknął.

– Małgosia? – Jaś myślał, że umrze. Upadł na kolana. Jego nogi zrobiły się jak z waty. Nie chciał patrzeć, a jednocześnie nie mógł przestać patrzeć, przekłete oczy wyskoczyły mu z orbit. Brunet usiłował bezskutecznie powstrzymać galopującą dziewczynę, która jęczała, dyszała, chrypiała i coś zmysłowo mówiła, ale Jaś nic z tego nie rozumiał. Wreszcie brunet zdenerwował się i zepchnął brutalnie blondynkę z siebie. Dziewczyna przewróciła się z wrzaskiem na bok. Brunet uniósł się i pocałował własne palce, którymi jeszcze przed chwilą ugniatał obwisłe piersi blondynki.

– Elena! Prima! Zajebita laska. Sto złoti!

Blondynka odwróciła głowę. Jaś ujrzał mięsiste, karminowe usta i czarne oczy w wulgarnej, śniadej twarzy.

– Pedzeson zloti, pane. Ne? Ne?

Jaś pokręcił głową.

– Dwadzesca zloti?!

Jaś wyprostował się, opuścił tkaninę. Szumiało mu w głowie.

– Tanej, pane, ne moge, kurwa! – z namiotu wyrzała głowa bruneta. – Kak Bohu koham, ne moge!

– Da, zajebita – w środku odezwała się skrzekliwie blondynka. – Dac dupa! Dac dupa!

– Nie, dziękuję – odparł Jaś.

Odrzucił się i odszedł. Wrócił do samochodu. Widok wyważonego bagażnika, z którego zniknęło koło zapasowe, apteczka, narzędzia i tak dalej, nie zrobił na Jasiu żadnego wrażenia. Parokrotnie usiłował zatrasnąć klapę, która za każdym razem odskakiwała. Nawet go to rozbawiło. Tak musiało być. Kalwaria. Jaś chichotał, kiedy zadzwoniła jego komórka. Przycisnął aparat do ucha. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy. Nawet wybuchnął krótkim śmiechem i zapytał:

– Duszniki Zdrój? A dlaczego nie Australia?

Małgosię obudził natarczywy telefon. Zbiegła na dół z myślą, że to Jaś. Gotowa była wyjawić mu intrygę Zdobniaka. Czas, żeby wreszcie sama coś wymyśliła. Ale to nie był Jaś. Wzruszyła ramieniem. Nie, to nie. Jaś nie posiada szczególnej inwencji, nie ma własnej idei, którą by realizował, czy choćby w nią wierzył. Posługuje się zlepkim wartości, czasem zupełnie przeciwstawnych, mających jednak tę zaletę, że dają się zastosować do każdej sytuacji. Jak dobrze wyżuta guma. Nigdy nie wpadnie na myśl, że Małgosia ukrywa się u Zdobniaka. Głupek.

- Małgosia? Tu Rita. Aquarius nalega na spotkanie. Musi cię zobaczyć.
- Dobrze.
- Będę za godzinę.
- Tylko bez tych numerów.
- W porządku, stara. I tak cię lubię.
- Co to znaczy, że i tak mnie lubisz?
- Aquarius miał ci za złe, że wczoraj nie przyjechałaś.
- Tak?
- Już ci wybaczył.
- Pocziwy Aquarius. Skąd on czerpie tyle wyrozumiałości?
- Daj spokój, stara. Aquarius jest naszym przyjacielem.
- Czyim przyjacielem?
- Przyjacielem kobiet.
- Oczywiście. Jakżeby inaczej?

Małgosia zdążyła zjeść śniadanie i przejrzeć się w lustrze. Rozebrała się i oglądała w skupieniu swoje ciało.

– Może rzeczywiście jestem trochę za pulchna? – zastanowiła się. Ujęła dłońmi piersi i nieco uniosła. Połaskotała sutki kciukami. Stwardniały. Poczowała wilgotne ciepło między nogami. Tęskniła na Jasiem. Za jego penisem. Ustami. Dłońmi. Uśmiechnęła się.

– Poza tym jeszcze jedno. Zbyttnio się wszystkim przejmuję. Trafiłam na zwariowanych ludzi, to prawda, ale to nie znaczy, że są źli i podstępni. Są po prostu inni. Zresztą człowiek zły ma po-

wody, żeby być złym. Najczęściej przyczyną są kłopoty, a tutaj nikt poza mną nie ma kłopotów. Zawsze je miałam. Jaś też ma kłopoty. Przeze mnie. Najpierw ja miałam przez niego. Co prawda nie mam pewności, czy skończą się, kiedy związę się z Aquariusem i zostanę modelką. W każdym razie godząc się na pracę u Aquariususa nie popełniam grzechu i niekoniecznie musi się to wiązać z rezygnacją z ambicji bycia kimś innym, a nie tylko modelką z ładną pupą. Małgosia postanowiła dać to odczuć Aquariusowi. Sławny dyktator mody będzie tylko i wyłącznie pracodawcą. Nikim więcej. A ona będzie u niego zarabiać na życie. Jest bez grosza. W końcu nie wychodzi na ulicę. Podobno świat mody to świat sztuki. Małgosia będzie pracować w biznesie artystycznym.

Znowu była wielka Rita, kabriolet i jej długi szal łopoczący na wietrze niczym bojowy proporzec. Tego dnia miała na sobie coś w rodzaju masajskiej tuniki, na plecach korkowy hełm z tropików, na nosie przydymione gogle oprawione w szylkret indonezyjskich żółwi.

– Wyglądasz nieźle – powiedziała Małgosia chcąc sprawić Ricie przyjemność.

– Doprawdy? – Rita wyszczerzyła zęby. – Czy wyglądam na osobę, która spędziła rok w buszu zakładając pułapki przy wodopojach i strzelając do lwów?

– Właśnie tak wyglądasz.

– Wspaniale! – Rita była zachwycona. – Niewiele się pomyliłaś. Byłam w Afryce, ale nie jeździłam na safari. Uważam zabijanie zwierząt dla przyjemności za barbarzyństwo.

– Co tam robiłaś?

– Nic. Włóczyłam się z pewnym facetem z filmu. W Algierii. Był Francuzem. Zupełnie stuknięty facet, podkochiwał się we mnie. Był mały i kudłaty. Podobno mali faceci czują pociąg do dużych kobiet. Francuzi w ogóle są stuknięci. Gerard robił film etnograficzny i w pewnej wiosce poznałam

Zdobniaka. Obaj zalecali się do mnie, póki nie powiedziałam, że nie przepadam za tym. Żebyś widziała Zdobniaka, był bliski załamania, podejrzewał, że złapał aida. Rozbierał się i kazał mi oglądać swoje ciało przez obiektyw z aparatu Gerarda. Musiałam go parę dni uspokajać. Mężczyźni są jak dzieci.

– Co Zdobniak robił w tej wiosce?

– Leczył się u pewnego czarownika. Leżał w korycie pełnym parujących liści i naparu, wysmarowany czerwonym błotem, podczas gdy czarownik wypowiadał modlitwy i nakładał na Zdobniaka, dokładniej na jego wacka jakieś magiczne kółka z plecionych sznurków. Jedyne w swoim rodzaju. Faceci są tacy sami, biali czy czarni, interesuje ich wyłącznie ontologiczna kwestia, czy im stanie, kiedy będą ich wkładać do trumny. Czarownik miał minę całkiem jak Bóg podczas stwarzania świata, Zdobniak wcale nie gorszy, wszędzie palące się trzciny, dymiące miseczki z korzeniami i dwóch gołych facetów. Czarownik nakładał krążki na białego wacka Zdobniaka, mamrotał modlitwy, zdejmował krążek i nakładał na swój wielki, czarny interes. Zabawiali się w ten sposób od samego rana... Wiesz, Zdobniak odczuł spadek potencji i musiał się poradzić znanego miejscowego specjalisty od tych spraw. Po kuracji nie mógł się złożyć przez kilkanaście godzin, leżał w hotelu i wyglądał jak jednomasztowiec pod żaglami...

– I to wszystko, co tam robiliście?

– Mniej więcej. Zdobniak był jakimś obserwatorem z ramienia ONZ, czy jakoś tak. W ogóle to pracował w Sudanie. Wiesz, sahel, susza, szarańcza, lepiej nie mówić, te biedne, umierające dzieciaki... W każdym razie nie mógł się nachwalić tego czarownika. Postanowił skierować kilku swoich znajomych z ambasady. Uważa, że medycyna ludowa potrafi zdziałać cuda... Słodki Jezu! –

Rita uniosła oczy do góry. – Powiem ci, stara, że właściwie cieszę się, że nie ciągnie mnie do chłopów. Wszyscy oni to gówniarze – machnęła ręką. – Nawet Aquarius w gruncie rzeczy – wykrzywiła usta. – Zdaje mu się, że jest genialnym sybarytą jak diuk Esseintes. Oczywiście nigdy nie słyszał o diuku Esseintes – spojrzała na Małgosię. – A ty słyszałaś o nim?

– O kim?

– O tym genialnym wykwintnisiu i smakoszu. Koneserze zapachów, kwiatów i kolorów?

– Nie.

– Aquarius to zaledwie surogat, ersatz, sztuczna czekolada, choć bardzo się stara, trzeba przyznać. Jest uparty i konsekwentny. Jednak nigdy nie wyjdzie poza jedwabny szlafrok trzy czwarte. Zauważyłaś, że facetów stać zaledwie na jedwabny, krótki szlafrok? Jakie to banalne. Jeśli któryś czasem założy na goły tyłek wschodni kaftan z pikowanej satyny, to wydaje mu się, że pozjadał wszystkie rozumy i jest szalenie oryginalny.

Małgosia zgodziła się z Ritą.

Aquarius przyjmował różnorodne, płynne kształty bytu. Żył w ekstrawaganckiej rezydencji w stylu angielsko-mauretańskim, tonącej w powodzi kwiatów, ozdobnych krzewów i drzew owocowych, a także drzew iglastych. Rozumna oraz ezoteryczna egzystencja Aquariusza nurzała się w głębokiej toni doznań zmysłowych i, naturalnie, pozazmysłowych. Przechadzając się po samodzielnie zaprojektowanych wnętrzach domu lub po ogrodzie, sycił wzrok i kąpał się w kaskadzie dźwięków wydawanych przez ptaki i sztuczne strumienie, kaskady i fontanny. Rezydencja stylisty posiadała siedem łazienek o odmiennych aranżacjach, spryskiwanych przez automaty siedmioma różnymi kompozycjami zapachowymi, również autorstwa Aquariusza, o pełnych pesymizmu na-

zwach w rodzaju: „Upojna noc Judyty, a zwłaszcza Holofernesa” czy „Kraksa na skrzyżowaniu z udziałem zwinnego rolkarza”. Najwyżej usytuowana łazienka miała rozsuwany kopulasty dach i pełniła funkcję obserwatorium astronomicznego. Zestaw mocnych lunet pozwalał Aquariusowi obserwować nocne niebo podczas zażywania kąpeli. Aquarius obserwował nocne niebo, by z niego odczytywać mniej lub bardziej pomyślne wróżby. Poza tym, że stylista był najdoskonalszym ucieleśnieniem transcendentnego pierwiastka i zręcznego inwestora, któremu forsa sama pchała się do rąk, był również dekadentem, to znaczy od czasu do czasu chodził struty lub wybuchał cynicznym śmiechem, czego przyczyn nikt nie rozumiał, nie wyłączając samego Aquariususa. Może nawet on wiedział z tego wszystkiego najmniej.

Tego dnia stylista przebrał się za syna pustyni. Odziany w luźną suknię fellacha i zawój w kolorze piaskowym, spięty ametystowym guzem wielkości główki kapusty, siedział w przeszklonej pracowni urządzonej ze smakiem na wzór modernistycznej mansardy. Na ogromnym stole leżały płachty brystolu. Aquarius uzbrojony w pęk suchych pastelii zapępiał kartony zawilymi liniami z miną, jakby przyjmował komunię świętą. Spod jego wprawnej ręki wychodziły suknie, spodnie, wdzianka i coś tam jeszcze, nakrycia głowy z pióropuszcami, utrzymane w stylu rzymsko-indiańskim, inkrustowane strzelby podobne do wysmukłych kwiatowych kielichów, w tle natomiast widniały piramidy i wielbłądy, skórzane bukłaki i elementy egipskiego systemu nawadniającego.

Małgosi bardzo się to podobało.

– To jest właśnie Małgosia – powiedziała Rita do arabskiej strzelby wiszącej na plecach stylisty. Aquarius nie zwracał uwagi na dziewczyny. Wygięty w łabędzią szyję wisiał z uniesioną ręką nad kartonem i myślał.

– Słyszałeś? – Rita ponowiła próbę.

– Chcesz za to medal? – odezwał się po chwili stylisty. – Zamknij dziób i czekaj, aż skończę.

– Dzień dobry – rzekła Małgosia. Stwierdziła, że Aquarius ma zdolności plastyczne, a poza tym schizofreniczną osobowość.

– Ja tworzę. Nie widać? – dodał stylisty z za własnych pleców.

– Nie miałam pojęcia, że akurat będziesz tworzył – odparła Rita. – Weszłybyśmy na kolanach.

Aquarius odwrócił się. Miał wypielegnowaną twarz chytrego fryzjera z zakładu lepszej kategorii. Albo oberkelnera, który w wytwornej restauracji krąży między stolikami i pyta gości, czy im smakuje. Albo wizarzysty z domu pogrzebowego. Kogoś takiego. Małgosia była nieco rozczarowana.

– Co z tobą? – warknął stylisty w stronę Rity. – Za co ci płacę? Chyba nie za to, żebyś mi prawila impertynencje? W dodatku przy obcych?

– Ledwo udało mi się ją namówić.

– Chcesz powiedzieć, że ona robi mi łaskę, że tu przyszła?

– W całej swojej pieprzonej karierze nie miałeś lepszej dziewczyny, więc się nie stawiaj. Sprzedam ją najlepszym agencjom za duże pieniądze! A ty dalej ubieraj te swoje tykowane zdziury!

Aquarius mało się nie przewrócił. Przemknął omdlewającym wzrokiem po Małgosi.

– Gdzie twoje wielbłądźce, synu pustyni? – zapytała Małgosia.

- Co? – stylistą wbił w Małgosię podmalowane oczy Ben Hura.
- Czy ta pukawka strzela? – Małgosia uznała, że Aquarius zachował się niegrzecznie i należy go ukarać. Stylista zastanowił się podparłszy brodę jednym palcem.
- Dużo pytań. Wiele pytań – stwierdził zagadkowo stosując niezawodne równoważniki zdań.
- W sam raz, żeby się dowiedzieć czegoś od kogoś, kto nie mówi niczego – odparła Małgosia.
- To jest głębokie, metaforyczne. Rymuje się. Brzmi jak wiersz. Czy to jest wiersz? – zainteresował się fałszywie Aquarius. W jego głosie brzmiał ból. Wręcz udręka.
- Tak. To jest wiersz – odparła Małgosia. Rita zachichotała. Przykryła usta dłonią.
- Nosi tytuł: „Sztuczny Beduin z plastiku” – ciągnęła Małgosia. Aquarius spojrział na nią nagle zmęczony.
- Taaaak – powiedział przeciągle, z tęsknotą i smutkiem w głosie. Zdjął strzelbę z pleców i zaczął pieścić dłonią kielichowatą lufę. – Ta cudowna strzelba...
- Ona strzela budyniem – Małgosia wysunęła brodę. – Założę się, że nie potrafi wystrzelić nic innego.
- Rita ryknęła zdrowym śmiechem. Nie mogła się opanować. Naprawdę. Aquarius poczerwieniał. Z trzaskiem odłożył broń na stół z kartonami.
- Jesteś arogancka! – krzyknął. – Bezczelna! Wiem, że chciałaś mnie obrazić! Natychmiast mnie przeproś! Aquarius się nie obraża! Ci, którzy obrażają Aquarius, bardzo tego żałują!
- Gdzie twoje wielbłądzice? – powtórzyła Małgosia.
- Stylistą odwrócił się do Rity.

– Znowu! Słyszysz? Jestem pewien, że mnie obraża. Widać po jej oczach. Wy tłumacz mi, o co chodzi z tymi cholernymi wielbłędami? Że jestem podobny?

– Wolałbyś nie wiedzieć – odparła Rita.

– Ty jesteś Małgosia jakaś tam... Małgosia z piernikowej chatki – Aquarius wykrzywił się z pogardą. Nie pozostało mu nic innego, jak okazać lekceważenie. – Nie wiem dlaczego, ale sądziłem, że będziesz wyglądać dużo lepiej... żadna rewelacja...

– Jestem taka, jaką mnie widzisz. Przyszłam tu, ponieważ szukam pracy. To czysty przypadek, że trafiłam akurat na ciebie. Choćbyś mnie przebrał w coś równie bezsensownego – Małgosia spojrzała na suknię stylisty z bezbrzeżną pogardą – zawsze będę sobą. Nawet w najbardziej głupim kostiumie, jaki mógłby się zrodzić w twojej wyobraźni, małej i ciasnej jak... jak budka telefoniczna.

Rita przestała się śmiać. Mrugając małymi oczami wpatrywała się w Małgosię.

– Aquarius nie jest taki jak myślisz, stara – wyjąkała. Stylista machnął dłonią, każąc się jej zamknąć. Patrzył na Małgosię już nie jak Ben Hur po powrocie z pustyni, oczami pełnymi piasku i łez tęsknoty, ale jak wściekły neurastenik. Może nawet socjopata.

– Aquarius jest taki, jaki chce być! – krzyknęła Małgosia. – Chce być młodym szejkiem i jest nim, zachowuje się wobec nas tak, jak zachowuje się arabski książę wobec kobiet. Z absolutną pogardą i wyższością!

– Czy wiesz, ile dziewczyn stara się dostać do mojej stajni i do czego są zdolne, żeby móc pokazywać moje modele?! – wrzasnęła stylistka. – Jest ich tyle, że mogę je dobierać kolorem oczu do moich krawatów! A mam dużo krawatów! Lubię krawaty! Sam je projektuję! Mężczyznę poznać po krawacie! Rita ledwo mnie ubłagała, żebym zechciał cię przyjąć! – potrząsnął głową w geście bez-

radnego zdumienia. Nigdy dotąd nie wydarzyło mu się nic podobnego. Był zdumiony, złamany, zdruzgotany. Czuł, że wyrządza mu się wielką krzywdę. Nie zasłużył na nią!

– On przebrał się nie po to, żeby mną wstrząsnąć. Przebrał się, bo jest przekonany, że naprawdę jest synem pustyni. Sama nie wiem, co jest gorsze. Jak nazwać ten rodzaj próżności? To zwykły estetyczny faszyzm.

– Estetyczny faszyzm – powtórzyła Rita jak echo. – O rany!

Wszystkim zrobiło się nagle gorąco.

– Myślę, że po tym, co powiedziałam, nie mam tu czego szukać. Bogowie nie znoszą sprzeciwu.

Małgosia wyszła z pracowni zapomniawszy pokręcić pupą. A potrafiła to robić ze zniewalającym wdziękiem. Miała dzisiaj szczerzy zamiar spodobać się Aquariusowi, dlatego założyła swoją najprostszą sukienkę przed kolana, ukazującą wszystkie jej piękne, klasyczne kształty, proste, długie nogi, drobne kolana i kostki stóp, cudowny rysunek bioder i wysokiej pupy, i tak dalej. Małgosia uważa, że prawdziwe piękno i wytworność, wręcz wyrafinowanie osiąga się poprzez prostotę. W przeciwieństwie do zawijania się w jakiś szmaty i udawania arabskiego księcia. Nie liczyła na to, że Aquarius wybiegnie za nią i będzie przeproszał. Nie ten facet i nie w tej epoce. Mimo to obejrzała się. Stylista wymachiwał strzelbą, a Rita kiwała ulegle głową.

Złapała Małgosię na schodach.

– Dostanie mi się – poskarżyła się.

– Przepraszam.

– Co ci szkodziło popatrzeć, jak włazi we własną dupę i pozachwycać się? On ma kolosalną przyszłość. Nie rezygnuje się z takiej szansy tylko dlatego, że facet jest chamem.

- Obraził nas.
- O Jezu! Cały świat jest do cna skurwiony. I co? Nie ma innego.
- Rób jak chcesz. Ale mnie ma przeprosić. Albo nie chcę go znać.
- Ty naprawdę jesteś nienormalna – stwierdziła Rita.

W Dusznikach padało. Właściwie lało. Oberwanie chmury. Jaś objechał parokrotnie rynek i boczne uliczki zanim znalazł komisariat w potokach wody lejącej się z nieba. Podjechał możliwie jak najbliżej, ale zanim osiągnął drzwi, cały przemókł.

W dyżurce siedziało dwóch policjantów. Oglądali film w telewizji. Jaś nachylił się do okrągłej dziury w szybie małego okienka.

– Dzień dobry panom. Znam nazwisko, ale nie znam adresu. Czy podacie mi adres?

Siedzący bliżej zwrócił nieobecna twarz w stronę Jasia.

– To jakiś teleturniej? – zapytał po chwili.

– Teleturniej?

– Jest pan z telewizji?

– Nie. Dlaczego?

Policjant na chwilę wrócił do oglądania.

– Znam nazwisko... – zaczął Jaś na nowo. Policjant uniósł ramię. Jaś zamilkł. Policjant wstał zza biurka i wyjrzał przez zalaną deszczem szybę. Ujrzał żółte polo.

– To pański?

– Tak.

- Ukryta kamera?
- Co? – Jaś nie rozumiał. Policjant przeciągnął dłonią po niestarannie ogolonym podbródku.
- Bagażnik się panu otwiera.
- Wiem.
- A kogo pan szuka?
- Brygidy Patyk i jej męża Mieczysława.
- Ja jestem Mieczysław – policjant podszedł do Jasia.
- Patyk?
- Nie.
- Szkoda.
- Ma pan do nich interes? Do tych Patyków?
- Nie tyle do nich, co do mojej dziewczyny. O, to jej zdjęcie. Ta Patyk jest jej kuzynką. Wiem od przyjaciela, że Małgosia, ta dziewczyna na zdjęciu, pojechała do swojej kuzynki Brygidy Patyk.
- Zwiłała panu sprzed ołtarza?
- Tak pan sądzi? – Jaś wykrzywił się z gorzką pogardą.
- Tak sobie myślę.
- Jeden zero dla pana – przyznał Jaś.
- Będzie dwa zero dla mnie.
- Dlaczego pan tak sądzi? – Jaś zaniepokoił się.
- Żadna Brygida Patyk tu nie mieszka.
- To niemożliwe.

- Stary glina ze mnie i wiem, co mówię. Patyków u nas nie ma. Są Kije.
- Jak to kije?
- Tak się nazywają. Patologiczna rodzina.
- Pokaż pan – od telewizora oderwał się drugi policjant. Spojrzał na zdjęcie Małgosi.
- Skądś ją znam – stwierdził.
- Tak? – w Jasia wstąpiła nadzieja.
- Jak Boga kocham, że już ją gdzieś widziałem...
- Gdzie?
- Nie mogę sobie przypomnieć – policjant zmarszczył się z wysiłku.
- A kiedy to było?
- No... przed chwilą...
- Jak to przed chwilą?! – Jaś uniósł brwi.
- No mówię, żem ją widział... no – policjant spojrzął na zegarek – może z minutę temu...
- Jak mógł pan ją widzieć minutę temu, jak ja tu jestem od co najmniej pięciu minut!
- Nie wiem... – policjant podrapał się w głowę. Policjanci o imieniu Mieczysław i Jaś spoglądali na siebie w napiętym milczeniu. Ten, który widział Małgosię minutę temu wrócił przed ekran. Dyżurny oddał zdjęcia Jasiowi.
- To nieporozumienie albo ktoś zrobił panu kawał. Owszem, znałem jedną Brygidę, moją ciotkę. Miała wole wielkie jak torba pelikana i nosiła mini w wieku siedemdziesięciu pięciu lat. Uważam, że trzeba być najzwyczajszą dziwką, żeby nosić mini w tym wieku. Nie miała kuzynki podobnej do pańskiej narzeczonej, bo bym ją zapamiętał...

– Już wiem, skąd ją znam! – wrzasnął nagle drugi policjant. – Wyciągnął rękę w stronę telewizora. – Ona jest podobna do tej tam! Stąd żem się pomylił! Jakżeś powiedział o twojej ciotce, Mietek, to od razu pomyślałem, że była podobna do teściowej Milagros, a jakżem pomyślał o Milagros, to od razu poznałem, że ta pańska narzeczona jest podobna do Milagros! O, patrz pan! – policjant pokazał na ekran. Jaś wsunął głowę w okienko. Ujrzał pulchną brunetkę w różowej sukience, szarpiącą się z jakimś facetem z bakami.

– Widzisz pan, jaka podobna?! O! – policjant podskoczył na krześle. – Jak dwie krople wody! Aleś pan trafił łaskę! Tylko pozazdrościć!

Jaś chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się. Słowa. Cóż po słowach? Wyszedł na deszcz. Nie śpieszył się. Już mu nie zależało. Stał na stopniu komisariatu i mókł. W pewnej chwili uniósł mokrą i martwą twarz ku niebu i zapytał Boga, czy Bóg ma w tym jakiś interes, żeby Jaś Skoczek nie znalazł swojej dziewczyny? Nie doczekał się odpowiedzi wprost, bezpośrednio. Formą odpowiedzi nie wprost, uwikłanej, jak to u Boga, w niejasną metaforykę losu, w symbole, znaki i tak dalej, była otwarta maska samochodu, ucięte kable i brak akumulatora.

– Rozumiem – rzekł Jaś, choć nic nie rozumiał. Ludzie z reguły mówią: rozumiem, kiedy nic nie rozumieją. – Nienawidzę cię, Zdobniak – dodał. – Dlaczego mi to robisz? – dodał jeszcze, mając na myśli Małgosię. Wsiadł do samochodu i zadzwonił.

Robert Zdobniak spał w niskim, szerokim łożu z rattanu. Obok niego spały trzy Azjatki. Wyglądały jak trzy smukłe, czarnozielone jaszczurki. Zdobniak był nienaturalnie powyginany, sprawiał wrażenie, jakby biegł i skakał we śnie. Łoże, Zdobniak i Azjatki znajdowali się

w pomieszczeniu urządzonym w stylu dalekowschodnim, zewsząd zwieszały się, zapewniające dobre samopoczucie psychiczne i fizyczne, dzwoneczki feng-shui, natomiast ściany i podłogę przykrywały maty z rafii. Telefon odezwał się spod sterty męskich i damskich ubrań walających się na podłodze. Zdobniak otworzył ciężkie powieki. Szturchnął nogą jedną z dziewcząt:

– Phone!

– Fuck you! – odparła dziewczyna nie otwierając oczu.

– Jesteś niewdzięczna – poskarżył się Zdobniak w płacziwej polszczyźnie. Jeżeli miał się uskarżać na los, to tylko w rzewnym języku Chopina, Mickiewicza i pozostałych romantyków – W końcu urabiam się dla was po pas...

– Duzio o tobie słyseć od was ambasador, ale ty nie być taki dobly – odparła dziewczyna z wyrzutem.

– Chyba suszi mi zaszkodziło...

– Cieba biło jeś kotlet schabowi. Jakby zjad kotlet, to miałby duzio sił na ciupcianie. Dobrze mówić: ciupcianie?

– Dobrze... kto dziś jada wieprzowe kotlety? Chcecie, żeby mnie zabił cholesterol?

Zdobniak zamknął oczy. Komórka nadal wygrywała „We are the champions”. Zdobniak nie otwierając oczu przetoczył się po oliwkowych, pachnących monsunem ciałach i zwlókł z łóżka.

– Wszystko na mojej biednej głowie – poskarżył się. Z zamkniętymi oczami, na czworakach, dotarł do ubrań. Wyłowił ze sterty swoją marynarkę, z niej komórkę. Opadł na plecy.

– Magister inżynier Robert Zdobniak przy aparacie – wychrypiał zboląłą szczęką.

– Jej tu nie ma! – wrzasnął Jaś. – Nie ma tu żadnej Brygidy Patyk, sukinsynu!

- Nie moja wina.
- A czyja?! Jestem mokry, głodny, mam zniszczony samochód...
- Ja ci tylko powtarzam to, co ona mówiła. A powiedziała, że jedzie do Dusznik, bo ma tam kuzynkę ze strony ojca... ale nie masz się co łamać, bo ona już nie jest w Dusznikach...
- Wiem, że nie jest, ty kanalio!
- Nie jest – powtórzył Zdobniak. – A skąd wiesz, że nie jest? – zapytał.
- Bo jej tu nie ma!
- Jej tam nie ma.
- A gdzie jest?! – Jaś ugryzł się w pięść.
- W górach.
- W górach? Już jestem w górach!
- W innych górach.
- W których górach?
- W Tatrach.
- Znowu powiesz, że ma tam kogoś z rodziny?
- Nie. Nic takiego nie mówiła. Powiedziała tylko, że ma ochotę odwiedzić Tatrzański Park Narodowy. Nie pytaj mnie, po co, bo nie wiem. I nie złość się, jestem tylko posłańcem...

Jaś wściekły rozłączył się. Po chwili zadzwonił do ojca. Musiał przed kimś wylać ten wielki żal, jaki miał do świata, Zdobniaka no i do Małgosi. Wybrał ojca. Człowieka równie mocno sponiewieranego przez życie. Jaś poczuł, jak bliski jest mu w tej chwili jego ojciec. Właściwie był jedyną bliską mu osobą na tym świecie. Przypomniawszy sobie słowa Kutka, zresztą też kanalii: przyjaciele

zdradzają, kochanki porzucają. A ojciec zawsze będzie ojcem. Starym, pocziwym ojcem. Pocziwym starym.

Poczuł na policzkach piekące łyzy synowskiej miłości.

Aquarius nie mógł się zdecydować na właściwą autokreację. Ta bezczelna Małgosia stanowiła dla niego zagadkę. Najpierw deprimującą, a potem podniecającą, a potem znowu deprimującą. Długo nie mógł jej rozgryźć, przez głowę przelatywały mu rozmaite pomysły, na przykład taki, że Małgosia jest kochanką Rity, a zatem Rita okazała się, po pierwsze: niełojalna, ponieważ ustalili na początku współpracy, że jedynym kochankiem Rity będzie, o ile czas i siły na to pozwolą, zapracowany Aquarius, po drugie zabrała się do knucia jakiejś podejrzaney intrygi w stylu Lukrecji Borgii – kazirodczej kochanki swego ojca i brata. Aquarius poczuł się zagrożony. Po zasięgnięciu porady w gwiazdach odrzucił ten pomysł jako nazbyt śmiały, w sensie intelektualnym, a zarazem zawiły. Wiedział doskonale, że Rita pragnie objąć po nim sukcesję, ale, jeśli zdecyduje się na ostateczny krok, po prostu w trakcie któregoś z ich intymnych seansów, nie wdając się w subtelności, udusi Aquariusu używanymi pończochami. Potem przyjął założenie, że Małgosia jest utajnionym wysłannikiem mediów, kimś, kto, stosując bezpośrednią prowokację, pisze skandalizujący reportaż o zakulisowych sprawach z życia wielkiego kreatora, ale ani w dziennikach, ani w prasie kobiecej nie znalazł nawet wzmianki o, przyznajmy, kompromitującej rozmowie na temat arabskiej strzelby i wielbłądziej. Rozwahał krótko wariant zakładający, że Małgosia pracuje dla zagranicznej konkurencji, dla której genialny Aquarius był solą w oku, jednakże odrzucił tę koncepcję jako nazbyt dziecinną. Gdyby konkurencja chciała unieszkodliwić Aquariusu, nasłababy na niego płatnego zabójcę duszącego swe ofiary za pomocą struny od fortepianu. Nie umiał wyjaśnić, dlaczego byłby to

akurat dusiciel, po prostu Aquarius miał obsesję na punkcie śmierci przez uduszenie. Ostatecznie uznał, że ta piękna dziewczyna jest tylko i po prostu piękną dziewczyną, choć dziwnie twardą i może nazbyt ekscentryczną.

Zjawił się przed domem Zdobniaka w czarnej limuzynie z przyciemnionymi szybami i białymi oponami jako amerykański gangster z lat czterdziestych. Miał na sobie biały dwurzędowy garnitur w czarne prążki, czarną koszulę, biały krawat i kapelusz w kolorze sadzy z karminowym paskiem. Na stopach czarne buty z białymi getrami i guziczkami, jak te, w których Austerlitz vel Fred Astaire wytańczył swoje miliony i sławę najlepszego w świecie tańczącego kurczaka we fraku. Rozparty na tylnym siedzeniu palił grube, kubańskie cygaro.

Zdobniak siedział na trawniku przed domem w plastikowym fotelu pod parasolem i usiłował czytać Nienackiego. Czuł się fatalnie. Do tego stopnia fatalnie, że templariusze z powieści mylili mu się z proletariuszami, których pamiętał z minionego okresu, kiedy jeszcze nie pracował w dyplomacji, był młodo upieczonym inżynierem w fabryce produkującej odkurzacze i z bliska widział nędzę ludzi pracy. Szczególnie żal było mu młodziutkich dziewcząt, po całych dniach przykręcających wielkimi, ciężkimi śrubokrętami te plastikowe drzwiczki na zawiasach, czy jak to się tam nazywało, z dziurą, w którą wkłada się rurę ssącą.

Z domu wyszła Małgosia z dzbankiem soku.

- Marnie dziś wyglądasz – powiedziała. – Najwyraźniej nie służą ci nocne eskapady.
- Nie wiem, co się ze mną dzieje.
- Ustatkuj się. Wchodzisz w wiek średni.

Zdobniak skrzywił się. Małgosia nachyliła się nad nim.

– Masz siwe włosy na skroniach – zauważyła.

Zdobniak westchnął. Dotknął głowy.

– Zanedbałem się.

– Farbujesz włosy?

Zdobniak milczał zrezygowany. Poruszył szczękami. Do licha! Jeszcze niedawno mógł powiedzieć, że jego drapieżne, rekinie szczęki są niezłomne, nieugięte w niesieniu rozkoszy kobietom. A teraz? Czym są teraz? Zepsutym mechanizmem, plastikowymi drzwiczkami ze złamanym zawiasem!

– Chyba mam gorączkę.

Małgosia dotknęła jego wilgotnego czoła.

– Nie masz.

– Ale czuję się, jakbym umierał. Słowo daję...

Oboje spojrzeli na dziesięciometrową limuzynę zatrzymującą się przy krawężniku. Z limuzyny wysiadł dziarsko wyglądający kierowca w kaszkiecie i skierował się do furtki. Nawet nie pytał, czy może wejść.

– Mam wiadomość od pana Aquariususa – rzekł. Podszedł wprost do Małgosi. Gospodarza tego domu pominął.

– Jaką?

– Pan Aquarius zaprasza panią do środka – wskazał na limuzynę.

– On tam jest? – zapytała Małgosia.

– Jak najbardziej.

– A czego chce?

Kierowca podrapał się pod kaszkietem.

– Tego dokładnie to nikt nie wie, a jeśli chodzi o to tutaj, to proszę – podał Małgosi liścik. Małgosia przeczytała wiadomość. Podała liścik Zdobniakowi. Była do głębi poruszona. Wstrząśnięta. Nigdy by się tego nie spodziewała. Była również mile połączona.

– Wiele w życiu widziałem, – odezwał się Zdobniak zdumiony – ale żeby ten czubek kogoś przepraszał? – Rzucił liścik na ziemię. – On do ciebie nie pasuje.

– Ty sam chciałeś...

– Pomyliłem się. To nie jest zajęcie dla ciebie.

– Jeśli zaproponuje mi pracę...

– Nie musisz pracować. Będziesz mieszkać u mnie. Jako dyplomata, obserwator i wysłannik zarabiam kupę forsy...

– Jak ty to sobie wyobrażasz? Kim ja mam być? Twoją utrzymanką?

Książka Nienackiego upadła na trawę. Zdobniak wyciągnął drżący palec w stronę kierowcy:

– Co, do cholery? Dziewuchy puszczają się z jego garbatym lokajem, żeby załatwić im casting, a tu nagle sam, osobiście przyjeżdża...

– Wisi mi to – przerwał mu kierowca.

– Nie może się trzymać jednego? Tego, że jest skurwysynem?! Co to za jakaś pieprzona demonstracja?! Jakaś fałszywa wielkoduszność?!

– Szef ostatnio myśli, że jest Jezusem. A Jezus miał gest, nie? – odparł kierowca.

– No... miał – przyznał Zdobniak niechętnie.

Kierowca spojrział na Małgosię.

– Jestem gotowa – rzekła.

– Nie jedź z nim! – wykrzyknął Zdobniak.

– Pojadę.

– Błagam!

– Nie przejmuj się. Przecież nie zrobi mi krzywdy. Prawda? Skoro myśli, że jest Jezusem?

– Jasne – odparł kierowca. – Tyle, że akurat dzisiaj nie jest Jezusem.

– A kim jest?

– Alem Capone.

– Kim? – Zdobniak zamrugał.

– Ta liga nie jest dla pana – stwierdził kierowca. Obdarzył spoconego Zdobniaka pogardliwym uśmiechem. Ruszył do samochodu. Małgosia poszła za nim. Kierowca otworzył przed nią drzwi. Wsiadła. Samochód odjechał. Zdobniak siedział chwilę nieruchomo, po czym zerwał się z fotela i wbiegł do domu.

– Wiem – rzekł Aquarius krótko, kiedy Małgosia usiadła obok niego.

– Tak? – Małgosia uniosła brwi. Spojrzała głęboko w oczy ocienione rondem kapelusza.

– Ty nie lubisz sentymentalnych mężczyzn.

– Sentymentalnych tak, ale...

Aquarius uniósł małą, wąską dłoń.

– Nie zaprzeczaj. Tobie odpowiadają twardzi faceci. Sama jesteś twarda i szukasz twardych facetów. No, więc ja jestem tym twardym facetem – rozpiął marynarkę i odchylił poję ukazując kaburę na białej szelce.

– Ten gnat nie strzela budyniem.

– A czym?

– Dobrze wiesz, czym. Nie udawaj pierwszej naiwnej, Lulu.

– Gdzie chcesz mnie zabrać?

– Na ćwiczenia do „75”, a potem na kolację do „Kocięgo ogona”.

– Myślałam, że na romantyczną przejażdżkę.

Aquarius uśmiechnął się pogardliwie i wyniośle.

– Dzisiaj człowiek nie ma czasu na takie rzeczy. To było dobre kiedyś. Z kolei prostactwo naszych współczesnych bandytów zupełnie mi nie odpowiada. Jak można się tak ubierać, jak oni? Kompletnie bez gustu. Buraki. O jakimś indywidualnym stylu i tradycji nawet nie wspomnę. No, ale od kogo mieli się uczyć?

Po drodze Aquarius demonstrował Małgosi zalety wielkiego samochodu: barek, GPS, video, pokładowy komputer i kierowcę w kaszkiecie o imieniu Edek.

– Drogi samochód – zauważyła Małgosia. Aquarius patrzył na jej gołe kolana. Zsunął dźwiękoszczelną szybę oddzielającą ich od Edka i zaciągnął zasłonkę.

– Podobasz mi się – nachylił się i pocałował Małgosię. Jego usta miały gorzki smak tytoniu. Wargi Małgosi smakowały sokiem z owoców. Były miękkie, słodkie, gorące i doprowadzały Aqu-

ariusza do ekstazy połączonej z udręką. Nad głowami kochanków zapaliło się czerwone światełko i z głośnika spłynął łagodny głos Edka:

– Ktoś za nami jedzie, szefie. Przepraszam, że przeszkadzam.

Aquarius nacisnął guzik. Roleta na tylnej szybie podniosła się.

– Czerwone BMW, szefie. Jedzie za nami od pierwszej chwili.

– Brawo, Edek – stylistą nacisnął inny guzik. Dźwiękoszczelna szyba opadła, Aquarius wręczył Edkowi dziesięć złotych. – Kupcie dzieciakom cukierki.

– Nie mam dzieci, szefie. Nie lubię bachorów.

– No to kupcie sobie, co tam chcecie. I zgubcie go.

– Jasne, szefie. Dziękuję.

Małgosia spojrzała za siebie. Rzeczywiście, jechało za nimi czerwone BMW.

– Kto to?

– Źli ludzie.

– Czego chcą?

– Konkurencja. Chcą mi wykraść nową kolekcję – Aquarius nacisnął jeszcze jeden guzik.

W bocznej ścianie samochodu ukazał się mały sejf. Aquarius otworzył go i wydobył płytę CD.

– Ale ja jestem cwańszy od nich. Tobie pierwszej to pokazuję. Za te projekty oddaliby pół życia. Powstawały w natchnieniu.

Na plazmowym ekranie wbudowanym w ścianę oddzielającą kabinę kierowcy od reszty samochodu pojawiły się śmiałe, fantastyczne projekty, ale zanim Małgosia zdążyła się im uważniej przyj-

rzeć, samochód gwałtownie skręcił. Małgosia wpadła na Aquariusa. Stylista przyciągnął ją ramieniem.

– Nie bój się, Lulu. Przy mnie nic ci nie grozi.

– Nie boję się.

– Jesteś twarda. Dobrze wiedziałem.

– Nie jestem.

– Czy moje projekty podobają ci się?

– Ani trochę.

– Dlaczego?

– Co to takiego?

– Szarawary z elementami klasycznego smokingu, który przechodzi w uroczy damski kołpaczek obszyty futerkiem z soboli. Propozycja dla nieortodoksyjnych pederastów i odważnych lesbijek.

– Hm.

– Tak. Poszukiwałem inspiracji na wschodzie. Wschód to przyszłość. Wschód to również nasza polska tradycja: Biernat z Lublina, Jan z Czarnolasu, Maćko z Bogdańca, mały rycerz, pan Tadeusz, i tak dalej. Ja nie mam kompleksów wobec Europy.

Samochód skręcił w lewo i w prawo, znowu w lewo i prawo, jakby Edkowi sprawiało to przyjemność. Aquarius też był zadowolony. Schował płytę do sejfu. Opuścił szybę.

– Jak, Edek?

– Zgubiliśmy go, szefie.

- Zatem do „75”. Wolno. Nasza dama nie lubi ostrej jazdy.
- Się robi, szefie.
- Coś za łatwo wam to przyszło, chłopcy – stwierdziła Małgosia.
- Co masz na myśli, Lulu? Edek uciekłby nawet przed promieniem lasera.
- Nie wątpię – Małgosia uśmiechnęła się. Kierowca odpowiedział jej szczerząc zęby do lusterka.
- Uważaj, Edek, ta młoda dama wali prawdę prosto z mostu.
- Nie mam nic do ukrycia, szefie. Jestem skromnym facetem.

Aquarius zapalił nowe, doskonałej jakości cygaro. Miał ich setkę w szkatule z malachitu, ukrytej w kolejnej ścianie samochodu.

– Napijesz się? – zapytał. Z głośnika wypłynęły dźwięki swingującej muzyki z niezapomnianych lat czterdziestych. Małgosia z każdą chwilą coraz bardziej doceniała komfort tego samochodu.

- Szwepsa – poprosiła. Stylista spełnił jej życzenie. Napila się i posłała mu promienny uśmiech.
- Miło? – zagadnął, wyraźnie zrelaksowany.
- W miarę.

Aquarius długo i twardo wpatrywał się w oczy Małgosi. Zabrał się do tego dość nieoczekiwanie. Jeśli Małgosia miała zmięknąć od tego spojrzenia, to nie zmiękła. Milczenie przeciągało się. Aquarius zamierzał wyjawić Małgosi wielką tajemnicę.

– Wiesz, dlaczego chciałem się z tobą zobaczyć? – spytał w końcu. – Dlaczego przyjechałem po ciebie, choć nie mam tego zwyczaju? Wreszcie, dlaczego pokazałem ci najnowszą kolekcję, za którą faceci z Londynu proponowali mi w ciemno pięć milionów dolarów?

– No właśnie? Chyba nie po to, żeby się ze mną przespać? Bo gdybyś chciał się ze mną przespać, to pewnie przyjechałbyś w wielkim łożu z baldachimem, ubrany w szlafrok trzy czwarte.

Stylista słuchał Małgosi wypuszczając w milczeniu dym, ogromnie skupiony.

– Fascynujesz mnie – powiedział wreszcie, bardzo z siebie zadowolony.

– Tak?

– Jest w tobie siła, której ulegają mężczyźni.

– Ta siła, to ładna pupa. Tak było od początku świata.

– Czy wiesz, co robią te wszystkie dziewczątka, które marzą, by zostać modelkami? Zdejmują majtki i siadają mi na kolanach. A gdybym chciał, to siadałyby mi na twarzy. Tymczasem mężczyzna pragnie kobiety, którą może szanować.

– Więc ty mnie szanujesz dlatego, że nie oddałam ci się przy pierwszym spotkaniu?

– Czy to mały powód? – Aquarius był naprawdę zdumiony. – Nigdy czegoś takiego nie przeżyłem.

– W dzisiejszych czasach? – zastanowiła się Małgosia. – Naprawdę chcesz spotkać kobietę, którą będziesz mógł szanować?

– Owszem.

– Dlaczego chcesz mnie szanować?

– Wam, kobietom, wydaje się, że mężczyźni są gruboskórni, egoistyczni, a tymczasem jesteśmy istotami pragnącymi jedynie ubóstwiać kobietę. Dla kobiety godnej ubóstwiania mężczyzna, oczywiście mężczyzna odpowiedniego formatu, gotów jest zmienić świat. W tym względzie historia

jest bardzo pouczająca, że wspomnę tylko o pięknej Helenie i tych facetach, którzy z jej powodu wzięli się za łby.

Małgosia z wrażenia zaniemówiła. Stylista wprost wsysał się w nią wzrokiem.

– Jestem godna twojego ubóstwiania? – zapytała ostrożnie.

– Tak. Jak najbardziej.

– Więc ty mnie ubóstwiasz?

– Jeszcze nie, ale czuję, że to niebawem nastąpi. Nadajesz się do ubóstwiania. Nie cierpię łatwych kobiet. Na świecie są wyłącznie łatwe kobiety, przejadły mi się, jestem nimi znudzony. Żadna nie ma w sobie aury tajemniczości, są tak prozaiczne, kiedy są nagie, takie trywialne, nudne jak przeczytana książka, wszystkie puenty wybrzmiały, intryga wygasła, pozostał spis treści – spoglądał na Małgosię wzrokiem, który nagle przygasł jak płomyk świecy zdmuchnięty przez wiatr.

Małgosia usiłowała się otrząsnąć.

– A jak twoje lewe interesy?

– Lewe interesy?

– Jesteś gangsterem.

– Och! – Aquarius poruszył się. – Dziś jestem gangsterem, jutro mogę być kimś innym. Kwestia samopoczucia.

– Człowiek o stu twarzach?

– Zgadłaś, maleńka. W końcu działam w showbizie.

Małgosia doszła do wniosku, że jej ironia, docinki, aluzje, robienie min są do niczego, bo Aquarius był najbardziej serio mężczyzną, jakiego udało się jej spotkać.

– Łatwe kobiety wzbudzają we mnie pogardę – powiedział Aquarius i tym samym przypieczętował los Małgosi.

Obsługa „75” nie mogła się nachwalić nowego pomysłu słynnego kreatora. Dziewczęta przewracały oczami, a mężczyźni zginali się wpół, trafiani pociskami z magnum 44, kiedy Aquarius strzelał do nich z obu wskazujących palców. W ten sposób on i Małgosia dotarli do garderoby.

– Poczekaj na mnie – wymruczał i zniknął. Małgosia była szczerze ciekawa, kogo ujrzy w siłowni, bo na pewno nie będzie to Aquarius jako taki, saute, w skali jeden do jeden. Może Herkules lub Samończyk w kolorowych majtkach i kwietnym wieńcu?

Aquarius przebrał się za biblijnego Samsona. W syntetyczną lwią skórę noszącą metkę z napisem: „Niedościgniony styl Aquariususa – historyczne stroje sportowe”. Małgosia od razu odgadła, że przypadła jej rola Dalili. Jeśli Samson-Aquarius był na tyle wyrafinowany, by oddawać się grze symboli, to musiał się liczyć z utratą sił w ramionach pięknej Filistynki. Na głowie stylisty pyszniły się puszyste loki spływające do połowy wąskich pleców. Nie miał oslej szczęki na kij, tej straszliwej broni służącej rozłupywaniu czaszek konkurencji, ale też nie byłaby mu specjalnie potrzebna, w całym „75” miał wyłącznie przyjaciół.

– I jak? – zapytał wypinając wątlą, zapadłą pierś.

– Imponujące – odparła.

– Chcesz zobaczyć jak ćwiczę?

– Niespecjalnie.

Aquarius przyciągnął Małgosię do wyperfumowanej klatki piersiowej.

– Moja mała Lulu.

– Jeszcze nie.

– Już wkrótce. Chciałbym, żebyś zobaczyła, jak ćwiczę.

– Może innym razem?

– A jak twoje ćwiczenia?

– Jeszcze nie zaczęłam.

– Sądziłem, że poćwiczymy razem.

– Wolałabym, żeby Edek odwiózł mnie z powrotem.

– Jesteś zawiedziona?

– Owszem. Rozczarowuję się za każdym razem.

– Co cię z nim łączy?

– Z kim?

– Z tym... Zdobniakiem?

– Nic.

Ktoś zapukał do drzwi. Rozległ się dziarski głos Zygryda:

– Gotowe, panie Aquariusie.

– Chodź – stylistą położył rękę na ramieniu Małgosi. – Chcę, żebyś zobaczyła jak ćwiczę. Viens!

– pociągnął ją. – Viens, ma petite colombe!

– Nic z tego. Nie mam ochoty gapić się jak ćwiczysz.

– To piękny widok. Mam młode ciało. Ono gra, kiedy ćwiczę.

– Miałam ochotę na przejażdżkę, potem spacer w parku, karmienie łabędzi ciastkami i paplaninę o niczym specjalnym.

– Więc poczekaj na mnie tutaj.

– Nie będę czekać na żadnego mężczyznę, choćby był tak doskonały jak sam Jezus? – spojrzała na niego pytająco.

– No, od pewnego czasu rozmyślam o tamtych dniach: o krzyżu, Golgocie, tunikach, chitonach, rzemiennych sandałach... biel, beż, czerwień krwi pierwszych chrześcijan splukana uporczywymi deszczami, rzymskie peleryny z zapinkami z brązu, kaduceusze, cierniowe kolce... funkcjonalność, prostota a zarazem jakie wyrafinowane połączenie materialnej natury i filozofii tego wielkiego kreatora idei...

– Do zobaczenia.

– Kiedy się spotkamy?

– Kiedy tylko będziesz miał na to ochotę. Przecież to takie oczywiste.

Małgosia wyszła. Czekający w korytarzu Zygfryd puścił do niej oko.

– Wspólne ćwiczonko?

– Nie tym razem – rzuciła mu. – Twój pan pomyślał, że mógłby zostać Jezusem, a ja przecież nie jestem Marią Magdaleną.

Zygfryd zmarszczył niskie czoło, oczy zlały mu się w jeden wypukły punkt, jak to zwykle u niego, kiedy brał się za myślenie. Zastanowił się głęboko nad słowami Małgosi, zwłaszcza nad tym fragmentem o Marii Magdalenie. Nigdy wcześniej o niej nie słyszał. Poczuł się dotknięty.

Zawsze wydawało mu się, że Jezus kręcił się wyłącznie w towarzystwie młodych, przystojnych facetów.

Edek stał oparty o samochód, palił i kartkował japońską pornograficzną mangę dla homoseksualistów.

– Dokąd? – spytał.

– Donikąd.

– Jak pani każe.

– Tam, skąd przyjechaliśmy.

– Szef zostaje?

– Tak. Będzie ćwiczył. To wielki dzień dla nas wszystkich.

Edek zaśmiał się pod nosem. Otworzył przed Małgosią drzwi samochodu. W trakcie jazdy rewidował swój stosunek do kobiet. Uważał je dotychczas za istoty mocno przereklamowane. Ale od kiedy poznał Małgosię uznał, że jednak coś w tym jest, że na przykład sporo facetów o głośnych nazwiskach napisało wiersze o miłości do kobiet. Widocznie były podobne do Małgosi.

Zerknął we wsteczne lusterko.

– Znowu mamy na karku ptaszka w czerwonym BMW – oznajmił. Małgosia obejrzała się.

– Naprawdę nie wiesz, kto to jest?

– Słowo daję, że nie.

– Sadziłam, że to ktoś wynajęty przez Aquariususa. To w jego stylu.

– Tak? A po co?

– Dla efektu.

- Wiedziałbym o tym – oznajmił Edek z przekonaniem.
- Albo i nie.
- No dobrze. Mógłbym się dowiedzieć.
- Przekonajmy się.
- Jak pani chce.

Edek przyspieszył. Czerwony samochód również. Jeździli parę minut kręcąc się w kółko. Edek, nie bez satysfakcji, dał popis ostrej jazdy. Za którymś z rogów krzyknął do Małgosi, żeby się trzymała, po czym gwałtownie zahamował. Czerwony samochód z piskiem opon zatrzymał się parę centymetrów za limuzyną. Edek błyskawicznie wyskoczył zza kierownicy i wprawnie wyłuskał z czerwonego samochodu wystraszonego Roberta Zdobniaka. Zrobił mu syfona.

- Okej! – wrzasnął Zdobniak. – Poddaję się!

Edek spojrzał na Małgosię. Małgosia skinęła głową. Edek puścił Zdobniaka.

- Dlaczego nas śledziłeś? – zapytała Małgosia ostro.
- Sam nie wiem – Zdobniak otrzepał się.
- Głupia odpowiedź.

- Wiem, ale nie przychodzi mi do głowy nic innego.

- Możesz jechać, Edek – Małgosia zwróciła się do kierowcy – wróć z tym panem.

– Jak pani chce. No, no? – Edek pokręcił głową wciąż zaskoczony. – A myśmy myśleli, że konkurencja chce wykraść nową kolekcję szefa.

– Gwarantuję, że nikt nie ukradnie nowej kolekcji twojego szefa – burknął Zdobniak wyraźnie uprzedzony.

- Nie?
 - Możecie śmiało przekazać nową kolekcję do Muzeum Idiotycznych Przedmiotów, Kretyńskich Pomysłów i Debilnych Wynałazków Popkultury.
 - Wisi mi to – odparł Edek i odjechał. Wolał nie wdawać się w ryzykowne dyskusje o kulturze.
 - Dlaczego on to zrobił? – zastanowił się Zdobniak marszcząc czoło.
 - Kto?
 - Aquarius. Nigdy nie kiwnął palcem, żeby zdobyć kobietę. Jest na to zbyt próżny.
 - Jest próżny – zgodziła się Małgosia.
 - Skąd u niego tyle starań? Co on takiego w tobie widzi?
- Małgosia nie uważała za konieczne informować Zdobniaka o tym, co Aquarius w niej widzi. Powiedziała tylko:
- Twoja uwaga jest obraźliwa.
 - Przepraszam. Naturalnie, jest w tobie coś. Coś takiego... – zrobił gest ręką... – trudno to wyrazić słowami... ale, do diabła, dlaczego jemu chciało się to coś w tobie zobaczyć? Gówniarz!
- O czym rozmawialiście?
- Trzeba było założyć podsłuch w jego samochodzie albo przekupić Edka.
- Zdobniak zrobił płacziwą minę.
- Powiesz, o czym rozmawialiście?
 - Nie powiem.
 - Ja się poniżam – jęknął. – Nie wiem, co się ze mną dzieje.
 - Za to ja wiem.

– Co takiego? – zerknął na Małgosię przez szparę między palcami.

– Zakochałeś się.

– Ja?

– Ty.

– W kim?

– We mnie, oczywiście.

Zdobniak długo kręcił głową nie mogąc się zdecydować. Wreszcie przytaknął.

– Chyba masz rację.

– Twój problem.

– Rzeczywiście.

Nagle odwrócił się do Małgosi puszczając kierownicę.

– I ty to mówisz tak spokojnie? Najpierw poniżasz mnie zmuszając do zwierzeń i śmiejąc się z moich zgryzot, potem rozkochujesz w sobie, żeby powiedzieć, że to jest wyłącznie mój problem?!

Zdobniak zatrzymał się niemal w miejscu. Z tyłu rozległa się wściekłe trąbienie.

– Nie jesteś dziewicą! Może udajesz mentalne dziewictwo, ale naprawdę to już nie jesteś dziewicą! Ten głupek zabrał ci niewinność, więc nie jesteś pierwszą i jedyną dziewicą w moim życiu i nie wolno mi się tak bardzo podniecać z tego powodu! Nie mogę ulegać fantasmagoriom! Nie mogę cię widzieć inną, niż naprawdę jesteś!

Zdobniak walił pięścią w kierownicę.

– Co mnie podkuśiło, żeby spotkać się wtedy z wami w tej zaszranej knajpie! Nie cierpię Skoczka, cholernego gamoniowatego maminsynka, więc dlaczego zgodziłem się?! Dlaczego, na rany Chrystusa?!

– Przeznaczenie. Fatum. Miałeś spotkać właśnie mnie i zakochać się. Wcześniej miałeś być playboyem beztroskim, żeby zamienić się w playboya monogamicznego. Co samo w sobie jest niedorzeczną sprzecznością. To bardzo sprawiedliwa i zasłużona kara. Będziesz cierpiał, jak wcześniej radowałeś się. Byle czym zresztą. A co do mojego dziewictwa, to istotnie, nie mam go od dawna i to nie Jaś mi je zabrał. Ktoś zupełnie inny.

– Kto?

– Odczuwasz potrzebę dowiadywania się o mnie wszystkiego?

Zdruzgotany Zdobniak kiwnął głową.

– Czujesz zazdrość, że to nie ty pozbawiłeś mnie cnoty? Nienawidzisz tego, komu pierwszemu pokazałam swoją... no wiesz?

Zdobniak znowu kiwnął głową. Żadne słowo nie chciało mu przejść przez gardło. Czuł się jak ostatni śmieć, godny pogardy, to znów jak godna litości ofiara jakiejś szatańskiej intrygi. Zawiedziony, srodze zawiedziony na całym świecie. Zwabiony w pułapkę. Przez głowę przebiegały mu rozpaczliwe zawołania:

– Nie zasłużyłem sobie na to! Niczym sobie nie zasłużyłem! Nigdy nie wyzyskiwałem kobiet, więc za co miałyby mnie spotkać taka kara? Nie byłem męskim szowinistą i nie należałem do żadnego klubu dla twardzieli, w rodzaju tych, w których przebierają facetów za komandosów i każą się zabijać z pistoletów na farbę! Wszystkie oferty i formularze członkowskie wyrzucałem do

kosza! To niesprawiedliwe, panie Boże! Może mam to i owo na sumieniu, ale nigdy nie traktowałem kobiet gorzej, niż one mnie. Stworzyłeś te istoty również dla własnej przyjemności! Żeby sobie popatrzeć. Więc dobrze, nie mówię, że to zły pomysł, od patrzenia jeszcze nikomu nie ubyło na świętości, ale jeśli się raz powiedziało, że kobiety mają uprzyjemniać mężczyźnie życie, to trzymajmy się tego. Nie proszę cię o nic więcej, jak tylko o konsekwencję i dotrzymywanie danego słowa. W końcu jesteśmy facetami, obowiązuje dżentelmeńska umowa. Kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera! Kobieta nigdy nie była mi źródłem cierpienia i chcę, żeby nadal tak było! Chyba, że dążysz do ogólnoswiatowej rewolucji! Daję słowo, że wtedy stanę na czele zgnojonych facetów i poprowadzę ich na barykady!

Małgosia poważnie spoglądała na Zdobniaka. A Zdobniak cierpiał widząc jej szerokie, lazurowe oczy pełne wesołości przemieszanej z rzewną melancholią, prosty nos, czerwone wargi, których wcale nie musiała malować, żeby wyglądały świeżo i słodko, przywodząc na myśli sierpniowe wiśnie rozpalone słońcem południa, mocny podbródek i lekko pucułowate policzki, które zachowały dziecięcy urok. Pojął naraz, że od pierwszej chwili, kiedy ujrzał tę dziewczynę w „Madrygale” zapragnął ją pożreć. Unicestwić. Zjeść, połknąć, udławić się nią. Pojął, że jest nie dość mężczyzną, by zapanować nad jej ciałem, że brakuje mu tego i owego, choć obdarzony przez naturę w nadmiarze, to jednak niedostatecznie, by posiadać tę jedyną, dumną, wyniosłą, niezależną istotę. Poczuł, że brakuje mu instrumentów, narzędzi, dzięki którym mógłby zawładnąć Małgosią, jakby krótkimi ramionami usiłował objąć pień wielkiego drzewa.

– Ale czego mi brak? – zastanawiał się. – Mam wszystko na swoim miejscu. Może chodzi o jakieś cechy charakteru? O sprawy duchowe? Lub, nie daj Boże, psychikę? Jestem powierzchowny, przyznaję, ale nie stuknięty.

Jeśli dotąd spędzał wiele godzin przed lustrem pieszcząc zadowolonym wzrokiem swoje ciało utrzymane w znakomitej formie, przyrównując siebie do posągu dłuta wielkiego Fidiasza, to teraz oglądał się strwożony, szukając tego czegoś, czego nie miał, a czego brak tak boleśnie odczuwał.

– Więc ty mnie kochasz – stwierdziła Małgosia cicho i miękko, ze współczuciem. W odpowiedzi Zdobniak wrzucił bieg i ruszył przed siebie. Gdzie oczy poniosą. Zupełnie nie słyszał natarczywego trąbienia ani wrzasków kierowców.

– Przyjmę twoje wyroki z podniesionym czołem, Panie, – obiecał w duchu – choć ostrzegam, że nie dam się otumanić tej dziewczynie, mimo, że jest tak piękna i doskonała w każdym calu, że można ją pokazywać facetom z kosmosu jako wzór ziemskiej kobiecości.

Czekała ich niespodzianka. Przed domkiem Zdobniaka stał posępny, czarny ford scorpio Waltera Skoczka. Na tle ścian w kolorze piernika, wesołych, zielonych okiennic i tchnących niewinnością, żółtych drzwi wyglądał jak czająca się do skoku czarna pantera. Ojciec Jasia sforsował furtkę i najpierw tłukł się do drzwi, szarpał klamkę, potem posiedział w fotelu pod parasolem przerzucając stronice wyświechtanej książki Nienackiego, którą znalazł w trawie, a teraz przechadzał się energicznie pod drzwiami domu podrzucając głowę i wydając wojownicze pomruki. Odczuwał pragnienie zemsty na całym świecie i na Zdobniaku oraz Małgosi w szczególności. Co do całego świata, to rzecz polegała na tym, że „Polski Kogut” okazał się taką samą łajdacką korporacją jak „Polska Blacha”. Wczoraj na zamknięciu giełdy notowania „Koguta” wynosiły dziewięć przecinek

osiem, podczas gdy Walter przedwczoraj kupił akcje po dwanaście przecinek czterdzieści trzy. Zadzwoił do biura handlowego „Polskiego Koguta” i tam mu powiedzieli, że mieli w jednym z kurników zarazę, ale sytuacja jest już opanowana. Walter nie należy do ludzi łatwowiernych, więc pojechał osobiście na fermę. Co prawda nie pokazali mu martwych kur, które zabrała już firma produkująca z upierzonych trupków mączkę na karmę dla innych kur, ale zobaczył czysty, schludny kurnik śmierdzący lizolem. Walter nie jest naiwniakiem, więc na wszelki wypadek zadzwonił do swojego maklera.

– Żadna zaraza – powiedział mu makler, zastrzegając, że w zasadzie nie powinien wiedzieć tego, co wie. – Nie padła im ani jedna kura.

– Co pan wie?

– Domyślam się. Zawyżyli w prospekcie emisyjnym wielkość stada, a tym samym wartość spółki. A dziś rano puścili sto dwadzieścia tysięcy własnych akcji po kursie otwarcia siedem przecinek trzynaście. To początek końca, panie Skoczek.

– Kto dał dyspozycję?

– Ich księgowy. Ale to za duża transakcja jak na jednego udziałowca, nawet zasiadającego w zarządzie.

Walter kazał maklerowi sprzedać wszystkie akcje „Koguta”. Pozostała mu gigantyczna strata finansowa i irracjonalny żal do Małgosi, że, choć pochodziła ze wsi, nie znała się na sektorze spożywczym, w szczególności drobiarskim i nie ostrzegła Waltera przed złodziejami i oszustami z drobiarskiej korporacji.

Wojownicza postawa Waltera brała się także z faktu, że do uczuć miłości i pogardy, jakie żywił przez całe życie wobec syna niedojdy dołączyło się emocjonujące, ożywcze jak powiew wiatru od morza uczucie tryumfu i wypełniającej się w tych dniach zemsty. Od jakiegoś czasu utrzymywał z synem łączność telefoniczną. Informacje od Jasia odbierał jak meldunki z okopów. W swoim gabinecie utworzył sztab główny, z sobą w roli generała, i wbijał w mapę kraju niebieskie chorągiewki oznaczające miejsca pobytu tej „nieczulej, zakłamaney dziwki Goški Strumyk” i czerwone, którym odpowiadało położenie oddziału ekspedycyjnego dowodzonego przez porucznika Jana Skoczka.

Zdobniak najpierw dostrzegł samochód Waltera, a za chwilę jego samego. Nie namyślając się, wcisnął głowę Małgosi pod deskę rozdzielczą, nacisnął na gaz i przemknął obok otwartej furtki swojego domu, zanim Walter zdążył otworzyć usta.

– Co robisz?! – wrzasnęła Małgosia oburzona.

– Uratowałem ci życie! Ten sukinsyn rozszarpałby cię na kawałki!

Zdobniak objechał cały kwartał, zanim się zatrzymał. Cały czas zaglądał we wsteczne lusterko wypatrując samochodu Waltera.

– Groziło ci wielkie niebezpieczeństwo – usiłował się wytłumaczyć.

– Przeciwnie! To ty musiałbyś wiele wyjaśnić! Nie zamierzam tu tkwić w nieskończoność! Jedziemy do ciebie albo wysiadam!

– Nie możemy wrócić, ten drań...

Małgosia otworzyła drzwi.

– Dobra. Wracamy. Ale pamiętaj, że sama tego chciałaś.

Walter Skoczek czekał. Jakże on umiał czekać. Najpierw czekał, żeby jego żonę wzięli diabli, a kiedy doszedł do wniosku, że to nigdy nie nastąpi, bo Izabela sama jest diabolicą i ma układy z całym piekłem, zabrał się do kształtowania charakteru dorosłego syna i właśnie teraz zbierał owoce swojego pedagogicznego trudu.

Obrzucił Zdobniaka podejrziwym spojrzeniem. Natomiast na widok wysiadającej z samochodu Małgosi zaniemówił.

– Jaś... – wyciągnął palec w nieokreślonym kierunku, który w zamyśle miał jednak oznaczać las, w którym błędził Jaś. Na więcej nie starczyło Walterowi sił i pomysłowości.

– Co za spotkanie? – Zdobniak zaśmiał się lekko. – Małgosia właśnie przyjechała z Nowego Targu. A Jaś został w lesie. Przyjazd Małgosi całkiem mnie zaskoczył. Wracamy z dworca. Małgosia dzwoniła do mnie, nie zdążyłem zawiadomić Jasia, jest w lesie, wie pan, jak to jest w lesie – rozłożył ręce.

– No właśnie! Ja wiem, jak to jest w lesie! Pytanie, co on tam robi? – Walter poczerwieniał.

– Jaś w lesie szuka Małgosi – odparł Zdobniak umiejętnie panując nad sytuacją.

– Czy to pan namówił Jasia do szukania mnie, czy też robi to z własnej woli? – zapytała Małgosia. Ta kwestia bardzo ją interesowała.

– Ja – Walter wyprostował się z dumą. Małgosia milczała. Tylko lekko pobladła.

– Jaś jest moim synem. Krew z krwi, kość z kości – dodał Walter.

– Co pana do mnie sprowadza? – Zdobniak uśmiechał się nieustannie.

– Jaś nie może się do ciebie dodzwonić. Chciał, żebym sprawdził, czy jesteś w domu. Jesteś i to jak jeszcze!

– Mam zepsuty telefon.

- Czuję, że coś tu nie gra!
 - Co takiego? – zapytał Zdobniak.
 - Gdzie są jej bagaże? – Walter spojrział groźnie na Małgosię.
 - Ona nie ma bagaży, panie Skoczek. Wszystko zgubiła w lesie. Dlatego przyjechała. Biedactwo.
 - A dlaczego nie zatrzymałeś się, Zdobniak, kiedy mnie zobaczyłeś? Co?
 - Coś sobie przypomniałem.
 - Może numer jej majtek? – Walter uśmiechnął się zjadliwie, jednak jego baterie powoli wyczerpywały się.
 - Para oszustów! – wykrzyknął wznosząc ręce. – Przyłapałem was w gniazdku, które sobie uwiliście na krzywdzie mojego syna!
 - Daję słowo, panie Skoczek, że przed chwilą wróciliśmy z dworca!
- Zdobniak zrobił zbolałą minę. Bardzo dzielnie bronił Małgosi przed gniewem seniora, co Małgosi było właściwie obojętne. Walter oklapł.
- Muszę zawiadomić Jasia, że ona tu jest – postanowił. – Przyniosłaś wstyd naszej rodzinie, ty ścierko. Mój syn dopadnie cię i przykładowie ukarze, choćby miał stracić na to całe życie, resztę swoich najpiękniejszych dni. Zabraniam ci się stąd gdziekolwiek ruszać, masz tu czekać na Jasia. Jakie to szczęście, że nie został mężem tej wywłoki – powiedział do Zdobniaka wyciągając oskarżycielsko ramię w kierunku Małgosi. – Przyprawiałaby mu rogi z zakrystianem zanim świece w kościele wystygną!
- Zmęczony wpatrywał się w twarz Małgosi.
- Kto to jest Dziobas?! – wrzasnął nagle siniejąc. Zachwiał się. Zdobniak uznał za konieczne stanowczo interweniować.

– Pan ją źle ocenia, panie Skoczek. Czy ona nie jest podobna do anioła? Może to my wszyscy jesteśmy wobec niej niesprawiedliwi?

– Kto „my”?

– My. Pan, ja, Jaś. Mężczyźni.

– Czyżbyś jaja postradał? O czym ty mówisz, chłopcze? Jeśli ona jest aniołem, to na pewno grzesznym aniołem. Rodzą się takie po to, żeby wykańczać facetów. Taka jest ich rola i tylko na tym się znają! Dawno temu też uważałem, że Izabela jest aniołem. Zaślepienie, zwykłe zaślepienie! Nie poznaję cię, Zdobniak. Ty się zmieniłeś. Nie należysz już do naszego klubu. Czytasz jakieś bzdury dla dzieci!

Walter spojrział z bezmierną pogardą na książkę Nienackiego. Zdobniak zawstydział się. Spuścił głowę. Małgosia ruszyła do domu. Była im najzupełniej nieprzydatna. Z okna słyszała rozmowę obu mężczyzn:

– Nie ma pan racji. Właśnie zamierzałem wybrać się na dziwki.

– Nie wierzę. Straciłeś klasę, chłopcze – zadrwił Walter ponuro.

– Bzdury!

– A co zrobisz z tą tam? – Walter kiwnął głową.

– Zostanie w domu. Nie będę woził drzewa do lasu – odparł Zdobniak chętnie.

– Nie trzymaj jej w domu, bo cię opęta jak Jasia.

Zdobniak zaśmiał się gorzko, z rezygnacją. Oto sposobna chwila, żeby, na przykład, zagłębić się w rozważania na temat związków człowieka z naturą: zew krwi, krew nie woda, ciągnie wilka do lasu, pies na kobiety. I tak dalej. I te cholerne hormony. Te gruczoły rozsiane po całym ciele, gdzie człowiek nie spojrzy, wszędzie widzi jakiś gruczoł rozpalony niczym wulkan...

– Ona jest drogą cizią – ciągnął Walter wrzaskliwie. – Musiałem zapłacić tym facetom z „Weselnego Jadła” za całe żarcie, którego nikt nie tknął. Wyrzuciłem kupę forsy w błoto na te wszystkie wyszukane potrawy, które ona powymyślała! Jakby nie można było już jeść schabowych! Słyszałem, że w takich wypadkach należy się mały rabat, więc mówię temu grubemu, żeby zabrał jedzenie, a oddał trochę forsy, a ten pyta: „Niby dlaczego?” Gdybyśmy wrócili wcześniej z kościoła, to on mógłby wsadzić żarcie do lodówki i użyć go gdzie indziej, ale weselnicy się grzebali i żarcie nie ma już tej świeżości. Tym podobne trele morele! Kazałem mu się wynieść z mojego domu!

– Co za ludzie! – Zdobniak był oburzony. – W dzisiejszych czasach człowiek człowiekowi jest wilkiem!

Skoczek ściszył głos:

– Posłuchaj no, chłopcze, wczoraj przyszedł rachunek z gabinetu doktora Dziobasa. Ginekologa. Wiesz, co to za jeden?

– Nie mam pojęcia.

Walter spoglądał podejrzliwie.

– Słowo daję. Pierwsze słyszę. Jakiś Dziobas?

– W każdym razie nie zapłaciłem mu. Ani mi się śni bulić jakiemuś konowałowi za reperację jej tyłka.

– Jasne – zgodził się Zdobniak ochoczo.

– A co do ciebie, to my się jeszcze policzymy.

– Nie ma sprawy – odparł Zdobniak nadrabiając miną. – Ja mam czyste sumienie.

Walter Skoczek odjechał, a Zdobniak pobiegł do domu. Drzwi od pokoju Małgosi zastał zamknięte. Zapukał.

– To ja, Robert – powiedział.

– Wiem, że to ty.

– Chcę ci powiedzieć coś ważnego. Otwórz.

– Że mnie kochasz, czy to, że wybierasz się na dziwki?

– Jakie dziwki? – zdumiał się Zdobniak.

– Dzwinki z Marsa. Właśnie je wymyśliłam, żeby ci dokuczyć.

– To moje życie – obruszył się. – Zrobię, co mi się spodoba.

– Więc co takiego ważnego chcesz mi powiedzieć?

– Nie mam zamiaru we wszystkim ci ulegać. Bądź przygotowana na to, że ze mną nie pójdzie ci tak łatwo jak z Jasiem. Nie opętasz mnie.

– Co ty nazywasz opętaniem?

– Jesteś sprytna. Bardzo sprytna. Wykończyłaś Jasia i zamierzasz wykończyć tego głupka Aquariususa. Ale ze mną ci się nie uda. Wkrótce wyjeżdżam! Na szczęście kończy mi się urlop! – wykrzykiwał Zdobniak bliski łez. Nie umiał nazwać tego, co się z nim działo. Coś niezwykłego. Opętanie? Tak, chyba opętanie! Był opętany! Walter Skoczek miał rację! Opętany! Opętany! Przeklęty i opętany!

Zaczął łomotać pięściami w drzwi. Nagle przed jego oczami zrobiło się ciemno. Przestał też słyszeć. A potem zrobiło się jakoś tak nienaturalnie jasno i gdzieś z góry nadleciał dziwny szum. Zdobniak zdrzął. Cały świat zakołysał się w posadach. Zdobniak poczuł się nagle jak bezimienny

Izraelita, jeden z tysięcy zmordowanych wędrowców, którzy natknęli się pod górą Synaj na brodatego starca z kamiennymi tablicami, nakazującego powrót z drogi występku i rozwiąźłości:

– Przestałeś być motylem, Robercie Zdobniak. Motyle żyją krótko, dwa do trzech miesięcy. A może nawet i to nie. W końcu nie jestem entomologiem i nie muszę się znać. W każdym razie przez ten czas są piękne, kolorowe i energiczne, lecz z nadejściem chłódów tracą wigor i zainteresowanie kwiatami i wreszcie umierają. Opamiętaj się, póki nie jest za późno!

– Nie! To nieprawda!

– Nie kłóć się ze mną, smarkaczu! Więcej szacunku dla mojej siwej brody! Nie myśl sobie, że to mój pomysł z tymi tablicami! Każda waży cholerne pięćdziesiąt kilo! Jakby nie można było tego napisać na papirusie! – dodał głos.

– Człowiek jest istotą słabą, cierpiącą, my, ludzie cierpimy i każdy z nas na swój sposób chce uciec od bólu! To ubranie nie jest uszyte na naszą ludzką miarę!

– Co za głupie porównanie! Nie zaszkodzi trochę samoograniczenia! To bardzo proste, wystarczy rano, przed wstaniem z łóżka, powiedzieć sobie: „Dziś spełnię dobry uczynek”.

– Gadanie! Jak w dzisiejszych czasach można spełniać dobre uczynki? Skoro nikt się na nich nie pozna?

– Pozna się.

– Niby kto?

– Ja. I ten, który kazał mi przyjść na tę górę i namawiać takich głupoli jak ty do poprawy.

– Co mi z tego przyjdzie?

– Zobaczysz. W godzinie śmierci. Uderz w stół, a odezwą się nożyce.

- Nie zamierzam jeszcze umierać.
- Na każdego przyjdzie kolej.
- A poza tym, co to za jeden ten Dziobas?! Co?!
- Taki sam bezwartościowy, bezużyteczny, egoistyczny gnojek jak ty, Robercie Zdobniak.

Szum ustał. Zdobniak odzyskał zdolność normalnego widzenia i słyszenia. Znów był w swoim domu. Stał przed zamkniętymi drzwiami kobiety, którą, o zgrozo, pokochał.

Wybiegł z domu i wskoczył do samochodu. Zadzwoił do Zochy. Nie, dziś nie mógł być sam. Nie potrafił samotnie nieść brzemienia. Ktoś musiał mu pomóc.

Szary, mglisty świt. Jedyne żywe istoty w barze „U Makdonalda” byli: ziewający barman w góralskim serdaku, ze słuchawkami walkmana na uszach i Jaś przy stoliku, wpatrzony z przestrawieniem w ogromne, wyniosłe smreki tworzące ciemną, posępną ścianę spowitą u dołu gęstą pleśnią mgły. Przed Jasiem stała napoczęta butelka wódki i kieliszek. Wódka miała mu pomóc przełamać strach.

Nieżywymi istotami w barze były wiszące wokół zakurzone łby jeleni, niedźwiedzi, dzików i wilków, łypiące na Jasia szklanymi oczami, jakby chciały mu powiedzieć: „My mamy już za sobą wszystkie udręki życia”.

Do baru wtoczył się ciężko mężczyzna przebrany za niedźwiedzia.

- Seta, Waluś. Dziś nie będzie interesu – rzucił barmanowi. Dostrzegł Jasia.
- Chcesz pan fotkę z misiem? – zapytał. – Masz pan szczęście, bo dziś promocja. Dostaniesz pan długopis.

Mężczyzna przebrany za niedźwiedzia podszedł do Jasia, położył niedźwiedzi pysk na stoliku, a z wnętrza futra wydobyl plastikowy długopis w kształcie ciupagi.

– No?

Jaś obejrzał długopis, bo nie chciał się wydać niegrzecznym.

– Nie, dziękuję.

– Długopis gratis.

– Nie – powtórzył Jaś.

– Zrób pan sobie dwa zdjęcia, to trzecie za darmo...

Jaś pokręcił głową.

– To po coś pan tu przyjechał? – zapytał mężczyzna ze złością. Opuścił ramiona.

– Szukam dziewczyny. Związała mi sprzed ołtarza. Puściła się z drużbą, wikarym i zakrystianem. To jej zdjęcie. Ja nazywam się Jan Skoczek i nie mam już forsy ani odpowiedniego ubrania. W nocy zasnąłem za kierownicą i wpadłem do rowu. Samochód do blacharza. Podobno to kara za moje grzechy – wyrzucił z siebie Jaś nie patrząc nawet na mężczyznę. Zachowywał się jak automat. Niewiele go już łączyło z poprzednim życiem. Dużo więcej łączyło go z tymi zakurzonymi łbami na ścianach.

– Wie pan, problem w tym, że nie jestem przekonany, żebym jakoś specjalnie intensywnie grzeszył. Przynajmniej nie aż tak, żeby zasłużyć na kalwarię. Czuję się, jakbym pokutował za wszystkich wrednych facetów. Nie wiem, czy Bóg wybrał mnie specjalnie, czy to zwykły przypadek...

– Nie spotkałem dziewczyny w ślubnej sukni – odparł mężczyzna przyjrawszy się zdjęciu. Słowa Jasia zignorował.

– Mogła ją zmienić.

– Racja. Lepszy numer z ciebie. Ale nawet gdyby zmieniała kieckę, a niby po co miałyby to robić, choć u bab zmienić szmatki znaczy tyle co splunąć, to i tak nie spotkałem lali podobnej do tej. Ani w sukni, ani bez. Moja pała nie od tego, żeby nie poczuła w lesie zapachu pudru...

Mężczyzna spojrzął znacząco na butelkę.

– Jeszcze jeden kieliszek! – rzucił Jaś barmanowi w serdaku.

Napili się.

– Mów mi Giewont – rzekł mężczyzna przebrany za niedźwiedzia.

– Okej, Giewont – odparł Jaś.

– To powiadasz, że ta laska ze zdjęcia ma tu być?

– Miała iść czarnym szlakiem.

– To niedobrze – Giewont sam nalał sobie kolejny kieliszek i wypił.

– Dlaczego?

– To niebezpieczny szlak.

– Mimo wszystko muszę tam pójść. Muszę iść tam, gdzie ona. To kara za moje grzechy.

– Chyba, że Pepin. On się kręci przy czarnym – Giewont nalał sobie trzeci kieliszek i wypił.

Zamrugął oczami. Jego czerwony nos zaczął pulsować.

– O kim mówisz?

– To niebezpieczny drań.

– Co to za jeden?

– Czeski niedźwiedź. Złośliwy. Mógł ją porwać. Tę twoją dziewczuchę.

– Po co niedźwiedź miałby ją porywać?

– A niby po co się porywa dziewczuchy? Co? – Giewont mrugnął do Jasia. Wychylił czwarty kieli-szek. Zjechał nieco pod stolik i w głąb swojego futra.

– Przecież to niedźwiedź.

– Ale chłop. Jego sprawa, że ubiera się w futro. Nam nic do tego...

Giewont zrobił ukradkowy ruch, szybko złapał butelkę i wypił resztę wódki, zanim Jaś zdążył zaprotestować. Wzrok Giewonta przez moment wyostrzył się, zapłonął ogniem energii i tryumfu, a następnie zmętniał jak struga pomyj i osunął się po twarzy Jasia. W zasadzie Jasiowi było wszystko jedno. I tak musiał pójść czarnym szlakiem, czy grasował tam Pepin, czy nie. Po prostu musiał. To był jego los. Przed losem nie ma ucieczki. Zamierzał się przedtem upić, ale skoro nie ma już wódki, to znaczy, że musi pójść na trzeźwo. Jezus też był trzeźwy, kiedy szedł na Golgotę.

– Sprzedam... ci... moje... futro... chcesz? – wymruczał Giewont w zaciśniętą pięść, w której trzymał pustą butelkę. – Pieprzę te... parszywe góry... jadę nad morze... zostanę... Supermanem... w smażalni... wszędzie, tylko nie tu... pieprzony Batman, cwaniaczek... myśli, że umie latać... gównu poleci...

Głowa Giewonta zachwiała się, zamrugła i nagle, jak główka szmacianej pacynki, opadła martwo na kudłatą pierś, odbiła się i z cichym stukiem upadła na stolik. W barze ponownie zapanował bezruch. Barman za kontuarem palił papierosa i wpatrywał się w Jasia bez wyraźnych intencji. Jego oczy były tak samo nieruchome i szklane, jak oczy wiszących na ścianie niedźwiedzi, wilków i jeleni. Z wnętrza futra dolatywało chrapanie. Zdawało się, że świat zatrzymał się do chwili, aż mgła za oknem, wsiąkając w ziemię, odsłonił pnie drzew, a wraz z nimi nieznaną mroczną czeluść czekającą na Jasia, swego tragicznego odkrywcę.

Drzwi baru otwały się tego posepnego ranka po raz drugi. Do środka weszło dwóch mężczyzn, jeden, niski i gruby, był przebrany za Batmana. Trzymał przy uchu komórkę. Z szyi drugiego zwieszał się polaroid.

– Dobra – rzucił Batman krótko do komórki. Wsadził ją za czarny kostium.

– Dwie sety, Waluś! – zaordynował zmęczonym, ochrypłym głosem. – Ale szybko. Zaraz przyjadą klienci.

Obaj spojrzeli na Jasia i śpiącego Giewonta.

– Zostaw pan tego burasa i zrób sobie fotę z Batmanem – odezwał się fotograf. – Będzie piękna pamiątka z gór.

– Nie, dziękuję – odparł Jaś.

– Dziś w promocji maska Batmana!

W ręku fotografa pojawił się bezkształtny kawałek czarnej gumy z dwiema dziurami.

– Nie chcę – powtórzył Jaś twardo.

– Nie lubisz pan gór? – zapytał fotograf.

– Nie lubię.

– To po coś pan tu przyjechał? Góry są dla miłośników gór.

– Góry są dla twardych facetów – dorzucił Batman i czknął.

– A jagze! – dodał barman w serdaku. – Takie delikatne pony z miasta ni majom tu cego sukać! Góry som lo łowiecek, lo baranków, lo juhasów...

– Dobra, Waluś, zaczniesz gawędę, jak ci powiem – przerwał mu Batman znużony.

– Okej – zgodził się barman. Puścił oko do Jasia. – Zamawia pan jeszcze coś? – zagadnął. Jaś nie zdążył odpowiedzieć. Przed bar nadjechał autobus. Batman i fotograf szybko wypili. Batman naciągnął maskę na twarz. Rozłożył skrzydła i zamachał nimi parokrotnie, jakby miał zamiar wzbić się w powietrze. Obaj z fotografem wyszli. Jaś też się ruszył. Pora na niego.

– Niech pan się trzyma szlaku – poradził mu barman.

– Mam komórkę.

– Nie na te góry – odparł barman.

– Jest aż tak źle? – zapytał Jaś.

– Niech pan ją znajdzie.

– Dziękuję. Postaram się.

– Niech pan nie schodzi ze szlaku.

Odchodząc Jaś słyszał okrzyki dzieci pragnących zrobić sobie zdjęcie z Batmanem i głos samego Batmana krzyczącego:

– Czepcie się, szczeniaki, bo mi skrzydła urwiecie!

Pomyślał, że to ostanie ludzkie słowa, jakie słyszy. Ostatnie sygnały wysyłane przez cywilizację. Już wkrótce będzie słyszał ponure, tajemnicze, złowrogie odgłosy dzikiej przyrody.

Dalszy ciąg przygód bohaterów powieści na stronie:

http://e-czytelnia.emediapro.com.pl/m_i_s

Krystian Piwowski

Urodzony w roku 1956. Z wykształcenia filolog polski. Od roku 1987 mieszkaniec Częstochowy a od 1998 redaktor naczelny Dwumiesięcznika Kulturalnego Częstochowy „aleje 3”.

Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Dorobek literacki:

Londyńczyk, Iskry, Warszawa, 1988

Marlowe, Mann i Superman, KAW, Poznań, 1989

Portret trumienny, Wydawnictwo Śląsk, Katowice, 1989

Kochankowie roku Kota, Akapit, Katowice, 1991

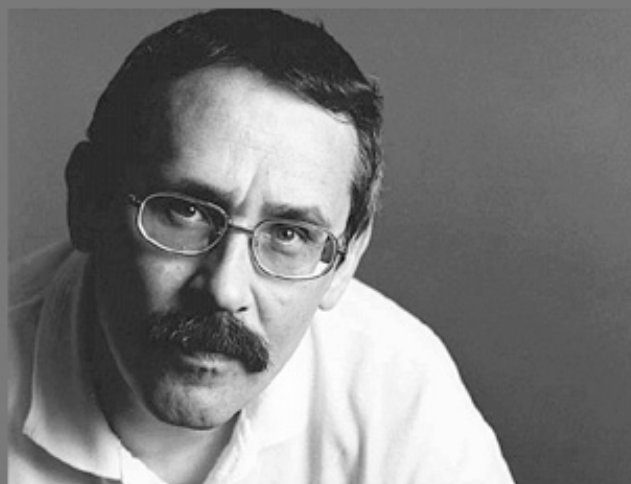
Paryżanin Od Nowa, Kraków, 1994 (do nabycia jeszcze tylko [tutaj](#)>)

Publikacja w internecie:

Mysikrólik i sarna – Wydawnictwo „e media”, Częstochowa, 2001

W przygotowaniu:

Homo Polonicus oraz *General Szkorbut, czyli tragedia fantastyczno-naukowa*



© Piotr Dlubak